

DZIECI LGBT+
Obcy w szkole
i w Kościele

EUROPEJSKIE WYCINANKI
Listy wyborcze Koalicji
bez ludzi Donalda Tuska

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI:
Biskupi ukrywający
przestępców powinni ustąpić

ZARĘCZONY Z MOSTEM
Historia artysty, który
ukradł cegłę z ratusza

Kraków 31 marca 2019 nr 13 (3638)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Kto chce obalić papieża



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480901

warszawa
7-19 kwietnia
2019

23.

wielkanocny
festiwal
ludwiga van
beethovena

beethoven.org.pl



Stowarzyszenie
im. Ludwiga
van Beethovena

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano
ze środków Ministerstwa
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego



MIASTO
STOŁECZNE
WARSZAWA



Festiwal zrealizowany
dzięki wsparciu
finansowemu Miasta
Stołecznego Warszawy



FILHARMONIA
NARODOWA
Dyrektor Artystyczny JACEK KASPRZYK



OPERA
NARODOWA



ZACHĘTA



dwójka
POLSKIE RADIO

PARTNER GŁÓWNY



MECENAS



KS. ADAM

Boniecki: *To wcale nie jest śmieszne*

BYĆ MOŻE MIAŁ RACJĘ EUROPOSEŁ PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI prof. Ryszard Legutko, gdy mówił, „że zorganizowane środowiska homoseksualne to silne grupy wpływu. Ponadto są to grupy najsilniej chronione i najbardziej uprzywilejowane. W świetle obowiązującego ustawodawstwa mówienie o tym, że są to grupy dyskryminowane, jest śmieszne. Prawda jest taka, że aktywiści homoseksualni mogą robić praktycznie wszystko. I uchodzi im to na sucho. Znane są przykłady...”.



„Być może”, bo profesor mówi o sile „zorganizowanych środowisk homoseksualnych”, których nie znam ani się nie domyślam, a profesor na pewno wie, co mówi, bo przecież nie możliwe jest, żeby profesor nie wiedział. Ale nas w tym numerze „Tygodnika” nie zajmują „zorganizowane środowiska”. Zajmują nas osamotnieni młodzi ludzie borykający się z problemem inności. Żeby można było usłyszeć ich głos, ich dramatyczne opowieści o tym, jak napiętnowani przez otoczenie, nie mogąc unieść ciężaru swojej inności, pogrążają się w depresję, jak mają dość życia, czy wręcz to życie sobie odbierają.

Agresywna i prymitywna (w gruncie rzeczy obronna) reakcja na każdą inność zaślepia. Z problemem agresywnego lęku przed innością mamy do czynienia w wielu sytuacjach, jak choćby w kwestii przyjmowania uchodźców. Jednak konfrontacja (zwłaszcza w wieku dojrzewania) z innością czyjejś orientacji seksualnej wymaga szczególnej uwagi i przygotowania.

Trwa spór o to, na czym ma polegać to przygotowanie i kto ma je prowadzić. Nie wchodząc w polemiki z kompetentnymi psychologami, chcę powiedzieć – nie powinno to nikogo bulwersować – że właściwym miejscem nauczania się szacunku dla „innego” powinny być lekcje religii. Rewolucją zainicjowaną przez chrześcijaństwo było przekonanie wyrażone przez św. Pawła: „Nie ma już Żyda ani poganina, nie ma już niewolnika ani człowieka wolnego, nie ma już mężczyzny ani kobiety, wszyscy bowiem jesteście kimś jednym w Chrystusie Jezusie” (Ga 3, 28). W kwestii traktowania osób homoseksualnych Kate-

chizm Kościoła Katolickiego ujmuje to prosto i jednoznacznie: „Pewna liczba mężczyzn i kobiet przejawia głęboko osadzone skłonności homoseksualne. Skłonność taka, obiektywnie nieuporządkowana, dla większości z nich stanowi trudne doświadczenie. Powinno się traktować te osoby z szacunkiem, współczuciem i delikatnością. Powinno się unikać wobec nich jakichkolwiek oznak niesłusznej dyskryminacji” (2358).

Może wskazanie na lekcje religii jako miejsce nauczania szacunku dla osób homoseksualnych wyda się zaskakujące. Może ktoś mi przypomni biblijne teksty, jak List św. Pawła do Rzymian (1, 26-28) i inne.

Tak, nauka Kościoła o grzeszności czynów homoseksualnych pozostaje niezmienna. Mało przekonujące są próby innej interpretacji biblijnych tekstów. Lecz uwaga, Biblia nie propaguje nienawiści do nikogo: „Starajcie się o pokój ze wszystkimi” (Hbr 12, 14) bez względu na jego poglądy i sposób życia.

Każdy ma prawo do udziału w debatach dotyczących życia społeczności, w której żyje, ale w politycznej debacie, np. dotyczącej praw związków jedнопłciowych czy zachowań homoseksualnych, Kościół zachowuje neutralność, w myśl słów Chrystusa „Królestwo moje nie jest z tego świata” (J 18,36).

Martwi mnie niechęć do Kościoła środowisk LGBT+, martwi nieufność Kościoła wobec tych środowisk. Na szczęście istnieją grupy Courage (125 w 15 krajach) pomagające katolikom żyć zgodnie z nauczaniem Kościoła (źle oceniane przez środowiska LGBT+), są duszpasterstwa LGBT+, jak to przy londyńskim kościele Niepokalanego Poczęcia (spotkał się z jego uczestnikami papież Franciszek). Jest w Polsce grupa chrześcijan LGBTQ „Wiara i Tęcza”, zabiegająca o tworzenie środowiska, w którym chrześcijanie LGBT+ będą czuć pełną akceptację, sprzeciwiająca się dyskryminacji osób LGBT+, zwłaszcza motywowanej religijnie, i zabiegająca o akceptowanie przez Kościół związków jedнопłciowych. Jest też nauka religii, więc – miejmy nadzieję – i szacunku dla „innego”, wbrew mistrzom pogardy i dyskryminacji. ©

podkast TP powszechny: weź, słuchaj!

powszech.net/podkast



„Leaving Neverland”: film-wyznanie

Co się dzieje, gdy o znanej i podziwianej postaci ktoś opowiada nam nagle jako o sprawcy swojego cierpienia? „Leaving Neverland” to film oskarżający Michaela Jacksona o molestowanie seksualne dzieci i opowieść o złożonym mechanizmie uwiedzenia, zaprzeczenia i wyparcia, które powracają również w dzisiejszych postawach fanów króla popu. Czy przyjrzenie się tym mechanizmom może być pomocne dla wszystkich tych, którzy słysząc zarzuty stawiane autorytetom, sławom albo duchownym, nie mogą uwierzyć, jak to możliwe? – w najnowszym podkaście opowiada Anita Piotrowska, krytyczka filmowa „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj w RSS | iTunes | Google Podcasts | Spotify

22 Europejskie wycinanki**ANDRZEJ STANKIEWICZ**

Czy to możliwe, że Grzegorz Schetyna ułożył listy na eurowybory nie pod kątem najlepszego wyniku, tylko z zamiarem uderzenia w ludzi Donalda Tuska?

**32 Będzie bolało****O. LUDWIK**

WIŚNIEWSKI OP Biskupi, którzy ukrywali straszne przestępstwo, przenosząc z miejsca na miejsce księży pedofilów, powinni złożyć na ręce papieża rezygnację z urzędu.

**34 Wojna hybrydowa w Kościele****EDWARD AUGUSTYN**

Dysputy teologiczne to przeżytek. Dziś antypapieska opozycja walczy świeckimi metodami: dezinformacji i wojny psychologicznej. Celem jest zmuszenie Franciszka do dymisji.

50 Ardern**na złe dni****LIDIA E. KELLY**

Z MELBOURNE Reakcja premier Nowej Zelandii na atak w Christchurch dowodzi, że w polityce wartościami mogą być też empatia i wrażliwość.

**78 Człowiek z talentu****MARIUSZ SEPIOŁO**

Mieczysław „Mietal” Gryza wdrapał się na most i wtopił brylant w jego metalową konstrukcję. Jako pierwszy człowiek w historii świata zaręczył się z mostem.

68 Słusznie**wyproszeni****DARIUSZ KOSIŃSKI**

Spektakle Mai Kleczewskiej to poważny kłopot dla chcących mówić o polskim teatrze współczesnym w kategoriach podziału na „artystyczny profesjonalizm” vs. „polityczne zaangażowanie”.



■ TEMAT TYGODNIKA ■

6 Oświata: tysiąc złotych to początek
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Europejskie wycinanki
ANDRZEJ STANKIEWICZ

26 Oswoić rottweilery
ROZMOWA Z PROF. ELŻBIETĄ
MACZYŃSKĄ, EKONOMISTKĄ: *Praca
stanie się dobrem deficytowym*

**29 Elektryczną hulajnogą
w czarną dziurę**
PIOTR KOZANECKI

■ ■ OPINIE

32 Będzie bolało
O. LUDWIK WIŚNIEWSKI OP

■ ■ WIARA

34 Wojna hybrydowa w Kościele
EDWARD AUGUSTYN

38 Pierwsza pani prymas
WERONIKA PÉREZ BORJAS *o Antje
Jackelén, arcybiskupce Uppsali*

42 Herbata z Jezusem
MONIKA I MARCIN GAJDOWIE:
Ćwiczenia wielkopostne (3)

■ ■ ŚWIAT

44 Walka o Ukrainę WOJCIECH
KONOŃCZUK: *Czy wybory otworzą
kolejną epokę polityczną?*

47 Pokorne ciało i wielki plan
PIOTR OLEKSY: *Mołdawia między
Rosją i Zachodem*



12 Matki mają dość
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Tu chodzi o rzeczy ważniejsze niż edukacja seksualna, bo o zdrowie i życie ich dzieci. Apele rodziców osób LGBT+ pozostają jednak bez echa.

16 Niewidzialni w Kościele
ROZMOWA Z KS. JACKIEM PRUSAKIEM SJ,
PSYCHOTERAPEUTĄ:

Rozumienie szacunku i tolerancji względem osób homoseksualnych w Kościele oznacza często postawę: nie ujawniaj się, a skoro to uczyniłeś, niczego się nie domagaj.

■ FELIETONY ■

**31 ANNA DZIEWIT-MELLER 43 SZYMON HOŁOWNIA
55 ANDRZEJ STASIUK 76 JAN KLATA
77 PAWEŁ BRAVO 82 STANISŁAW MANCIEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ**

Okładka: PAPIEŻ FRANCISZEK
Fotografia: ANDREW MEDICHINI / AP / EAST NEWS
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

50 Ardern na złe dni
LIDIA E. KELLY

**52 Nie zastanawialiśmy się,
czym jest pokój**
PAWEŁ PIENIAŻEK Z KABULU:
*Pokolenia Afgańczyków nie znają
innego stanu niż wojna. Co zrobią,
jeśli się skończy?*

■ ■ HISTORIA

56 Nieudany eksport rewolucji
ANDRZEJ KRAWCZYK: *Sto lat temu
powstała Węgierska Republika Rad*

59 Mikroświat Fotonu
PATRYCJA BUKALSKA
o książce „Kobiety Fotonu”

■ ■ NAUKA

60 Pierwsi spośród równych
TOMASZ TARGAŃSKI
o prawach zwierząt

■ ■ KULTURA

64 Krzyk, milczenie i inny głos
MACIEJ JAKUBOWIAK: *Świat,
w którym wojna jest podstawowym
modelem społecznych relacji*

68 Słusznie wyproszeni
DARIUSZ KOŚIŃSKI

71 Bogaci, sławni i martwi
JAKUB MAJMUREK *o serialu
„American Crime Story”*

74 Wilcze dzieci ANITA
PIOTROWSKA *o filmie „Wilkołak”*

76 Cenne szpargały LEKTOR
*o książce „Pamiętnik inteligenta”
Jerzego Rakowieckiego*

■ ■ ZMYŚŁY

78 Człowiek z talentu
MARIUSZ SEPIOŁO

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Piotr Sikora: Chrystus powszechny**

Dróg do Boga jest wiele, a Pośrednik między Nim a ludźmi jeden. Czy da się wierzyć w jedno i w drugie zarazem? – teolog **PIOTR SIKORA** o wspólnej deklaracji papieża Franciszka i wielkiego imama Al-Azhar. powszech.net/wspolna-deklaracja

➔ **Schetyna daje szansę Orbánowi. A ty dasz szansę Schetynie?**

Europejska Partia Ludowa, największa „rodzina” polityczna w Unii, do której z Polski należą PO i PSL, zawiesiła członkostwo węgierskiego Fideszu – **PAWEŁ BRAVO** komentuje fakt, że liderzy PO nie okazali się tak bezwzględni dla Orbána, jak bardzo surowo pomstują na Kaczyńskiego. powszech.net/szansadlaorbana

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONASWIATA

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



OŚWIATA: TYSIĄC ZŁOTYCH TO POCZĄTEK

Tej debaty nie da się już uniknąć:
polska edukacja potrzebuje nie tylko podwyżek,
ale też reformy systemu nagradzania i szkolenia nauczycieli.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ZA STRAJKIEM OPowiedziało się od 85 do 90 proc. osób z placówek edukacyjnych, które weszły w spór zbiorowy” – ogłosił w miniony poniedziałek przed południem prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego Sławomir Broniarz. To oznacza niemal pewny strajk w szkołach. Strajk, który może przejść do historii, jeśli od poniedziałku 8 kwietnia od pracy odstąpi faktycznie – jak szacuje ZNP – nawet pół miliona nauczycieli i innych pracowników oświaty. I jeśli akcja, co nietrudno sobie wyobrazić, sparaliżuje kwietniowe egzaminy,

a w wersji skrajnej także te maturalne. Wbrew zataczającemu coraz szersze kręgi szantażowi moralnemu, zgodnie z którym nauczycielom strajkować nie wypada, bo to oznacza „branie dzieci jako zakładników”.

Polscy nauczyciele zarabiają za mało. A nawet – wbrew propagandzie sukcesu snutej przez minister edukacji Annę Zalewską – zarabiają coraz mniej, bo mimo ostatnich podwyżek ich przeciętne pobory są niższe w stosunku do średniej krajowej, niż były jeszcze kilka lat temu. Ale niezależnie od rozstrzygnięcia tego spo-

*Prezes ZNP
Sławomir
Broniarz
(z prawej)
i przewodniczący
OPZZ Jan Guz,
Warszawa,
25 marca 2019 r.*

ru jego kres (czy nastąpi on w efekcie strajku, czy może przed 8 kwietnia, nie wiemy – ten numer „Tygodnika” zamykaliśmy jeszcze przed tzw. rozmowami ostatecznej szansy między związkowcami a MEN) powinien być początkiem wielkiej debaty o... reformie.

„Nie poprawimy sytuacji w edukacji, nie pozyskamy młodych absolwentów – mówił w miniony poniedziałek na antenie RMF FM Sławomir Broniarz – jeżeli będziemy im proponowali 1800 złotych na rękę na starcie”. To tylko część prawdy, bynajmniej nie wyłącznie dlatego, że w tej debacie każdy rzuca liczbami, jakie są dlań wygodne (prezes Broniarz podaje zasadnicze wynagrodzenie nauczycieli, mimo że stanowi ono nieco ponad 60 proc. ich faktycznych poborów; MEN posługuje się danymi z uwzględnieniem wszystkich dodatków, a także godzin nadliczbowych). Również z tego powodu, że ten tysiąc złotych, o który jakże słusznie walczą nauczyciele, nie uleczy sytuacji w oświacie.

Jego problemem pozostanie anachroniczny i niejasny sposób wynagradzania – z płataniną dodatków, „trzy-nastek” i wyrównań – którego jedyną logiką jest finansowa urawniłowka, za nic mająca podział na nauczycieli wybitnych i kiepskich. A przede wszystkim fakt, że ci drudzy (tak, jest ich w polskich szkołach sporo, o czym i MEN, i związki zawodowe wolą na wszelki wypadek milczeć) trafiają w ogóle do pracy w szkole, bo równie niejasny jest system kwalifikacji do zawodu. Czy sens miałoby ustanowienie listy uczelni uprawnionych do kształcenia tej grupy zawodowej, czy może – jak proponują inni – wprowadzenie państwowego egzaminu na nauczyciela, to kwestie do dyskusji. Najpierw te i podobne postulaty muszą jednak wybrzmieć, co przy okazji sporu między MEN a związkami nie nastąpiło.

Polskiemu nauczycielowi trzeba znacznie więcej zapłacić, ale też więcej od niego – już na starcie – wymagać. Oświatowy strajk, choćby zakończył się pełnym sukcesem, należy więc uznać za pierwszy krok. Kolejnym powinna być reforma: nawet jeśli to straszne słowo budzi po 30 latach nieustannego remontu oświaty zrozumiętą grozę, bez reformy właśnie polska szkoła będzie się staczać w nędzę. Nędzę znacznie głębszą niż tylko ta mierzona chudością nauczycielskich portfeli. ©

Wiosna dla Wiosny bardzo bolesna

ANDRZEJ STANKIEWICZ



ROBERT BIEDROŃ KOŃCZY Z POLITYKĄ równego dystansu do obu głównych partii. Kiedy PiS z Platformą toczyły wojnę o prawa mniejszości seksualnych, znacząco milczał. Wiedział, że prezydent stolicy Rafał Trzaskowski podpisał kartę LGBT głównie po to, by podebrać mu elektorat światopoglądowy. Dopiero pod naciskiem części zwolenników z ociąganiem ogłosił piątkę Biedronia.

Tyle że takie kunktatorstwo w tym i kilku innych obszarach – choćby w ocenie rządów PiS – nie przysporzyło mu zwolenników. Gdy Wiosna debiutowała na początku lutego, pierwsze sondaże dawały jej nawet kilkanaście procent poparcia. Dziś oscyluje wokół progu wyborczego.

Dlatego prezentację kandydatów do Parlamentu Europejskiego Biedroń wykorzystał do przedstawienia nowej linii politycznej i przystąpił do antyrządowej ofensywy. Jego życiowy partner i polityczny sojusznik

Krzysztof Śmiszek wspomina nawet o więzieniu dla Kaczyńskiego za rzekomą homofobię.

To dowód na to, o czym słyhać od kilku tygodni: Wiosna przechodzi kryzys. Listy wyborcze nie intrygują, poza powrotem do polityki Zbigniewa Bujaka oraz Wandy Nowickiej. Już wiadomo, że partia nie „zrobi” kampanii na LGBT (bo tematem podzieliły się PiS i PO) ani na postulatach socjalnych. Ale jeśli gra na odebranie Platformie twardego, antypisowskiego elektoratu, to także jest skazana na porażkę. Taki elektorat zagłosuje tylko na partię, która ma szansę pokonać PiS.

Jeśli Biedroń i jego doradcy nie znajdą nowego pomysłu na kampanię, to wiosna może być dla Wiosny bolesna. O jesieni nie wspominając. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Znaczy minister

POGŁOSKI O DYMISJI SZEFEWEJ RESORTU finansów Teresy Czerwińskiej (na zdjęciu) dla wielu stały się okazją, by usłyszeć o niej po raz drugi od czasu nominacji. Ministerstwo to zawsze było resortem wagi ciężkiej nie tylko ze względu na zakres kompetencji. Drugim powodem były nazwiska samych strażników deficytu. Leszek Balcero-wicz, Grzegorz Kołodko, Marek Belka, Zyta Gilowska – to lista pełnokrwistych i doświadczonych polityków, którzy nieraz narzucali rządowi swoją wolę (inna sprawa, że kierunek polityki fiskalnej wyznaczało wówczas Clintonowskie „gospodarka, głupcze”, o czym w tym numerze „Tygodnika” prof. Elżbieta Mączyńska).

Teresa Czerwińska jawi się tymczasem na tle poprzedników nie jako polityk, lecz urzędnik. „Jest kompetentna” – mówi o niej ekonomiści, jakby nie chcieli wyjść w ocenach poza sferę dorobku akademickiego. Urodzona w polskiej rodzinie na Łotwie, wykształcona już w kraju i przez lata związana z Uniwersytetem Gdańskim, profesor badała problematykę ryzyk inwestycyjnych i funkcjonowania towarzystw ubezpieczeniowych na rynkach kapitałowych. Aż ciśnie się na usta żart, że dla rządu, który zamierza się moc-



PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA GAZETA

no zadłużyć, taki fachowiec to prawdziwy skarb.

Trudno jednak nie nabrać podejrzeń, że ostrożność ocen wynika też z przekonania, iż kroczymy finansów publicznych nie jest Teresa Czerwińska, lecz sam premier. W ubiegłym tygodniu media ekscytowały się pogłoską, jakoby minister złożyła dymisję w związku z planami zwiększenia deficytu budżetowego dla sfinansowania obietnic zawartych w tzw. piątce Kaczyńskiego. Premier kilka dni później przyznał, że deficyt musi wzrosnąć, choć wcześniej utrzymywał, że na wszystko wystarczy pieniędzy z rosnących dochodów budżetowych.

Minister była wtedy na zwolnieniu lekarskim, co oczywiście może oznaczać, że po prostu zachorowała. Albo że tylko w ten sposób gotowa jest wyrazić weto wobec planów rządu, w którym nominalnie gra jedną z głównych ról. © MAREK RABIN

ZUS działa wstecz

WYDAWAŁOBY SIĘ, ŻE W POLSKIEJ tragifarsie emerytalnej nic już nie może zaskoczyć opinii publicznej. Od kilku dni wiemy jednak, że dno jest głębiej.

Rzecz w skrócie: ok. 143 tys. Polek z rocznika 1953 po przejściu na wcześniejszą emeryturę pracowały nadal, a po 60. roku życia, gdy przeszły na emeryturę powszechną, liczyły na podwyżkę świadczenia. Zamiast dodatkowych pieniędzy doczekały się jednak obniżki. Nowelizacja przepisów emerytalnych z 2013 r. przewidywała bowiem pomniejszenie emerytury powszechnej o kwotę wypłaconych świadczeń z tytułu wcześniejszej emerytury. W niektórych przypadkach nawet o 400 zł.

Trybunał Konstytucyjny nie zosłał na decyzji ZUS suchej nitki, podkreślając, że kobiety „decydowały się na wcześniejszą emeryturę, ufając, że państwo nie zmieni reguł (...). Tymczasem reguły te zostały zmodyfikowane nie dając ich adresatom możliwości stosownej reakcji”.

Co na to ZUS? Cytuje Kodeks Postępowania Administracyjnego, który w art. 146 wyłącza możliwość uchylenia decyzji po upływie pięciu lat od dnia jej doręczenia. Słowem – emerytki mogą sobie mieć rację w świetle konstytucji, ale na płaszczyźnie przepisów wykonawczych racja musi być po stronie ZUS. © P MR

Procenty zaufania

PRZYCHODY ORGANIZACJI pożytku publicznego (OPP) z tytułu tzw. jednego procenta PIT wyniosły w 2018 r. ponad 761 mln zł i były o 101 mln zł wyższe niż rok wcześniej – podał GUS.

Przeciętna OPP otrzymała w 2018 r. 87,7 tys. zł. Wsparcie dostawały najczęściej stowarzyszenia i organizacje społeczne (73,6 proc.), następnie zaś fundacje (25,8 proc.). Najrzadziej Polacy dotawali natomiast tzw. społeczne podmioty wyznaniowe (0,6 proc.), czyli instytucje kościelne lub prowadzone przez związki wyznaniowe, które otrzymały status OPP. © P MR

KRAJ W SKRÓCIE

PRUS. „Bolesław Prus pisał, że pod tym gorejącym granitem jest żar ludu polskiego, dziś byśmy powiedzieli – zwykłych Polaków, wszystkich, którzy pragną lepszego życia w ojczyźnie, pod granitem” – powiedział premier Mateusz Morawiecki podczas wizyty w dolnośląskim Strzelinie, zwracając uwagę, że miejsce to słynie właśnie z granitu: „Wojeвода i starosta powiedzieli mi, że stąd będzie brany granit na przekop Mierzei Wiślanej – gratulacje dla całego powiatu”.

MICKIEWICZ. To nie Prus, to Mickiewicz pisał, że „Naród nasz jak lawa / z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa / Lecz wewnętrzny ognia sto lat nie wyziębi”. Z pewnością więc szef MSWiA Joachim Brudziński sięgnął po bezpieczniejsze porównania, kiedy pisał na Twitterze: „Styszę, że lider PO Grzegorz Schetyna straszy PiS tym, co robi, jak wygra wybory. Panie Grzesiu, my się Pana tak boimy jak Shrek Fiony”.

ROMANTYZM. A skojarzenia „pana Grzesia” również lokują się w wiek XIX. „Panowie z PiS-u, wbijcie to sobie do głowy: tu jest Polska, a nie Rosja, tu jest Zachód, a nie Wschód. Tu nie ma miejsca na kasty, czarne sotnie, na cara, do którego się przychodzi z pieniędzmi w kopercie, tu jest Polska, panie Kaczyński!” – mówił lider Platformy Obywatelskiej podczas rady krajowej tej partii.

POZYTYWIZM. Gorzej, że w XIX wieku zostało dużo więcej obszarów polskiej rzeczywistości: podczas przedstawiania kandydatów na europarlamentarzystów otwierająca listę Koalicji Europejskiej we Wrocławiu Janina Ochojska musiała w drodze na podium skorzystać z pomocy osób trzecich, bo miejsce imprezy było nieprzystosowane dla niepełnosprawnych.



Rozmowę Pawła Sulika z **PIOTREM OLEKSYM**, autorem korespondencji z Mołdawii (s. 47), można odsłuchać w podcaście na stronie internetowej Radia TOK FM

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice
97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl



NEIL HALL / EPA / PAP

Brexit – podejście trzecie

ILE RAZY MOŻNA PYTAĆ O TO SAMO? Dla brytyjskiej premier to zależy od sprawy. Theresa May rozważała ponowne poddanie pod głosowanie w Izbie Gmin w ostatnim tygodniu marca wynegocjowanej przez nią „umowy rozwodowej” z Unią Europejską (wcześniej posłowie odrzucili ją dwukrotnie). Wciąż jednak była przeciwna drugiemu referendum w sprawie brexitu – nawet po tym, gdy 24 marca przez Londyn przeszło milion domagających się tego osób.

Największa demonstracja w Wielkiej Brytanii od czasu marszu przeciw wojnie w Iraku (2003 r.) zakończyła kolejny nadzwyczajny tydzień na Wyspach. Podczas szczytu w Brukseli 27 państw członkowskich Unii zgodziło się opóźnić brexit – nie dłużej jednak niż do 22 maja (w przypadku przegłosowania umowy) lub 12 kwietnia (w razie tzw. twardego brexitu, czyli wyjścia Brytyjczyków bez takiej umowy). Jednak formalnie wciąż możliwe jest niemal wszystko – włącznie z odwołaniem brexitu. Rośnie presja. Do minionego poniedziałku wieczór wnoszącą o to petycję poparło blisko 6 mln obywateli; internetowych „podpisów” przybywało w tempie miliona dziennie. Według badań Ipsos MORI dwie trzecie Brytyjczyków jest niezadowolonych z rządów May. Wśród nich są też członkowie Partii Konserwatywnej, którzy albo podejmują już próby odsunięcia jej od władzy i zastąpienia jej „technicznym” premierem, który rządziłby do przyspieszonych wyborów, albo proponują układ: poparcie umowy z Unią w zamian za obietnicę dymisji.

Tyle polityka. Tymczasem „bliżej ziemi” rozpoczęła się już kosztująca 1,5 mld funtów (równowartość ok. 7,5 mld zł) operacja „Yellowhammer”. Służby cywilne i żołnierze dowodzeni z podziemnego bunkra w dzielnicy rządowej Londynu są gotowi do walki z ewentualnym paraliżem kraju. Im bliżej brexitu, tym bardziej szczegółowe są ostrzeżenia: od poważnych – gromadzenia zapasów najpotrzebniejszych leków – po te, przynajmniej z pozoru, komiczne: na wypadek twardego brexitu na Wyspach zabezpieczono w magazynach 3,5 mln rolek papieru toaletowego. © P MARCIN ŻYŁA

Kazachstan: trochę odejść, trochę zostać

ANNA ŁABUSZEWSKA



WPOSTSOWIECKICH SATRAPIACH SUKCESJA jest jednym z najtrudniejszych problemów. Zapisy dekoracyjnych konstytucji zapewniają o przekazywaniu mandatu w demokratycznych wyborach, ale w rzeczywistości rządzące klany dbają jedynie o pozór demokracji, a aparat państwa służy im za narzędzie do utrzymania steru rządów. Znajdujący się na szczycie piramidy lider nie zawsze ma dobry pomysł na rozwiązanie problemu przekazania władzy tak, by zapewnić bezpieczeństwo swojej rodzinie i współpracownikom po złożeniu urzędu lub po śmierci.

Rządzący od prawie 30 lat Kazachstanem prezydent Nursułtan Nazarbajew (78 lat) właśnie wybrał model przekazania urzędu głowy państwa w ręce lojalnego wysokiego urzędnika (do czasu rozpisania wyborów prezydenckich), ale przy zachowaniu ważnych funkcji kontrolnych. Nazarbajew – jako Lider Narodu i Pierwszy Prezydent (oficjalne tytuły, zapewniające dożywotnie najwyższe wodzowskie splendory i realne narzędzia sprawowania

władzy) oraz przewodniczący rządzącej partii i Rady Bezpieczeństwa Kazachstanu – będzie nadal sprawował ścisły nadzór nad państwem. I nad procesem przekazywania władzy w ręce nowej generacji.

Gdy rozpadł się Związek Sowiecki, Nazarbajew faktycznie stworzył kazachstańską państwowość, jest autorytetem w kraju. Ale nie wychował następcy. Ustąpienie z urzędu i rozpisanie swoistego konkursu na objęcie schedy stworzy pole do rywalizacji najważniejszych pretendentów, spośród których stary prezydent zapewne wybierze nowego i nauczy go rządzenia. Czy operacja „Następca” się powiedzie? To zależy od wielu czynników: zdolności członków rodziny (m.in. najstarszej córki Darigi) do przejęcia władzy, lojalności dworu i aparatu wobec nowego przywódcy, stanu państwa oraz jego gospodarki. A także spokojnej reakcji sąsiadów, zwłaszcza Rosji i Chin. ©©

Czytaj także tekst Wojciecha Jagielskiego na powszech.net/strona-swiate



HURAGAN BYŁ TYLKO POCZĄTKIEM. Po nim przyszły powodzie, pierwsze przypadki cholery oraz obawa, że zniszczone przez wiatr i wodę plony spowodują w kolejnych miesiącach niedobór żywności. Cyklon Idai – jeden z najsilniejszych zanotowanych na półkuli południowej – przeszedł nad Mozambikiem, Zimbabwe i Malawi. Bilans (niestety, niepełny): 750 ofiar i ponad 100 tys. ludzi w obozach przejściowych. Tylko w rejonie portowego miasta Beira w Mozambiku pomocy potrzebuje pół miliona ludzi (na zdjęciu: dystrybucja ryżu przesłanego przez Chiny, 20 marca). We wschodnim Zimbabwe jeszcze przed nadejściem cyklonu nawet trzy czwarte upraw zniszczyła susza. Prócz zapewnienia dostępu do bezpiecznej wody (zalané studnie i ujęcia to ryzyko wybuchu epidemii), najpilniejsza będzie teraz właśnie pomoc żywnościowa. ©© ŻYM

Kryzys pedofilski: zero tolerancji?

1. FRANCISZEK nie przyjął dymisji kard. Philippe’a Barbarina, odwołując się do zasady domniemania niewinności. Metropolita Lyonu został skazany na pół roku w zawieszeniu za niepoinformowanie wymiaru sprawiedliwości o przestępstwach pedofilskich jednego z księży; odwołał się od wyroku. Zdecydował o czasowym wycofaniu się z kierowania diecezją.

2. „Z CAŁEGO SERCA przepraszam. Gorzkie słowa, jakie Pan skierował w moją stronę, staram się zrozumieć jako wyraz ogromnego bólu” – napisał biskup opolski Andrzej Czaja do 21-letniego Dariusza, który jako 13-latek był molestowany przez księdza. Odpowiedział on o tym w Sejmie na konferencji zorganizowanej przez fundację Nie Lękajcie Się, zarzucając biskupowi opieszałość i obojętność. Bp Czaja – który wyjaśnia, że sprawę załatwił dyskretnie, na prośbę matki ofiary – chce osobiście przeprosić Dariusza.

3. KARD. STANISŁAW DZIWIŚ broni Jana Pawła II przed zarzutem ignorowania przestępstw pedofilskich, dowodząc, że papież obserwował w latach 80. poczynania episkopatu USA i „gdy doszedł do wniosku, że potrzebne muszą nowe narzędzia do walki z tymi przestępstwami, wyposażył przełożonych kościołów w nowe uprawnienia”.

4. ZDANIEM BYŁEGO REKTORA KUL ks. prof. Andrzeja Szostka Kościół w Polsce może uratować powołanie niezależnej od biskupów komisji, która zbada przypadki pedofilii „z uwzględnieniem ewentualnej współodpowiedzialności ich przełożonych”.

©© MAM

Doktor od sprawiedliwości

PIOTR SIKORA



JEDEN Z NAJWYBITNIEJSZYCH TEOLOGÓW, UZNAWANY za ojca teologii wyzwolenia, Gustavo Gutiérrez OP, poparł propozycję, by niedawno kanonizowanego abp. Óscara Romero ogłosić doktorem Kościoła.

Tytuł ten otrzymywali święci, których nauczanie uznano za posiadające znaczenie dla Kościoła każdego czasu. Są wśród nich Bazyli Wielki, Augustyn, Hildegarda z Bingen, Tomasz z Akwinu czy Teresa z Ávili.

Dorobek teologiczny abp. Romero zawarty w pozostawionych pismach nie może się równać z tym, który możemy znaleźć w tomach tamtych autorów. Ale w przypadku ogłoszenia doktorem Kościoła – jak podkreślił Gutiérrez – „miłość do innych jest więcej warta niż wszystkie teologie”. Innymi słowy: bywa, że właśnie samo życie danego człowieka jest wymowną teologiczną nauką o ponadczasowej wartości.

I chyba tak właśnie jest w przypadku abp. Romero: człowieka, który był konformistycznym i konserwatywnym księdzem, lecz gdy już jako biskup próbujący żyć blisko swoich wiernych zobaczył bezmiar ich cierpienia i biedy, zmienił swoje myślenie i stanął bezwarunkowo po ich stronie. Podjął w miarę swoich możliwości walkę o zmianę głęboko niesprawiedliwych struktur społecznych. Wiedział, że może go to kosztować życie, bał się, ale się nie wycofał. I nie dał się ogarnąć nienawiści do tych, którzy w końcu go zabili. ©

Requiem dla ks. Kaczkowskiego

TUŻ PRZED ŚMIERCIĄ DUCHOWEGO Błażej Strzelczyk pytał ks. Jana Kaczkowskiego, jakie ma korzyści z zajmowania się innymi. „Niespecjalnie je mam (...) I może dlatego (...) warto to robić? Ale ciągle czuję, że jestem mało przekonujący w tym, co robię” – odpowiadał. Pytany, kogo chce przekonać, mówił „Tygodnikowi”: „Tych, którzy w moim chorowaniu (...) nie widzą sensu”.

Przez 39 lat zdążył m.in. stworzyć słynne hospicjum w Pucku, obronić doktorat, napisać książki. Ale pamięć ks. Kaczkowski – duchowny chorujący przez ponad trzy ostatnie lata życia na nowotwór mózgu – zapewnił sobie właśnie lekcją sensu; logoterapią w wersji dla mas, udzielaną z ambon i przed kamerami w ciężkich chwilach własnej choroby.

„Chciałbym, żebyście się bardzo uczciwie modlili, żebyście odprawili mszę świętą w nadzwyczajnym rycie rzymskim, gdyby ktoś jeszcze umiał Requiem zaśpiewać po łacinie, byłbym bardzo, bardzo zadowolony” – mówił w tamtym wywiadzie. 30 marca o 18.00 w kościele środowisk twórczych w Warszawie odprawiona zostanie – dzięki „Więzi” i Fundacji im. ks. Kaczkowskiego – msza w nadzwyczajnym rycie w jego intencji w trzecią rocznicę śmierci. © PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

DROGA SYNODALNOŚCI.

„Trzęsienia ziemi wymagają specjalnego postępowania” – powiedział przewodniczący niemieckiego Episkopatu kard. Reinhard Marx, zapowiadając „drogę synodalności”. Podczas konsultacji biskupi wspólnie ze świeckimi ekspertami zastanawiać się będą nad podziałem władzy w Kościele, sensownością celibatu i możliwością zmian w katolickiej etyce seksualnej. To odpowiedź na obecny kryzys dana przez biskupów na wiosennej sesji niemieckiego episkopatu w Lingen.



AFP / EAST NEWS

SZKOLNY NOBEL. Nagrodę dla najlepszego nauczyciela na świecie otrzymał franciszkanin Peter Tabichi, 36-letni nauczyciel matematyki i fizyki w wiejskiej szkole średniej w Kenii – w regionie nawiedzonym przez suszę i klęski głodu. „Przyjdzie czas, że Afryka wyda naukowców, inżynierów, przedsiębiorców, których nazwiska będą sławne w każdym zakątku świata. A ogromną część tej historii zajmą dziewczęta” – mówił Tabichi (na zdjęciu), odbierając milion dolarów podczas gali Global Teacher Prize w Dubaju.

NADZIEJA MŁODYCH.

Podczas wizyty w sanktuarium maryjnym w Loreto we Włoszech papież podpisał po synodalną adhortację „Vive Cristo, esperanza nuestra” („Żyje Chrystus, nasza nadzieja”). Dokument jest efektem prac Synodu Biskupów, który w październiku 2018 r. obradował w Watykanie, na temat młodzieży, wiary i rozeznawania powołania. Oryginał napisano po hiszpańsku. Tekst adhortacji zostanie ogłoszony 2 kwietnia.

KLARA WOJTKOWSKA:

„Bangiza” znaczy olśnienie

MONIKA OCHEŃDOWSKA: Wspólnie z Mono Mukundu, zimbabweńskim producentem, kompozytorem i gitarzystą, kończą Państwo nagrywać materiał na wspólną płytę. Kiedy premiera?

KLARA WOJTKOWSKA: Przypuszczam, że za miesiąc, dwa. Nazwaliśmy ją „Bangiza”, co w języku szona znaczy „olśnienie”. To szczególny rodzaj olśnienia – taki, którego doświadczamy podczas wyprawy do lasu. *Bangiza* to także jedna z najstarszych pieśni na mbire, instrument używany w Zimbabwe podczas ceremonii ku czci przodków. Jedną z piosenek z nowej płyty to właśnie taka skrzypcową, polsko-szonańska wersja bangizy.

Dlaczego akurat bangiza?

Gdy usłyszałam tę pieśń, miałam poczucie, że doskonale ją znam. Być może dlatego, że stare polskie pieśni są podobne stylistycznie do zimbabweńskich. Korzenie kultury słowiańskiej i kultury Szona mają wiele cech wspólnych – szacunek do ziemi, lasu, kultywowanie pamięci przodków. Słowo *musango* tłumaczy się tutaj jako „busz”, „las” i jednocześnie „miejsce na święte sprawy”, ponieważ do lasu chodzi się z modlitwą, zanoszą prośbę. Kiedy w Zimbabwe organizuje się ceremonie *mapira*, czci się pamięć o zmarłych krewnych i okazuje szacunek ziemi. To dlatego, że przodek w kulturze Szona to nie tylko konkretny człowiek, ale i częśćka ziemi, proch, z którego powstał.

Co jeszcze usłyszymy na „Bangizie”?

Płyta jest bardzo różnorodna. Poza tradycyjnymi pieśniami znajdzie się na niej także sporo nowoczesnej muzyki.

© Rozmawiała MONIKA OCHEŃDOWSKA



MATERIAŁY PRASOWE

KLARA WOJTKOWSKA jest skrzypaczką i reżyserką teatralną. Ukończyła afrykanistykę na Uniwersytecie Yale.



NORBERT GAWIN / EAST NEWS

Szaranowicz, język i głos

„JEŚLI SŁOWO ODCHODZI, TO MUSZĘ ODEJŚĆ I JA” – powiedział po ostatnich zimowych igrzyskach, a my myśleliśmy, że była to bardziej diagnoza współczesnego świata, w nim zaś dziennikarstwa – takiego, w którym news wypiera opowieść, a pośpiech sprawia, że zapominamy o pięknie języka. Dziś, kiedy Włodzimierz Szaranowicz w wywiadzie dla sport.tvp.pl mówi o swojej chorobie, wiemy już, że zdanie to można odczytywać dosłownie. 70-letni komentator, legenda dziennikarstwa sportowego, zapowiada pożegnanie z telewizją – ale przecież zostanie z nami na zawsze.

Zostanie z nami, bo na tym polega najpiękniejsza strona zawodu, który z taką klasą wykonywał: jego spokojny głos, czasem pełen ra-

dości, czasem przełamany wzruszeniem (po ostatnim skoku Adama Małysza płakał), splótł się z naszymi wspomnieniami o tylu pięknych chwilach. Kilkanaście igrzysk, lekkoatletyka, koszykówka – łatwiej wymienić dyscypliny, których nie komentował. Absolwent AWF, sportowiec i trener – wiedział, o czym mówi. Człowiek, którego dykcję doskonalił Gustaw Holoubek, i który terminował u Bohdana Tomaszewskiego – wiedział, jak mówi. Człowiek, którego horyzont zainteresowań przekraczał wymiar stadionów – przenosił nasze doświadczenia ze sportem tam, gdzie należne im miejsce. Na poziom kultury.

O pożegnaniu nie ma mowy, zwłaszcza że czekamy na zapowiedzianą w wywiadzie rozmowę rzekę. Mowa jest o wdzięczności.

©© MICHAŁ OKOŃSKI

To nie jest cenzura internetu

STOP ACTA 2 – brzmiało hasło polskich demonstracji przeciw unijnej reformie prawa autorskiego (które 23 marca w kilku miastach zgromadziły ledwie od kilkudziesięciu do kilkuset uczestników). Hasło „ACTA 2”, już w minionym roku sztucznie promowane w sieci przez – jak dowodzili eksperci – boty i trolle, miało skojarzyć unijną dyrektywę o prawach autorskich na jednolitym rynku cyfrowym z cenzurą internetu. Przepisy wyrównujące szanse twórców muzyki, filmów czy treści prasowych w sporze z cyfrowymi gigantami – jak YouTube, Google czy Facebook – o respektowanie praw autorskich mają rzekomo zagrozić prawu do ekspresji twórczej (są nią z pewnością memy, wszelkiej maści przeróbki czy komentowane serie), a nawet wolności słowa.

Jak? Ta niebawem długo negocjowana dyrektywa nakłada na wielkie komercyjne platformy odpowiedzialność za legalność wgrzanych na nie treści. Istnieje obawa, że prewencyjnie zastosują one filtry wgrzanych treści oparte na algorytmach. Tymczasem rozstrzygnięcia o tym, co jest dozwolonym cytatem, recenzją czy satyrą, często są „miękkie”: algorytm może nie rozróżnić piractwa od pastiszu albo zablokować np. obywatelską relację z ważnego wydarzenia, bo w tle słychać jakąś muzykę.

Tyle że – wbrew przekazom w internecie – dyrektywa po poprawkach nie tylko filtrów nie narzuca, ale wręcz nakazuje powierzać blokowanie treści kontroli człowieka. Pytanie więc, czy adresem protestów powinien być Parlament Europejski (głosowanie nad dyrektywą zapowiedziano po zamknięciu tego wydania „Tygodnika”) czy zamierzający stosować filtry sieciowi giganci.

©© MICHAŁ KUŹMIŃSKI

KULTURA W SKRÓCIE

HOMO BULLA.

Nie spodziewaliśmy się, że piana jest złożonym problemem matematycznym, toteż z oszołomieniem przyjęliśmy informację o przyznaniu Nagrody Abła amerykańskiej matematyce Karen Keskulli Uhlenbeck. Jej obliczenia powierzchni tworzących przez stykające się bańki mydlane zrewolucjonizowały rozumienie problemów minimalizacji w wyższych wymiarach – czytamy w uzasadnieniu, a nasze myśli mimowolnie odpytują w kierunku sztuk wanitatycznych, bo przecież „przy urodzeniu człowiek jest jako piana, po urodzeniu jako bańka, która się leda wichrem zachwiana wnet stłuc może” (Mikołaj Rej). Nagroda Abła uznawana jest za matematyczny odpowiednik Nobla, Uhlenbeck jest pierwszą w historii matematyką uhonorowaną przez Norweską Akademię Literatury i Nauki, a puszczanie baniek zyskało nowy, wyższy wymiar.

ABSENS CARENS. Ponad 20 artystów przekazało swoje prace na aukcję charytatywną, z której całkowity dochód wesprze działania fundacji Refugee.pl, zajmującej się pomocą uchodźcom i migrantom. 2 kwietnia o godz. 19.00 w Oliwskim Ratuszu Kultury w Gdańsku będzie można licytować prace malarskie, graficzne i fotograficzne, a także zdjęcia wykonane przez dzieci uchodźcze w ramach projektu „Raz, dwa, trzy... uchodźcą będziesz ty”.

IN MEMORIAM. Mijają trzy lata od otwarcia Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej. W tym czasie odwiedziło je ponad 100 tys. osób. Dokładnie 75 lat temu, w marcu 1944 r. we wsi Markowa Niemcy zamordowali ośmioro Żydów: Gotłde Grünfeld, Leę Didner z córeczką oraz Saula Goldmana i jego czterech synów, a także ukrywającą ich polską rodzinę Ulmów. W 1995 r. Wiktor i Józef Ulmowie zostali uhonorowani pośmiertnie tytułem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.



MATKI MAJĄ DOŚĆ

Tu chodzi o rzeczy ważniejsze niż edukacja seksualna,
bo o zdrowie i życie ich dzieci.
Apele rodziców osób LGBT+ pozostają jednak bez echa.

TEKST PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI ILUSTRACJE JOANNA RUSINEK

ZACZĘŁO SIĘ TSUNAMI. POLITYCY, URZĘD-
nicy bawią się życiem. Mogą dopro-
wadzić do nieszczęść, które w środowisku
młodzieży LGBT+ i tak się zdarzają. Dać
oreż tym, którzy będą chcieli skrzywdzić
nasze dzieci. Na osiedlu, w szkole – mówi
Irmina Szałapak ze stowarzyszenia My
Rodzice, zrzeszającego matki, ojców i so-
juszników osób LGBT+.

– Na spotkaniu stowarzyszenia rozma-
wiałam z mamą 16-latką. Powiedziała, że
się boi. On chciałby się ujawnić, ona mu
odradza. Bo co jeśli komuś nakręconemu
homofobią przyjdzie do głowy „zgnoić
ciotę”, jak pisano na Facebooku po samo-
bójstwie szykanowanego chłopca? – pyta
Ewa Miałkowska, inna członkini MR.

Tweety i zgrzyty

Zaczął się 18 lutego, gdy prezydent Rafał
Trzaskowski podpisał Warszawską De-
klarację LGBT+. Dokument dotyczy całej
społeczności, ale do mediów przebiły się
wątki edukacyjne.

Głównie dwa cytaty: „edukacja anty-
dyskryminacyjna i seksualna dostępna
w każdej szkole zgodna ze standardami
Światowej Organizacji Zdrowia (WHO)
oraz aktywne wsparcie kadry szkolnej
w zapobieganiu dyskryminacji”, a także
„przynajmniej jedna osoba z kadry w każ-
dej szkole, która interweniuje i pomaga
młodzieży i dzieciom LGBT+ prześlado-
wanym z powodu orientacji lub tożsamo-
ści płciowej”.

Ruszyła lawina. „Czy Rafał Trzaskowski
poinformował, czym LGBT jest naprawdę?
Czy wspomniał, że to propagowanie m.in.

pedofilii?” – pytała małopolska kurator
oświaty Barbara Nowak. A windsurferka
Zofia Klepacka pisała: „Mówię katego-
rycznie NIE dla promocji środowisk LGBT
i będę bronić tradycyjnej Polski. Czy mój
dziadek walczył o taką Warszawę w Po-
wstaniu? Nie wydaje mi się...”.

Gdy burza mijała, głos postanowił za-
brać Jarosław Kaczyński: „Mówimy »Nie!«
atakowi na dzieci. Nie damy się zastraszyć.
Będziemy bronić polskie rodziny” – mó-
wił podczas konwencji partyjnej szef PiS,
a marszałek Senatu Stanisław Karczewski
nadał cytatom dodatkowy kontekst, pu-
blikując w internecie grafikę („tęczowy
deszcz”, niżej parasol z logo partii rzązą-
cej, pod nim „polska rodzina”). Swoje do-
dał europoseł Ryszard Legutko. „Ci ak-
tywiści i organizacje są bardzo brutalni
– mówił w telewizji wPolsce.pl. – Mają me-
tody bolszewickie. Jeżeli ktoś wyobraża so-
bie tych ludzi jako pogubionych, krzyw-
dzonych przez ludzkie uprzedzenia...
skądże! To są ludzie, którzy rządzą”.

Podpisany przez prezydenta stolicy do-
kument stał się przedmiotem analiz.

Dla Rzecznika Praw Dziecka Mikołaja
Pawlaka podpisanie dokumentu było wąt-
pliwe prawnie (pytał, czy wpływ na pro-
gramy szkół należą do uprawnień samo-
rządu). Dla Instytutu Ordo Iuris „szczegół-
nie kontrowersyjna jest idea wprowadze-
nia w szkołach tzw. edukacji antydyskry-
minacyjnej. Z dotychczasowych doświad-
czeń wynika, że tego typu programy nie-
jednokrotnie stanowiły formę upowszech-
niania ideologii gender oraz indoktrynacji
w duchu postulatów środowiska LGBT”.

Dla Konferencji Episkopatu Polski De-
klaracja może oswajać dzieci „z różnymi
formami relacji płciowych, a więc nie
tylko rodzicielskim związkiem mężczy-
zny i kobiety, ale także z zachowaniami
samotniczo-ipsacyjnymi, biseksualnymi,
homoseksualnymi, dezaprobaty płci w po-
staci różnych postaci transseksualizmu”.

Dla rodziców dzieci LGBT+ Deklaracja
stała się nadzieją, że szkoły na poważnie
zajmą się tematem dyskryminacji.

Szkolne tabu

– Pierwsza rozmowa, podczas której syn
powiedział nam o sobie, odbyła się, kiedy
miał może 13, może 14 lat – opowiada pani
Justyna (imię zmienione), matka dziecka
transpłciowego. – To był dla niego bardzo
trudny okres. Pod koniec podstawówki
i na początku gimnazjum był uważany
za kogoś innego, dziwnego. Postanowili-
śmy zmienić placówkę. Dwa kolejne lata
w szkole demokratycznej to był jedyny
okres, kiedy czuł, że może być sobą. Jesz-
cze później trafił do prywatnego liceum,
do którego chodzi nadal. Choć dyrekcja
i kadra zareagowały dobrze, akceptując,
że chce być uważany za mężczyznę, nie
rozwiązało to problemu alienacji. Powód
jest prosty: ten temat to tabu, mimo że jest
masa rozmów na różne tematy. Krew mnie
zalewa, gdy słyszę o kolejnej „pogadance”
na temat narkotyków albo internetu.

– Syn nie był nigdy szykanowany – opo-
wiada z kolei Ewa Miałkowska, matka
homoseksualnego chłopca, który kilka
lat temu skończył szkołę. – Przeciwnie:
był akceptowany i lubiany. Choć zdarzało

→ mu się otrzeć o homofobię, gdy np. słyszał kawały o „pedałach” albo był świadkiem agresji w stosunku do innych. Musiał się z tym mierzyć. W drugiej klasie liceum dokonał coming-outu, ograniczonego jednak do grona najbliższych przyjaciół. Ale w szkole jako instytucji temat był tabu.

Był nim, dodajmy, w zasadzie od zawsze, niezależnie od rządzącej opcji. – To niejedynie tabu polskiej edukacji, w jakimś sensie ona jest na tabu ufundowana – komentuje Iga Kazimierczyk, nauczycielka, pedagog i prezeska fundacji Przestrzeń dla Edukacji. – Milczymy na temat przemocy, emocji i ich wyrażania. Nie rozmawiamy po prostu z dziećmi na ważne tematy.

– Szkoła wyklucza nawet połowę społeczeństwa – zauważa psycholog dziecięca Agnieszka Stein, autorka wydanej w ubiegłym roku książki „Nowe wychowanie seksualne”. – Widać to np. po ilustracjach podręcznikowych z mamą i tatą, którzy zwykle przebywają tam, „gdzie jest ich miejsce”, to znaczy ona w kuchni, a on na kanapie. Ja już nie mówię o parach jednopłciowych, nie widziałam nawet ilustracji rodziny z dorosłymi po rozwodzie!

W 2012 r. organizacje pozarządowe, na czele z Towarzystwem Edukacji Antydyskryminacyjnej, odniosły symboliczny sukces: w wymaganiach państwa wobec szkół znalazło się zobowiązanie do prowadzenia działań antydyskryminacyjnych. Zapis, że dzieci nie mogą padać ofiarą dyskryminacji, funkcjonował też w preambule do podstawy programowej.

– Tyle że gdy wystąpiliśmy do ówczesnego ministerstwa, by w takim razie wsparło pedagogów, wprowadzając w Ośrodkach Doskonalenia Nauczycieli kursy uczące, jak tę dyskryminację zwalczać, nie było odzewu – wspomina Ewa Stoecker z TEA. – Zresztą i wtedy, i później nauczyciele próbujący wprowadzać te treści do nauczania czuli się w pokojach nauczycielskich jak ciała obce. Nasze badania z 2015 r. pokazały, że albo byli przytłoczeni, bo traktowano ich jako jednoosobowe pogotowia od przypadków trudnych, albo otoczeni nieufnością.

Równość: wróg publiczny

Specjalnością rządu PO były działania symboliczne oraz gra pozorów, z kolei PiS postanowił wypalić gorącym żelazem wszystko, co kojarzyło mu się z tym. Resort Anny Zalewskiej usunął z rozporządzeń i podstaw programowych wszelkie fragmenty ze słowem „dyskryminacja”.

W podstawach programowych dla nieobowiązkowego przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie w podstawówkach nie pada także pojęcie „orientacji seksualnej”.

Podobne treści mogłyby się pojawić w programach profilaktyczno-wychowawczych, uchwalanych przez każdą szkołę z osobna, a wyznaczających wychowawcze priorytety. – Tyle że z dokumentem tym w polskich realiach związane są problemy. Pierwszy: rodzice w jego tworzenie często się nie angażują, co w praktyce oznacza, że program kształtuje rada pedagogiczna. Drugi: dyrektorzy są pod ostrzałem z dwóch stron. Rodziców, którym zdarza się protestować już po fakcie, że na to czy tamto się nie zgadzali. I kuratoriów, które wysyłają kontrolerów, powołując się często na sprzeciw pojedynczych rodziców. Trzeci: w homofobicznej atmosferze szkoły kilka razy się zastanawia, zanim zapiszą w programie podobne treści – mówi Iga Kazimierczyk.

– Po prostu się boją – dodaje Ewa Stoecker z TEA, które w ostatnich latach zostało odcięte od państwowych dotacji na działalność. – Znam dyrektorkę, która za to, że prowadziła działania antyprzemocowe i antydyskryminacyjne, była wzywana na komisję dyscyplinarną do kuratorium. W Krakowie, gdzie kurator Nowak działa prężnie nie tylko na Twitterze, prowadzi jako doktorantka badania na temat edukacji antydyskryminacyjnej. Zaprosiłam do projektu nauczycielki, prosząc, by zbadały pod tym względem własne szkoły, a także zaprojektowały na ich terenie skuteczne działania. W ciągu pół roku osiem się wycofało! Albo nie miały wsparcia dyrekcji, bo ta się bała, albo same nie chciały się narażać. Edukacja antydyskryminacyjna to jeden z głównych wrogów obecnej władzy.

Przykład to afera z „Tęczowym Piątkiem” – jednodniową akcją organizowaną przez Kampanię Przeciw Homofobii, mającą pokazać, że szkoła jest też przestrzenią dla uczniów i uczennic LGBT+ – na długo przed ogłoszeniem warszawskiej Deklaracji. W październiku ub. r. do akcji miało przystąpić ponad 200 szkół, ale część się wycofała z obawy o bezpieczeństwo uczniów. W II LO w Tarnowskich Górach na wieść o organizacji „Tęczowego Piątku” skrzynkę mailową zalała fala listów, wśród których były postulaty wysłania organizatorów do „komór gazowych” i „na rozstrzelanie”. A dyrekcje placówek, które jednak do akcji się włączyły, usłyszały min. Zalewską zapowiadającą kontrolę.

– Gdy pisaliśmy wcześniej do pani minister w sprawie lekcji równości, odpowiadała, że szkoły są autonomiczne – opowiada Ewa Miastkowska. – „Tęczowy Piątek” spowodował nagonkę i falę kontroli, która nie była niczym innym jak zamachem na tę autonomię.

Stop seksualizacji!

Czym właściwie jest edukacja antydyskryminacyjna, że powoduje aż takie emocje? Ewa Stoecker tłumaczy, że chodzi o wiedzę na temat mechanizmów dyskryminacji oraz jej konsekwencji, przekazywaną tak pedagogom, jak dzieciom. A także budowanie umiejętności jej przeciwdziałania. – Kładziemy nacisk na rolę świadków, bo im znacznie łatwiej reagować niż ofiarom – mówi działaczka TEA. – I na informacje o grupach dyskryminowanych, bo nienawiść wynika często z lęku, a ten z niewiedzy.

Krytycy „Tęczowego Piątku” i Deklaracji LGBT+ nie mają jednak wątpliwości: edukacja antydyskryminacyjna, mówiąc, to tylko przykrywką dla ideologii, a jej częścią jest „zbyt wczesna seksualizacja”, nawet w wieku 0–4 lat. Mimo iż „Tęczowy Piątek” nie miał nic wspólnego z edukacją seksualną, a Deklaracja do niej nawiązywała, ale w odniesieniu do szkół; mimo że warszawski dokument nie ma wiążącej mocy – wprowadzane do szkół treści muszą być przecież zgodne z oświatowym prawem, zmienionym zresztą przez PiS; mimo że „standardom WHO” trudno zarzucić przesadne skupienie na seksie: wiele w nich o szacunku i relacjach, dużo o bezpieczeństwie, sporo o stawianiu granic.

Według Agnieszki Stein nie da się wyznaczyć wiekowej cezurę rozpoczęcia edukacji seksualnej. – W ogóle nie podoba mi się pomysł wyznaczania ram: zarówno tych wiekowych, jak organizacyjnych, czyli ograniczania tematyki rozwoju seksualnego dziecka do lekcji WDŻ albo wychowawczej – mówi psycholog. – Marzyłoby mi się podążanie za dzieckiem, jego potrzebami, rozwojem i ciekawością na różnych lekcjach: biologii, literatury czy wychowawczej. W polskiej edukacji tymczasem, mimo iż działa w niej wielu wspaniałych pedagogów, panuje tendencja, by mówić o pewnych rzeczach wtedy, gdy jest już za późno.

„To rodzice powinni decydować, kiedy i jak edukować dzieci” – to kolejny refren krytyki warszawskiej Deklaracji. Refren

nośny. Jak wynika z niedawnego sondażu IBRIŚ, ponad połowa Polaków jest przeciw warszawskiej Deklaracji LGBT+, a 67 proc. wyraża pogląd, że „naukę o seksie powinni przekazywać dzieciom przede wszystkim rodzice”.

– To iluzja – mówi Agnieszka Stein. – Jedynym sposobem, by mieć pełną kontrolę nad tym, jakie treści i w jakim momencie trafiają do młodych, jest zamknięcie ich w klatce. Oni przecież o „masturbacji” i „gejach” usłyszą od kolegów wcześniej, niż nam się wydaje.

Co z „seksualizacją” i „erotyzacją”, do której odnosił się już nawet sam prezes Kaczyński? – Seksualizacja to nic innego jak sprowadzanie człowieka do roli obiektu seksualnego – mówi Stein. – I to się w szkole dzieje, tylko nie tam, gdzie niektórzy sądzą. Np. gdy dziewczynki mają nakaz noszenia długich spódnic, „żeby nie dekoncentrować chłopców”. Seksualizacją nie jest natomiast mówienie dziecku o jakimś zjawisku, gdy jest tego zjawiska ciekawe. Albo informowanie, kim są osoby homoseksualne. Jeśli zakładamy, że taka informacja może deprawować, podświadomie seksualizujemy, sprowadzając kwestię orientacji wyłącznie do sfery erotycznej.

Homofobia zabija

Pani Justyna (mama dziecka transpłciowego) zapamiętała szczególnie jeden moment. Jej syn jest na początku gimnazjum, przeżywa trudny okres, cierpi na depresję. W szkole słyszy od koleżanki, że „gdyby była taka jak on, być może popełniłaby samobójstwo”.

Ewa Miastkowska pamięta dwie ważne chwile. Pierwsza: jej może 15-, może 16-letni syn zaprasza ją do wspólnego oglądania filmu „Tajemnica Brokeback Mountain” – nagrodzonej m.in. Oscarami historii trudnej miłości młodych gejów: – Nie pierwszy raz oglądaliśmy razem film, ale po raz pierwszy mój syn płakał... Później zdobyłam się na odwagę i zapytałam, czy jest gejem. Potwierdził.

Chwila druga, kilka lat później. To wtedy dołączyła do grona „aktywistów”, o których mówił ostatnio prof. Legutko. – Nie mam natury aktywisty – mówi Ewa Miastkowska. – Zaczęłam działać, gdy w 2015 r. usłyszałam o samobójczej śmierci chłopca. Byłam wstrząśnięta tym, jak został zaszczuty.

14-letni Dominik powiesił się na sznurówce. W liście pożegnalnym napisał, że

W polskich szkołach
jest ich kilkadziesiąt tysięcy.
Połowa ma objawy depresji,
**70. procent miewa myśli
samobójcze.**

„czuł się jak zero”. Koledzy na gimnazjalnym korytarzu nazywali go „pedziem”. Kilkanaście miesięcy później powiesił się – we własnym pokoju – 14-letni Kacper. Też szykanowany przez rówieśników.

W polskich szkołach jest ich kilkadziesiąt tysięcy, nawet jeśli mowa jedynie o liceach, technikach i szkołach branżowych. Dane mówią o co najmniej jednej – statystycznie – osobie homoseksualnej w każdej klasie. Ujawnieni, częściej pochowani.

Kampania Przeciw Homofobii podaje w publikacji „Sytuacja społeczna osób LGBT+ w Polsce. Raport za lata 2015–2016”, że połowa osób z tego środowiska w wieku do 18 lat ma objawy depresji, 70 proc. czuje się osamotnionych i tyle samo miewa myśli samobójcze.

– Bardzo bym chciała, by te dane robiły na ludziach wrażenie – mówi Agnieszka Stein. – Żeby już nikt nigdy nie powiedział, że homoseksualizm czy transpłciowość to jakiś „wybór” albo „fanaberia”. W Polsce nikt nie popełnia samobójstwa dlatego, że jest osobą heteroseksualną.

– Nie potrafimy sobie nawet wyobrazić, czym jest „stres mniejszościowy”, głównie na początku, gdy nikt z otoczenia nie wie o problemie młodego człowieka – mówi Irmina Szałapak, której córka jest osobą niebinarną, czyli nieidentyfikującą się z żadną z płci. – Zwłaszcza że według statystyk odmiennosc swojego dziecka akceptuje na początku tylko co czwarta matka i co dziesiąty ojciec.

– Wypowiedź kuratorki oświaty zrównującej w zasadzie LGBT z pedofilią nie jest zamknięta w jakiejś publicystycznej bańce: dotyka prawdziwego życia prawdziwych ludzi – mówi Iga Kazimierczyk. – Dokładanie dzieciakom, które i tak miewają trudne życie, jest zwykłym okrucieństwem.

– Osoba z grupy narażonej na dyskryminację może poczuć się zastraszana nawet wtedy, gdy przekaz nie jest kierowany bez-

pośrednio do niej – ocenia Ewa Stoecker. – To istota mechanizmu mowy nienawiści: sygnał jest kierowany np. „tylko do aktywistów”, ale odbierany przez całą grupę osób nieheteronormatywnych. W tym przypadku także młodych ludzi i ich rodziców.

„Od najmłodszych lat uczymy dzieci empatii, szacunku dla innych, współpracy na rzecz społeczności. Narracja wrogości i niechęci w stosunku do osób LGBT wytrąca nam wszystkie argumenty wychowawcze, obnaża hipokryzję społeczeństwa i państwa, legitymizuje niesprawiedliwość i przemoc” – napisali w zeszłym tygodniu członkowie stowarzyszenia My Rodzice do Jarosława Kaczyńskiego. „Nie godzimy się na traktowanie naszych dzieci jak społecznych wrogów” – dodawali.

Kilka tygodni wcześniej cztery matki młodych ze środowiska LGBT+ – wśród nich pani Justyna i Irmina Szałapak – poszły do siedziby małopolskiego kuratorium oświaty. Chciały rozmawiać z Barbarą Nowak.

– Podobne wypowiedzi naprawdę nie zostają bez echa – dodaje pani Justyna. – Moja znajoma umieściła na Facebooku wpis, według którego pozwalanie swojemu dziecku na „wybór płci” jest jak akceptacja, by zmieniło się w kota, ponieważ uwielbia się w niego wcielać podczas dziecięcych zabaw. Porównania tego typu są wynikiem niewiedzy i poszukiwania informacji w nie zawsze sprawdzonych źródłach. Niejednokrotnie słyszałam też pogląd, że takie pary z zagranicy adoptują polskie dzieci, ponieważ chcą je wykorzystywać. Powtarzanie kłamstw przez polityków utrwała w społeczeństwie przekonanie, że „osoba homoseksualna równa się pedofil”.

Co powiedziałyby małopolskiej kurator? – Że podobne słowa dotyczą nasze dzieci – mówi pani Justyna. – I dodałabym: „Nawet pani nie wie, jak pani je i nas rani”.

Barbara Nowak nie przyjęła matek w siedzibie kuratorium. Na list z żądaniem przeprosin odpowiedziała, że rodzice zostali wprowadzeni w błąd przez media. „Nigdy w żadnej wypowiedzi nie obrażałam dzieci. Wręcz przeciwnie: zawsze stoję po stronie ich bezpieczeństwa” – napisała kurator.

Jarosław Kaczyński na list od stowarzyszenia My Rodzice jak dotąd nie odpowiedział.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Niewidzialni w Kościele

KS. JACEK PRUSAK SJ, PSYCHOTERAPEUTA:

Rozumienie szacunku i tolerancji względem osób homoseksualnych w Kościele oznacza często postawę: nie ujawniaj się, a skoro to uczyniłeś, niczego się nie domagaj.

ARTUR SPORNIAK: Co czuje młody chłopak, który na przerwach w szkole słyszy „pedzio”?

KS. JACEK PRUSAK SJ: Czuje ból, czuje się upokorzony i stygmatyzowany, przeżywa ambiwalentne emocje w stosunku do siebie. Jeśli dodatkowo jest osobą wierzącą, postrzega swoją sytuację znacznie intensywniej, z większym poziomem lęku i doświadczeniem niezrozumienia otoczenia niż osoby niereligijne. Czuje, że nie przystaje do większości, gdyż nie zachowuje się tak, jak większość jego kolegów. Czuje, że rodzice mają w stosunku do niego oczekiwania, których on najprawdopodobniej nie spełni, więc czuje się gorszy jako dziecko. I jeśli jest wierzący, czuje się inny w jeszcze bardziej problematyczny sposób – jako grzeszny. Nie tylko doświadcza tego, że „coś jest z nim nie tak”, bo tak mu mówi najbliższe otoczenie, ale słyszy też, że jest nie w porządku wobec Boga.

To złe samopoczucie przekłada się na niepokojące statystyki. Ci młodzi pięć razy częściej niż rówieśnicy heteroseksualni podejmują próby samobójcze, trzy razy częściej myślą o popełnieniu samobójstwa i jeśli pochodzą z rodzin, które w zdecydowany sposób odrzucają homoseksualizm, to osiem razy częściej próbują popełnić samobójstwo niż ich rówieśnicy LGBT akceptowani w swoich domach. Każdy słowny czy fizyczny atak zwiększa dwuipółkrotnie prawdopodobieństwo podejmowania autodestrukcyjnych zachowań. Z tych danych wynika, że taki młody chłopak lub młoda dziewczyna czują się nieakceptowani, niekochani, a nawet potępiani i zagrażają im różne problemy natury psychicznej.

Konieczna jest pomoc. Jak pomagać w szkole?

Szkoła generalnie nie pomaga. Z badań amerykańskich wynika, że 85 proc.

młodzieży LGBT doświadczyło w szkole jakiejś formy stygmatyzacji i prześladowania. 63 proc. słyszało homofobiczne uwagi ze strony nauczycieli lub administracji. 57 proc. czuło się w szkole niepewnie z powodu własnej orientacji seksualnej. 57 proc. skarżyło się, że nie szukało pomocy w szkole, ponieważ nie spodziewało się, iż zostanie im udzielona. 63 proc. osób prześladowanych nie uzyskało pomocy w szkole. W Polsce jest jeszcze gorzej, gdyż poziom świadomości społecznej i obecność tej tematyki w szkołach są nieproporcjonalnie do tego, co mamy na Zachodzie.

Trzeba pamiętać, że okres dojrzewania płciowego jest okresem tworzenia się i konsolidowania orientacji seksualnej. Obecnie w naukach behawioralnych nie mówi się, że człowiek rodzi się z orientacją seksualną. Człowiek rodzi się z biologiczną predyspozycją do rozwinięcia się orientacji seksualnej. W okresie dojrzewania młodzi eksperymentują ze swoją tożsamością. I ci, którzy mieli kontakty homoseksualne, niekoniecznie muszą być homoseksualistami. To dotyczy zwłaszcza dziewczyn. Wśród kobiet tzw. płynna orientacja jest częstsza niż u mężczyzn.

Jakiej pomocy młodzi potrzebują, choć w szkole jej nie otrzymują?

Najpierw w zrozumieniu siebie i tego, co przeżywają czyli umieszczenia przeżyć i doświadczeń w perspektywie rozwojowej. Chodzi o to, że zewnętrzny autorytet – np. szkolny psycholog – nie może z góry powiedzieć, jaka będzie orientacja seksualna młodego człowieka. Powinien jednak pomóc przyjąć odkrywaną orientację jako część własnej tożsamości.

Czy program „Latarnik”, czyli postulat, by w każdej szkole była osoba pomagająca młodemu LGBT, jest dobry?

Tak, gdyż pomoc może tylko osoba kompetentna, gwarantująca poczucie poufności, od której dziecko nie będzie zależne jak od nauczycieli. Pytanie: kto ostatecznie powinien za to odpowiadać? Kościół mówi: rodzice. Tyle że rodzice sami wymagają wsparcia – zdarza się, co wiem z praktyki terapeutycznej, że młody człowiek słyszy: „Nie jesteś już moim synem”.

Straszne słowa.

Z badań wiemy, że im rodzice są bardziej religijni, tym trudniej jest im właściwie zareagować. Wiadomość o homoseksualizmie dziecka nie tylko uruchamia lęki o jego przyszłość w sferze społecznej, a z tym się np. wiąże zawód, że nie będą dziadkami, ale także lęk, że dziecko zostanie potępione przez Boga i że oni jako rodzice także zostaną potępieni.

Młodzi homoseksualiści mogą zatem obawiać się odrzucenia i przez rodziców, i przez rówieśników, i przez Kościół. Na pomoc systemową – na razie – nie mogą liczyć. Jak sobie radzą?

W trojaki sposób. Próbuje odrzucić swoją tożsamość. Próbuje oddzielić swoją religijność od tożsamości albo próbują zintegrować swoją orientację z systemem wartości, które uważają za najważniejsze – np. z wiarą. Trzecia opcja jest najbardziej dojrzała.

Wypierać orientację można w różny sposób, np. mówiąc: jestem homoseksualistą, ale nie jestem gejem. Bóg mnie takim stworzył, ale ja tak nie żyję, albo nie chcę żyć. Gdy taka osoba nie potrafi żyć w celibacie, zwykle tłumaczy się: do tych czynów zmusza mnie społeczeństwo, które mnie nie rozumie. Jest to niedojrzały mechanizm, gdyż nie można zarazem być i nie być homoseksualistą. I nieskuteczny: wmawianie sobie, że jest się asekualnym, nigdy się nie udaje. Z czasem, nie potrafiąc sprostać swoim zobowiązaniom, takie osoby zaczynają odczuwać względem siebie coraz większą nienawiść.

Druga niedojrzała reakcja polega na przyjęciu strategii kameleona: wśród gejów jestem gejem, wśród osób wierzących jestem osobą wierzącą.

Oba te sposoby polegają na próbie poradzenia sobie z wewnętrznym konfliktem psychicznym przez dzielenie siebie na dobrą i złą część. Ta dobra to ja katolik i niehomoseksualista, ta zła to ja gej. I z badań, i z doświadczenia terapeutycznego

wiadomo, że to więcej problemów rodzi, niż rozwiązuje. Żeby np. nie czuć się nieczystymi, młodzi mocno intensyfikują swoje życie religijne i stają się ultrareligijni. Szukają też terapii reparatornych – z powodów religijnych chcą się „wyleczyć” z homoseksualizmu...

...co się nie sprawdza.

To w ogóle nie zdaje egzaminu. Na dodatek tylko nasila problemy i wciąga w nie także inne osoby.

A jaka jest strategia rokująca?

Normalizacja odczuć poprzez przyjęcie faktu, że mam taką orientację seksualną. Problemem jest to, że ocena homoseksualizmu jest kulturowo uwarunkowana, a czynnikiem często decydującym jest religia. Społeczeństwa, które są negatywnie nastawione do homoseksualizmu, najczęściej szukają uzasadnienia tego nastawienia właśnie w religii.

To się zaczyna zmieniać z powodu internetu. Pokolenie 95 – czyli I-generation – jest coraz bardziej tolerancyjne wobec osób LGBT. Z ankiety przeprowadzonej w 2012 r. wśród Amerykanów między 18. a 24. rokiem życia wynika, że 64 proc. uważało chrześcijaństwo za antyhomoseksualne. A 79 proc. osób niereligijnych uważało, że chrześcijaństwo jest homofobiczne. Okazuje się, że nigdy jeszcze nie było tak afirmatywnego względem LGBT pokolenia w historii.

Co to znaczy: akceptować swoją orientację seksualną?

Oznacza to rozumienie jej jako sposobu przeżywania siebie, a nie czegoś obcego, dołączonego, niechcianego bagażu. W Kościele można spotkać też: orientacja seksualna nie jest twoją tożsamością. To skrót myślowy, który myli seksualność – przeżywanie siebie jako osoby płciowej – z genitalnością, czyli z seksualnym sposobem wyrażania orientacji. Akceptacja orientacji seksualnej oznacza zatem akceptację, że moje pragnienia seksualne mogą być skierowane do osób tej samej płci, co nie oznacza, że jestem chory, gorszy, że jestem jakimś dewiantem, obarczonym od urodzenia defektem.

Kościół domaga się szacunku dla takich osób. Czyli ich akceptacji z ich orientacją jako czymś pozytywnym?

Niestety rozumienie szacunku i tolerancji względem takich osób w Kościele



oznacza często postawę: nie ujawniaj się, a skoro to uczyniłeś, niczego się nie domagaj!

To coś podobnego do stwierdzenia ze stanowiska Episkopatu w sprawie tzw. Karty LGBT: „Kościół nie używa nazwy LGBT, ponieważ w niej samej zawarte jest zakwestionowanie chrześcijańskiej wizji człowieka”.

Mamy tu ową przesłankę, że orientacja seksualna nie jest tożsama z jego podmiotowością. W dokumentach kościelnych mamy problem z językiem. Franciszek jest pierwszym papieżem, który użył słowa „gej”. Jeżeli odrzucamy istnienie innych orientacji seksualnych, jeżeli odmawiamy tym ludziom prawa do opisu swoich odczuć, przeżyć i doświadczeń swoim własnym językiem i z ich własnej perspektywy, to czy rzeczywiście ich szanujemy i tolerujemy? Nawet w języku nie pozwalamy sobie na to, żeby spróbować ich zrozumieć.

Jako psycholog czy psychoterapeuta mam z takimi orzeczeniami ten problem,

że one nie pozwalają mi zrozumieć osoby z jej punktu widzenia.

A jako ksiądz?

Kieruję się wezwaniem papieża Franciszka, by najpierw rozeznąć i towarzyszyć. Jako psycholog wiem, że istnieją inne orientacje niż tylko heteroseksualna. Jako psycholog i ksiądz wiem, co się dzieje w życiu ludzi, którzy temu zaprzeczają – do jakich nieszczęść się doprowadzają i jak bardzo wyrządzają sobie szkodę. Wiem też, do jakich szkód doprowadzają spowiednicy, którzy np. homoseksualistom mówią, że jeśli będą to robić, to niech pamiętają, iż jest to większy grzech niż morderstwo, albo że są dewiantami.

Do szkód doprowadzają też katolickie ośrodki oferujące pomoc w „leczeniu” homoseksualizmu. Po pierwsze, cele duszpasterskie formułują w języku psychologicznym, co już jest nadużyciem. Po drugie – co wiem z praktyki terapeutycznej – w ich pracę zaangażowani są duszpasterze, którzy powołują się na tzw. teorię deficytów uczuciowych, według której przyczyną homoseksualizmu są dysfunkcyjne relacje między rodzicem, a dzieckiem. Sami będąc homoseksualistami, stosując pomoc przez przytulanie i dochodzi do nadużyć.

Czy homoseksualista, kochający kogoś i będący z nim w związku, może liczyć na rozgrzeszenie?



GRAŻYNA MAKARA

KS. JACEK PRUSAK SJ
(ur. 1971) jest psychoterapeutą, kierownikiem Katedry Psychopatologii

i Psychoprophylaktyki Instytutu Psychologii Akademii Ignatianum w Krakowie.

→ Mam władzę rozgrzeszania tylko w imieniu Kościoła. Nie mogę rozgrzeszać na podstawie własnych poglądów. Próbuję zatem tłumaczyć, że nie mogę dać rozgrzeszenia. Mówię: nie mogę cię pojechać, gdyż Kościół mi na to nie pozwala, ale to nie zamyka twojej relacji z Bogiem. Mówię też: masz obowiązek formowania swojego sumienia – to ty rozstrzygasz w sumieniu, co jest grzechem w twoim życiu. Moja rola jako spowiednika sprowadza się do roli szafarza w pojednaniu z Bogiem i Kościołem, ale nie w wyłączeniu sumienia penitenta czy robieniu z siebie zastępczego superego. Inną sytuacją jest, jeżeli ktoś stara się żyć zgodnie z nauką Kościoła, tylko mu się nie udaje. Z doświadczenia wiem, że im osoba jest bardziej religijna, tym jest jej trudniej.

Paradoksalnie religia staje się przeszkodą?

Z badań wynika, że co drugi katolik-homoseksualista przestaje chodzić do kościoła. Jednym ze sposobów osłabienia wspomnianego wewnętrznego konfliktu jest osłabienie praktyk religijnych. Często nie wystarczy jednak oddalić się od Kościoła, by poradzić sobie ze zinternalizowanymi nakazami religijnymi.

Wracając do stanowiska Episkopatu – biskupi skomplikowany świat wewnętrzny osoby homoseksualnej sprowadzają do ideologii. Piszą: „Proponowane alternatywne wizje człowieka nie liczą się z prawdą o ludzkiej naturze, a odwołują się

**Kościół nie może mówić,
że szanuje
homoseksualistów,
jeśli jednocześnie odmawia
im prawa do opisu
własnej sytuacji
ich własnym językiem.
Na przykład nazwą LGBT.**

tylko do wymyślonych ideologicznych wyobrażeń”.

Dla mnie kwestionowanie tego, co na podstawie nauki wiemy o ludzkiej seksualności, jest ideologią. Dla mnie to „jak jest” nie pociąga tego „jak powinno być”. Między nauką a wiarą jest napięcie, ale nie ma sensu redukować go w ideologiczny sposób. Nie można fundamentalistycznie odczytywać biblijnej wizji natury ludzkiej. Np. w czasach św. Pawła nie istniało pojęcie orientacji homoseksualnej czy kategoria choroby alkoholowej, dlatego w jego mniemaniu i pijacy, i mężczyźni współżyjący ze sobą nie odziedziczą królestwa niebieskiego. Gdy czytam Biblię, odnajduję w niej negatywną ocenę stosunków homoseksualnych przede wszystkim w kontekście wykorzystania – młodszego przez starszego czy w prostytucji sakralnej. Nie oczekuję od Biblii wiedzy na temat orientacji seksualnej. Ale z drugiej

strony współczesna jej lektura musi się z taką wiedzą liczyć.

Nie oznacza to, że Kościół nie ma prawa dzisiaj powiedzieć, które zachowania są niemoralne. Nie może jednak powiedzieć, że nie istnieją inne orientacje seksualne prócz heteroseksualnej.

Według jakich kryteriów można twierdzić, że homoseksualizm jest dewiacją? To zachowanie zawsze istniało w naturze. Zgodnie z badaniami ok. 4 proc. populacji to osoby homoseksualne. Powiedzenie, że one nic nie wnoszą do przetrwania i rozwoju naszego gatunku, jest absurdem.

Odrzucając z powodów religijnych homoseksualizm, odrzucamy u kogoś zdolność kochania.

Orientacja seksualna to nie jest kwestia związana tylko z pytaniem: z kim sypiam czy kogo pożądam? Również z pytaniem: z kim potrafię wejść w relację uczuciową, a więc kogo kocham i komu dam się pokochać? Dlatego jej akceptacja jest tak istotna. Tu nie chodzi tylko o sferę seksualności, chodzi o sferę podmiotowości i tożsamości. Mogę kochać, nie wyrażając tej miłości w sposób seksualny, np. jako celibatariusz, ale mogę to zrobić w sposób dojrzały tylko pod warunkiem, że akceptuję swoją orientację.

Wobec tego ważne z punktu widzenia pedagogicznego, psychologicznego i duchowego jest to, by młodemu człowiekowi pomóc w rozpoznaniu i przyjęciu swojej orientacji. To zadanie zarówno dla rodziców, szkoły, jak i Kościoła.

©© Rozmawiał ARTUR SPORNIĄK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyta
Dyrektor artystyczny Marek K. Zaleski
Wiara Szymon Hołownia, Maciej Müller,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiś,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyta
Historia Wojciech Pięciak
Nauka Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Łamza
Kultura Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyta (kierownik)
Fotoredakcja Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta Grzegorz Bogdań, Sylwia Frotow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne
Maja Kuczyńska (kierownik),
Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Manciewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamska, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski,
Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocun, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran,
Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczyńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



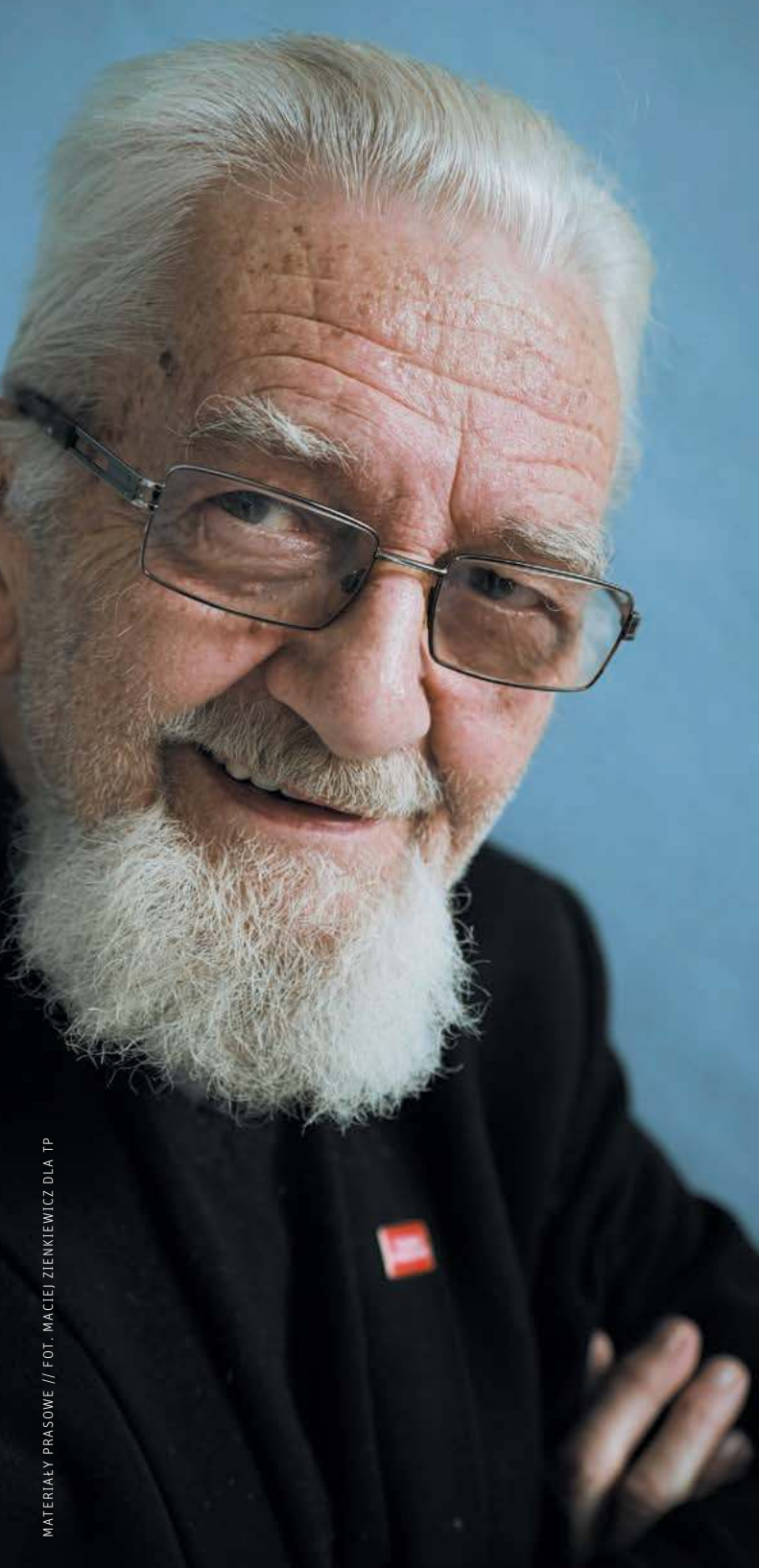
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



MATERIAŁY PRASOWE // FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA TP

Dziękuję, Przyjaciele!

Bo to dzięki Wam „Tygodnik Powszechny”
jest niezależny. Bo to dzięki Wam na pytanie
„kto was finansuje?” z dumą odpowiadamy:

WY – nasze Czytelniczki i nasi Czytelnicy.

Bo każda złotówka z Waszych wpłat
przyczynia się do rozwoju „Tygodnika”.

To dzięki Wam nasze pismo z roku
na rok zwiększa swój zasięg.
Jesteśmy SUWERENNI DZIĘKI WAM!

Z wdzięcznością,

Adam Boniecki

Ks. Adam Boniecki
Przewodniczący Rady Fundacji Tygodnika Powszechnego,
Redaktor Senior



Przeznacz 1% podatku na działalność Fundacji
Tygodnika Powszechnego – która dba o dziedzictwo
i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

Wpisz w zeznaniu podatkowym
nr KRS 0000125605

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent
Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz
Fundacji: Santander Bank Polska S.A. numer konta
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN):
powszech.net/dar

TO TAKŻE DZIĘKI WAM:



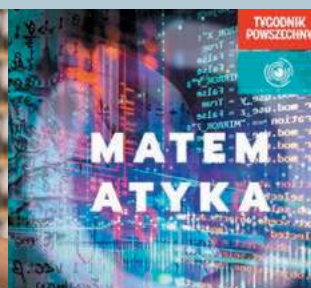
Conrad Festival



magazyn literacki
„Książki w Tygodniku”



Lekcje Czytania



cykl Wielkie Pytania
na Nowo



Copernicus Festival

PAWEŁ

Śpiewak: Tolerancja



W III WIEKU WSPÓLNEJ ERY RABIN HIYA BAR ABBA, zwany amoraitą (czyli „tym, który mówi”), został nam zastanawiające do dzisiaj zdania: „Ojciec i syn, rabin i jego uczeń, badając ten sam fragment Tory mogą stać się niczym wrogowie, którzy biją się ze sobą. Nie będą w stanie zaprzę-

stać walki, aż nie staną się miłującymi się przyjaciółmi. Tak właśnie powinniśmy rozumieć słowa Psalmu: »Nie wstydzili się u bram miasta przemawiać do siebie jak wrogowie«, i słowa z Księgi Liczb: »U kresu będą kochać«. Rabin nie bał się ostrych debat. Wiedział, jak wiele namietności rodzą kwestie religijne, jak ważne jest dochodzenie do prawdy, ile jest w tych sporach upor i ognia. Nie oznacza to, że ważne są same klótnie. Ważne jest dochodzenie do zgody. A zgoda domaga się tolerancji.

Tolerancja ma wiele kształtów. Z pewnością ma niewiele wspólnego z indyferentyzmem. Nie pasuje do agnostyków, którzy i tak nie wierzą w możliwość poznania prawdy. Tolerancja dotyczy w pierwszym rzędzie ludzi, dla których prawda jest kwestią egzystencjalną. Angażuje całą osobę jej poszukującą. Tolerancja we wszelkiej postaci nie godzi się z przemocą.

Rabin Naftali Cwi Jehuda Berlin, rektor jesziwy w Wołożynie, pochowany w Warszawie, dał taką wykładnię historii o wieży Babel. Jego zdaniem to opowieść o totalitarnym dążeniu do panowania. Zaskakuje takie odczytanie tego fragmentu Tory. Idzie w poprzek naszych przyzwyczajęń i ustalonego schematu interpretacyjnego.

Zaczyna się historia wieży z daniem: „I była wszystka ziemia jednego języka i jednej mowy”. Czasem tłumaczy się zamiast „jednej mowy”: byli zgodni ze sobą, jednomyślni. Boga rozgniewała nie tyle skala projektu budowniczego, nie budziły zgrozy ich ambicje, by wejść do krainy Boga, ale fakt, że zawsze byli jednomyślni i uznali, że zabijają każdego, kto myśli osobno i samodzielnie. Strażnicy wieży obawiali się, że lud odejdzie od jednomyślności. Dlatego postanowili zabijać nieprawomyślnych, zabronili podróży i przemieszczania się do innych miast, a swoją budowlę potraktowali jako wieżę obserwacyjną, by dokładniej kontrolować mieszkańców. Z niej rozsyłali emisariuszy (dzisiaj powiedzielibyśmy: tajnych policjantów), by pilnowali ziemi Senaar, a ludzi inaczej myślących wrzucali do rozgrzanych pieców. Ten sam duch podejrzliwości i wszechwładzy rządził w Drugiej Świątyni, gdy sprawiedliwi podejrzewali innych (np. saduceuszy) o to, że wierzą niezgodnie z ich wymaganiami. Uważali, że tamci są odstępcami od prawdziwej wiary. To prowadziło do prześladowań, przelewu krwi i ludzkiej krzywdy.

Pomieszanie języków było tylko dobrem. Bo w ten sposób wkroczyła inność, odrębność, różne pomysły na wiarę. Nie chodziło o pychę budowniczych wieży, ale o to, by odebrać możliwość kontroli nad ludami przez jeden ośrodek, jedną władzę, jedną myśl. Chodzi o pluralizm i idącą za tym tolerancję. Tak myślał wywodzący się z białoruskiego miasteczka Wołożyn rabin Berlin. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *A kiedy zabraknie manny*



W KSIĘDZE JOZUEGO CZYTAMY, ŻE GDY Izraelici dotarli do Kanaanu, „po obchodach Paschy (...) zaczęli jeść plony tego kraju” i wtedy „przestała spadać manna”. Skończyły się czasy nadzwyczajnej łaski Pana, teraz trzeba będzie zakasać rękawy, szukać chleba na ziemi, a nie czekać, aż spadnie z nieba.

Owszem, manna powróci, ale nie jako pieczywo, lecz w postaci człowieka o imieniu Jehoszua, co po polsku znaczy „Jahwe jest zbawieniem”. To On z czasem okaże się Bogiem i będzie, aż do dzisiaj, przypominał, że manna, tworzona i darowana ludziom przez Boga, jest wciąż stojąca się rzeczywistość. Najprawdziwszą manną jest sam Jezus, który oddaje się ludziom w Eucharystii, zapraszając do stołu, aby posilić się Jego Ciałem i Krwią, czyli Nim samym. I nie chodzi tu o jakąś formę duchowego, wysublimowanego kanibalizmu czy magicznego, mechanicznego oddziaływania na nas konsekrowanego chleba i wina, lecz o przyjęcie Chrystusowego sposobu myślenia i postępowania. Wszystko po to, by zjednoczyć się z Jezusem i stworzyć z Nim „jedno ciało”, nierozzerwalną jedność, jeden organizm.

Do tego celu nie dochodzi się przez jednorazowy akt, ale przez całe życie, a jeśli zabraknie życia mierzonego czasem, jest czyścić, jeszcze jedna szansa na życiowy *happy end*. W dziejach Kościoła bywało, i wtedy dochodziło do tragedii sprzeniewierzenia się Kościoła Bogu. Coś podobnego przeżywamy dzisiaj.

Niedawno kard. Reinhard Marx powiedział: „problem nadużyć seksualnych jest problemem nadużyć władzy w Kościele”. Dlatego należy „przyjrzeć się i wsłuchać” w to, co się w Kościele dzieje, i „zauważyć te miejsca, gdzie złe struktury władzy tworzą przeszkody, gdzie zarozumiałość, zazdrość i nadużywanie władzy zatruwają klimat w Kościele, w parafiach i w naszych wspólnotach. Niektóre przyczyny mogą zostać przezwyciężone tylko wtedy, kiedy nie będziemy uciekać przed prawdą, zasłaniając się retoryką i tematami tabu”.

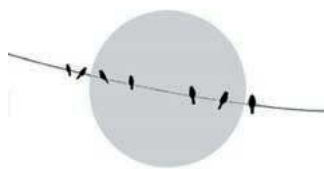
W Księdze Jozuego czytamy, że Izraelici weszli do obiecanej im ziemi dopiero po śmierci ostatniego z tych, którzy pamiętali niewolę egipską, ale sprzeniewierzyli się przymierzu w czasie wędrówki przez pustynię. Niestety to przeplatanie się wierności i niewierności Bogu nigdy się nie skończyło i nie skończy do momentu wypełnienia się planów Bożych. Dlatego papież Franciszek może mówić, że to nie grzech jest problemem, ale deprawacja. „Jeżeli mówimy, że jesteśmy bez grzechu – czytamy w Pierwszym Liście św. Jana – zwodzimy samych siebie i nie ma w nas prawdy. Jeżeli wyznajemy nasze grzechy, to Bóg jest wierny i sprawiedliwy: odpuści nam grzechy oraz oczyści nas z wszelkiej nieuczciwości”. Na nic się więc zda zasłanianie naszych grzechów cudzymi. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Ojciec rodziny

Zachowanie duszy
w stanie wyciszenia
wolnego od wszelkiej
myśli wydaje się ludziom
trudne. I zaprawdę
wymaga pracy i trudu.

HEZYCHIUSZ Z SYNAJU



Nie będę służyła Bogu
jak pracownik,
oczekując zapłaty.

RABI'A AL-ADAWIJA



„BYŁ PEWIEN GOSPO-
darz, który założył
winnicę...” (Mt 21,
33-46). W greckim
tekście pada tu słowo
oikodespotes, złożone

z dwóch: *oikos*, czyli „dom”, i *despotes* – „władca”, „rządca”, ale także „mąż” (również dlatego, że dom nie musi wcale oznaczać jedynie czterech ścian z dachem, lecz równie dobrze rodzinę, ścisłą lub szerszą). Może właśnie dlatego św. Hieronim, tłumacząc Ewangelię na język łaciński, z reguły oddaje owo *oikodespotes* określeniem *pater familias* – „ojciec rodziny”.

Czy nie chce w ten sposób, możliwie najlepiej i z właściwą sobie wrażliwością, oddać charakter władzy Boga? W jakim celu Bóg zakłada winnicę? Czy chce na niej zrobić interes? Czy robi to dla zysku? Czy chodzi Mu o siebie? Nie. Czyni to jako Ojciec zatroskany o swoją rodzinę. To jej mają służyć zebrane w winnicy owoce. Niegodziwi dzierżawcy, którzy chcą je zatrzymać dla siebie, okradają nie tylko Właściciela z dochodów; przetrącają również Jego troskę o najbliższych.

Pan Bóg nie chce innej władzy niż ojcowska. Od Niego pochodzi wszelkie ojcostwo na ziemi. Ojcostwo jest z definicji „byciem dla”: dla domowników, dla żony, dla dzieci, dla innych – nieraz niekoniecznie spokrewnionych, ale traktowanych jak członkowie szerokiej rodziny. Bóg jest Ojcem, takie jest Jego imię. Skoro je ob-

jawił, to pewnie dlatego, byśmy umieli przeżywać posłuszeństwo względem Niego coraz dojrzej, z coraz większym szacunkiem, ale i wolnością – tak jak odnosimy się z wdzięcznością do naszych rodziców.

Margines Biblii, którą na co dzień czytam, odesłał mnie jeszcze do innego fragmentu Mateuszowej Ewangelii. W 13. rozdziale czytamy zdanie Jezusa (Mt 13, 52): „Dlatego każdy uczony w Piśmie, który stał się uczniem królestwa, podobny jest do ojca rodziny (*oikodespote; patri familias*), który ze swego skarbca wydobywa rzeczy nowe i stare”.

Oto mamy obraz kogoś, kto chce wprowadzić innym we wspólnocie Ludu Bożego, w Kościele. Jakich potrzebuje kwalifikacji? Jakich umiejętności? Otóż, jak widać, nie wystarczy jedynie to, że jest „uczony” – nawet to, że jest „uczony w Piśmie”: nauczył się teologii, potrafi błyskotliwie objaśnić Słowo. Musi mieć odwagę stać się ojcem. Ojcem rodziny. Nie może się bać prawdziwych i poważnych relacji: rzeczywistych głębokich i zobowiązujących, jak więzy rodzinne. Musi wiedzieć, że skarby, które mu powierzono, nie są jedynie dla niego (choć w oczywisty sposób jego budują najpierw). Budowanie Kościoła nie jest akademickim wykładem; jest tworzeniem rodziny. Wie to każdy, kto poddał się prawom Królestwa („uczeń Królestwa”). Warto to sobie na nowo uświadomić w naszym pokoleniu, zapewne nie bez powodu nazwanym „pokoleniem bez ojców”. ©

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (31 III – 7 IV)

4. niedziela Wielkiego Postu: Joz 5, 9a. 10-12;
Ps 34; 2 Kor 5, 17-21; Łk 15, 1-3. 11-32;
Poniedziałek: Iz 65, 17-21; Ps 30; J 4, 43-54;
Wtorek: Ez 47, 1-9. 12; Ps 46; J 5, 1-16;
Środa: Iz 49, 8-15; Ps 145; J 5, 17-30;

Czwartek: Wj 32, 7-14; Ps 106; J 5, 31-47;
Piątek: Mdr 2, 1a. 12-22; Ps 34; J 7, 1-2. 10. 25-30;
Sobota: Jr 11, 18-20; Ps 7; J 7, 40-53;
5. niedziela Wielkiego Postu: Iz 43, 16-21;
Ps 126; Flp 3, 8-14; J 8, 1-11.



KRAJ

EUROPEJSKIE WYCINANKI

W Platformie nie buzowało tak od lat. Czy to możliwe, że Grzegorz Schetyna ułożył listy na eurowybory nie pod kątem najlepszego wyniku, tylko w zamiarze uderzenia w ludzi Donalda Tuska?

ANDRZEJ STANKIEWICZ



Borys Budka, Wojciech Saługa, Grzegorz Schetyna i Władysław Kosiniak-Kamysz podczas konferencji prasowej Koalicji Obywatelskiej, Chorzów, październik 2018 r.

porozumienia to najtrudniejszy element, a potem będzie już z górki. Nic bardziej mylnego: ogłoszenie przez Schetynę nazwisk kandydatów, którzy z kontyngentu Platformy znajdą się na listach Koalicji Europejskiej, doprowadziło do ogromnego napięcia w partii.

Pół konfliktu jest kilka. O to, czy Schetyna dał za dużo dobrych miejsc innym partiom, kosztem własnych kandydatów. O to, dlaczego część kandydatów PO startuje z niskich miejsc lub w obcych okręgach. O to, czemu na wysokich miejscach znaleźli się przypadkowi ludzie spoza polityki. O to, czemu większość obecnych europosłów została zmarginalizowana, a część w ogóle nie wystartuje.

A wszystko to pod wspólnym mianownikiem: Schetyna uderza w ludzi Tuska.

Obdzielić koalicjantów

W wyborach do Parlamentu Europejskiego jest 13 okręgów wyborczych. To zazwyczaj odrębne województwa, przy czym w jeden okręg połączone zostały Małopolska ze Świętokrzyskiem, lubuskie z zachodniopomorskim, Dolny Śląsk z Opolszczyzną oraz warmińsko-mazurskie z podlaskim. Za to z Mazowsza wydzielono Warszawę.

Na 13 „jedynek” aż sześć Platforma dała koalicjantom. Ludowcy otwierają listy na Mazowszu, Podkarpaciu i Lubelszczyźnie. Lewica w Warszawie, w Łódzkiem i w okręgu lubusko-zachodniopomorskim. Pozostałe ugrupowania Koalicji Europejskiej – Nowoczesna i Zieloni – praktycznie nie liczą się przy podziale miejsc.

Już same te proporcje rozpalają głowy polityków PO. Dla przykładu – na liście w Łódzkiem przedstawicielka Platformy będzie dopiero na trzecim miejscu, a to znaczy, że partia prawdopodobnie nie będzie mieć po raz pierwszy w historii europosła z tego regionu („jedynekę” z puli SLD dostał były premier i szef NBP Marek Belka, na „dwójce” jest poseł PSL Paweł Bejda). Ale to i tak w sumie drobnostka.

Bardziej od reprezentacji regionalnych liczą się bowiem personalne rozgrywki. Przykładów, które bulwersują polityków

DOMINIK GAIDA / AGENCJA GAZETA

AJEDNAK CHUDE LATA W OPOZYCJI NIEWIELE Platformę zmieniły. Wydawało się, że po rozpadzie KOD i autokompromitacji Nowoczesnej partia wyszła na prostą, zostawiając za sobą wewnętrzne konflikty i niesnaski. Co więcej: wyglądało na to, że w dominującej po stronie opozycji Platformie wszyscy popierają tworzenie wielkiej koalicji przeciw PiS.

Ostatnie dni pokazały jednak, że nawet wysoka temperatura rządów PiS nie okazała się dla PO ożywiająca. Tak jak pod

koniec swych rządów w latach 2014-15, tak i dziś politycy tej partii zajęci są głównie sobą.

Emocje wystrzeliły kilkanaście dni temu, gdy Grzegorz Schetyna zaprezentował listy kandydatów PO do Parlamentu Europejskiego. Platforma rozpoczyna kampanię razem z podzielonym PSL, pozaparlamentarnym SLD, fantomem Nowoczesnej i maciupkami Zielonymi. Wydawało się, że sklecenie tego wielobarwnego – w PiS wolą mówić „tęczowego” –

→ Platformy, jest wiele. Weźmy najbardziej efektowne. Warszawa – tu listę Koalicji Europejskiej otwiera Włodzimierz Cimoszewicz jako reprezentant SLD. Taki był warunek byłego premiera – wystartuje tylko, jeśli dostanie „jedynekę” w Warszawie, czyli gwarancję wyboru.

Oczywiście można uznać, że traktuje to jako swoistą rekompensatę za to, że w 2005 r. ludzie PO (zresztą po raz pierwszy pod rękę z Romanem Giertychem, ówczesnym liderem rydzykowej partii Liga Polskich Rodzin) utracili jego kandydaturę w wyborach prezydenckich. Można także zrozumieć, że czuje się ojcem idei Koalicji Europejskiej – miał ją jako pierwszy przedstawić w gronie polityków różnych partii w swej rodzinnej Białowieży, a potem napisał tekst w „Gazecie Wyborczej” na ten temat („Proeuropejskie partie, organizacje pozarządowe, władze lokalne i aktywni obywatele powinni utworzyć szeroki blok wyborczy Europa, który opowie się za gruntowną zmianą polityki europejskiej naszego kraju i zgłosi wspólne listy kandydatów” – postulował).

Ale prawda jest taka, że Cimoszewicz jest na politycznej emeryturze, którą sam kilka lat temu ogłosił. Bywał w przeszłości polityczną lokomotywą, tyle że to było bardzo dawno temu. Schetyna wcale nie musiał mu dawać pewnego miejsca w najbardziej prestiżowej lokalizacji.

Czemu zatem to zrobił? Wygląda na to, że głównie po to, by nie oddać stołecznej „jedyńki” Ewie Kopacz, którą – choć jest cieniem dawnej premier i kandydatki na szefową PO – wciąż uważa za zagrożenie. Głównie dlatego, że ma wieloletnie, silne związki z Tuskiem – jest lekarką i pomagała mu, gdy chorowały jego matka i siostra. Tusk zawsze ślepo jej bronił i nawet dziś udzielając wywiadów, często o niej wspomina – jak w ostatnim wywiadzie dla TVN24.

Wędrowka z Kopacz

Schetyna przymierzał Kopacz do różnych okręgów. Moi rozmówcy w Platformie twierdzą chociażby, że rozważany był pomysł wystawienia jej w okręgu małopolsko-świętokrzyskim. Tak się składa, że PiS ma tam wyjątkowo silną listę – Beata Szydło, Ryszard Legutko, Patryk Jaki, Dominik Tarczyński, Arkadiusz Mularczyk – i wiadomo, że znokautuje Koalicję Europejską.

Kopacz ma w swym otoczeniu ludzi, którzy doskonale rozumieją, jak działa

Po powstaniu Koalicji Europejskiej w partiach, które ją tworzą, nie ma entuzjazmu.

Chodzi nie tylko o to, że politycy bywają obłudni.

Jest jeszcze inny problem – paralizujący formację strach liderów.

ordynacja europejska, dlatego nie dała się wmanewrować w beznadziejne starcia. Skończyło się zgniłym kompromisem – będzie otwierać listę w życzliwej Platformie Wielkopolsce, a zatem pewnie zdobędzie mandat. Ale Schetyna utrudnił jej zadanie. Nie dość, że Wielkopolska to region z silną tożsamością, w którym wywodzącej się z mazowieckiego Szydłowca Kopacz trudno będzie prowadzić kampanię. Dodatkowo Schetyna wstawił jej na „dwójkę” innego byłego premiera: Leszka Millera z SLD. Żeby była jasność – to nie było szczególne oczekiwanie lidera SLD Włodzimierza Czarzastego, który z Millerem ma szorstkie relacje i nie podchodzi do jego kandydowania z entuzjazmem.

W tym, że od zawsze łódzki Miller kandyduje z Wielkopolski, na pozór nie ma logiki. Chyba że chodzi o osłabienie wyniku Kopacz, co – biorąc pod uwagę, że Miller jest powszechnie rozpoznawalny – może być skuteczne.

Zdrojewski? Takiego tu nie ma

Pójdźmy dalej – Dolny Śląsk. Tu listę otwiera działaczka społeczna Janina Ochojska, która dostała miejsce z puli Platformy. Osiągnąć Ochojskiej w działalności charytatywnej nie sposób przecenić, ale „jedyńka” w jednym z bastionów PO, i to w wyborach europejskich – które w minimalny sposób dotyczą jej społecznikowskiej aktywności – wywołała w partii zdumienie.

Jeszcze większe emocje budzi to, że z listy usunięty został były wieloletni minister kultury Bogdan Zdrojewski, obecny europoseł. W ostatnich eurowyborach otwierał listę PO i zdobył ponad 162 tys. głosów, podczas gdy jego ówczesny konkurent z PiS Dawid Jackiewicz ponad dwa razy mniej (niespełna 80 tys.).

Problem w tym, że Zdrojewskiego nie cierpi Schetyna. Mają wieloletnie porachunki – Dolny Śląsk to matecznik lidera PO, z którego był rugowany za rządów Tuska, także rękami Zdrojewskiego. W dodatku Zdrojewski ma duże ambicje, sięgające premierostwa. – W ostatnich miesiącach Zdrojewski opowiadał, że pojednali się ze Schetyną, że nawet spotykają się czasem rodzinnie. Od początku uważałem, że w niczym to mu nie pomoże – mówi jeden z europosłów.

Zdrojewski był gotowy kandydować z dowolnego miejsca na liście, ale Schetyna doskonale zna jego wyborczy potencjał i nie wpuścił go na listy w ogóle, proponując kandydowanie do Sejmu – Zdrojewski odmówił. W dodatku twierdzi, że o tym, iż ostatecznie go na liście nie będzie, dowiedział się z mediów. „Mam pretensję o brak odwagi i klasy kierownictwa PO” – żalił się „Super Expressowi”, sugerując, że Schetyna go oszukał.

„Może do zobaczenia...”

Niskie miejsca na listach dostali także inni europosłowie, których serce bije raczej dla Tuska: Michał Boni (były szef doradców Tuska za czasów jego premierostwa, w poprzednich eurowyborach drugi na liście w Warszawie), Adam Szejnfeld (były wiceminister gospodarki w rządzie Tuska; pięć lat temu był drugi w Wielkopolsce, ale osiągnął najlepszy rezultat na liście) czy Elżbieta Łukacijewska (była liderka listy PO na Podkarpaciu).

Boni swój profil na Twitterze zmienił na kilkadziesiąt godzin w litanię żalu i pretensji do nienazwanego Schetyny. Najpierw zaatakował sam: „Chcę startować z Koalicji Europejskiej i robić dobrze to, co robiłem. Ale muszę mieć jakąś szansę. Nie dano mi jej. (...) Platformo, może do zobaczenia...”.

Potem umieszczał na profilu ostre wpisy swoich fanów: „To skandal zmarginalizować tak pracowitego europosła”, „Na listach Koalicji musi być miejsce dla emerytów politycznych, więc eksperci, fachowcy i reformatorzy muszą znaleźć inną robotę”, „Szkoda, że tak łatwo rezygnujemy z najbardziej przyzwoitych ludzi i najbardziej kompetentnych specjalistów”. Ostatecznie zdecydował się nie żegnać z Platformą, ale szanse na mandat ma iluzoryczne.

Z obecnych europosłów PO „jedyńki” – i pewny wybór – mają tylko Jerzy Buzek (Śląsk), Janusz Lewandowski (Pomorze)

i Róża Thun (Małopolska-Świętokrzyskie).

Ale i tu pojawiają się rozgrywki i utyskiwania. Schetyna rozważał zepchnięcie Lewandowskiego na „dwójkę”, by listę otwierała wdowa po Pawle Adamowiczu (ostatecznie to ona będzie druga). A jeśli chodzi o Thun, to szef partii planował umieścić na jej miejscu prezesa PZPN Zbigniewa Bońka, ale dostał kosza.

Dał za to „jedynekę” na Podlasiu oraz Warmii i Mazurach innemu byłemu piłkarzowi – Tomaszowi Frankowskiemu. W poprzednich wyborach listę otwierała tam prof. Barbara Kudrycka, minister nauki w rządzie Tuska. Teraz Kudrycka nie wystartuje, podobnie jak inna zmarginalizowana minister jego rządów – Julia Pitera. Startować z pośledniego miejsca nie chce też Danuta Hübner, niegdyś minister ds. europejskich kojarzona z SLD, a w ostatnich latach przyciągnięta do Platformy przez Tuska (w 2014 r. „jedyńska” PO w stolicy – zdobyła ponad 225 tys. głosów, prawie trzy razy więcej niż wszyscy pozostali kandydaci Platformy razem wzięci).

Europosłowie z szubienic

Jesienią 2017 r. portrety Hübner, Pitera, Kudryckiej, Boniego, Thun oraz Jazłowieckiej narodowcy powiesili na szubienicach w centrum Katowic. To była symboliczna egzekucja za to, że w europarlamencie zagłosowali za rezolucją wzywającą rząd PiS do przestrzegania praworządności – zrobili to wbrew zaleceniom władz Platformy. Teraz wiadomo, że większości z tej szóstki nie będzie już w europarlamencie.

– Wiem, że w partii pojawiają się głosy, że Grzegorz wycina ludzi Tuska. Ale to bardziej skomplikowane – przekonuje stronnik Schetyny ze ścisłych władz partii. I wymienia: – Musieliśmy dać dobre miejsca kandydatom PSL, bo jeśli nie zdobędą kilku mandatów, to nie ma co marzyć o wspólnych wyborach do Sejmu. Do tego dochodzą premierzy z SLD – z racji ich pozycji politycznej musieli dostać dobre miejsca. Musieliśmy pogodzić także interesy regionalne. W okręgach składających się z dwóch województw lub takich, w których jest kilka większych miast, trzeba mieć kandydatów z każdego z tych miejsc.

Nawet on jednak przyznaje, że w niektórych przypadkach, takich jak Kopacz, wędrowniki po mapie nie były nacechowane życzliwością Schetyny.

Mówi jeden z polityków spoza Platformy, który negocjował powstanie Koalicji Europejskiej: – Uważam, że Schetyna wycina ludzi Tuska. Zdałem sobie z tego sprawę podczas układania list. Mnie to nie martwi, bo dzięki temu kandydaci PO w okręgach, gdzie liczymy na mandat, są słabsi i nie przeskoczą naszych ludzi. Zresztą to wewnętrzne porachunki Platformy, które nas nie dotyczą.

Sojusz z komunistami

Tu się mój rozmówca może srodze mylić, bo wojna wewnętrzna w największej partii stanowi zagrożenie dla całej koalicji, którą ona tworzy. A tworzy ją – nie oszukujmy się – nie po to, by posłać 20 czy 30 polityków na dobrze płatne europejskie fotele. Buduje ją, by pobić PiS w jesiennych wyborach sejmowych.

W Platformie emocje zaczynają górować nad zdrowym rozsądkiem. Choć konflikt zaczął się od nazwisk i miejsc na listach, to teraz sprawa weszła już na wyższy poziom – ideologiczny i polityczny.

Ludzie Schetyny – choćby partyjny rzecznik Jan Grabiec – sugerują, że na listy nie wpuścili tylko tych europosłów, którzy szkodzili partii, byli leniwi i nie przykładali się do partyjnej orki.

W rozmowach z odrąconymi słychać zarzuty w drugą stronę: że Schetyna rozbija partię, że upadają struktury, że sukcesem w miastach maskuje rzeczywistość porażkę w wyborach samorządowych, a nawet, że nie odsunął podejrzanego o korupcję sekretarza generalnego PO Stanisława Gawłowskiego (okazuje się, że – wbrew publicznej obronie Gawłowskiego – wielu ludzi Platformy nie wierzy w jego niewinność).

Pojawia się też zmasowana krytyka koalicyjnych kandydatów, zwłaszcza z SLD. Jeden ze zmarginalizowanych przez Schetynę europosłów mówi: – Zawsze byłem i będę antykomunistą. Lewica na naszych listach, proszę bardzo. Ale my wzięliśmy komunistów. I to nierozliczonych. Jak teraz możemy krytykować PiS za umizgi do Włochów z partii Liga Północna czy Francuzów z Frontu Narodowego, którzy są finansowani z rosyjskich pieniędzy? Przecież Miller to „pożyczka moskiewska”!

Chodzi mu o nielegalną pożyczkę, którą upadająca PZPR wzięła od radzieckich towarzyszów tuż po upadku komunizmu. Pieniądze – ponad milion dolarów – pochodziły z kasy KGB i miały zostać wydane na

stworzenie nowej partii oraz jej zaplecza gospodarczego. Miller był zaangażowany w zwrot części tej pożyczki – oczywiście poza legalnym obiegiem finansowym. Do tego Miller i lider sojuszniczego SLD Włodzimierz Czarzasty to twarze „afery Rywina” – skandalu korupcyjnego z 2002 r., który stał się symbolem patologii rządów lewicy.

Do tej pory wydawało się, że ostry sposób uprawniania polityki przez PiS unieważnił dawne spory: że zasypał podział na ugrupowania wywodzące się z Solidarności i dawnych komunistów. Wprowadzając Millera na listy, Schetyna – sam gorący antykomunista – ów podział ożywił. Na razie we własnej partii, choć ze strony PiS coraz częściej słychać pomrukiwania o postkomunistycznych inklinacjach Koalicji Obywatelskiej.

– Cimoszewicz i Belka nie budzą negatywnych emocji. Ale z Millerem jest kłopot – przyznaje stronnik Schetyny z władz PO.

Strach

Ci, którzy są zdeklarowanymi przeciwnikami PiS i z utęsknieniem czekali na zjednoczenie opozycji, mogą się czuć rozczarowani. Po powstaniu Koalicji Europejskiej w partiach ją tworzących nie ma entuzjazmu. Chodzi nie tylko o to, że politycy bywają obłudni – przez lata liderzy opozycji publicznie deklarowali potrzebę stworzenia dużej, antypisowskiej formacji, a jak przyszło co do czego, to zajęli się brutalną wojną o własne interesy.

Świeżo upieczona formacja ma inny jeszcze problem – paraliżujący ją strach liderów. Szef PSL Władysław Kosiniak-Kamysz boi się, że jeśli nie zdobędzie co najmniej trzech europoselskich mandatów (dziś PSL ma cztery), to ludowi seniorzy w stylu Waldemara Pawłaka czy Marka Sawickiego się go pozbędą. Z kolei Schetyna boi się, że PSL pójdzie do wyborów sejmowych bez niego – co już dziś sugeruje Kosiniak-Kamysz – a to utrudni wygraną z PiS. A jeśli Schetyna przegra z PiS, trudno mu będzie obronić przywództwo w partii.

Biorąc pod uwagę obecne nastroje w Platformie, jedno można powiedzieć ponad wszelką wątpliwość: ludzie Tuska nie będą go żałować.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.



PKS

Jedną z przedwyborczych obietnic PiS-u jest przywrócenie międzymiastowych połączeń autobusowych. Na zdjęciu: na starym dworcu PKS w Łodzi, czerwiec 2018 r.

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Oswoić rottweilery

PROF. ELŻBIETA MACZYŃSKA, EKONOMISTKA:

Jako państwo i społeczeństwo musimy przygotować się do czasów, gdy praca stanie się dobrem deficytowym.

MAREK RABIJ: Media spekulują o konflikcie, może nawet dymisji minister finansów Teresy Czerwińskiej, która miała dać premierowi do zrozumienia, że sfinansowanie kolejnych transferów socjalnych z tzw. piątki Kaczyńskiego skończy się ruiną dla budżetu.

PROF. ELŻBIETA MACZYŃSKA: I jak, pana zdaniem, miałyby się do tego odnieść?

Interesuje mnie tylko to, czy jako ekonomistka podziela Pani te obawy?

Ekonomiści rzeczywiście zastanawiają się, dokąd na płaszczyźnie fiskalnej doprowadzi nas to mnożenie programów socjalnych przez rząd. W ustawie budżetowej nie uwzględniono przecież wydatków na 500 plus w nowym kształcie, trzynaste emerytury i resztę projektów. Państwo będzie musiało te brakujące miliardy pozyskać zwiększając wpływy budżetowe lub pożyczyć, a to oznacza, że rząd może być zmuszony do osłabienia kolejnych zabezpieczeń gwarantujących równowagę finansów publicznych. Realizacja zapo-

wiedzi rządowych może w warunkach słabnącej koniunktury doprowadzić do wzrostu długu publicznego ponad 3 proc. produktu krajowego brutto, a tego nam przecież zabrania Unia. Oczywiście, tak być może, ale nie musi. Agencja ratingowa Fitch właśnie podniosła prognozy wzrostu PKB Polski na bieżący i kolejny rok, odpowiednio z 3,8 do 4 i z 3 do 3,5 proc. Wzrosną wydatki budżetowe, ale większy też będzie margines bezpieczeństwa.

Przy aktualnej wartości polskiego PKB te 4 proc. oznacza około 80 mld zł. Cała piątka Kaczyńskiego ma tymczasem kosztować ekstra około 58 mld zł rocznie. Jeszcze kilka lat temu ekonomiści nazwaliby to po prostu „przejadaniem owoców wzrostu gospodarczego”, a dziś mówi Pani, że niektórzy koledzy mają jedynie „wątpliwości”.

Ekonomiści nie mają jednolitych poglądów na ten temat. Kazimierz Łaski od dawna pisał i mówił o fetyszowaniu

znaczenia dyscypliny budżetowej, udowadniając, że wysoki deficyt bywa w niektórych sytuacjach mniej szkodliwy od zaciskania pasa. Potwierdziły to też badania Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

Ani obniżanie poziomu zadłużenia, ani wzrost PKB nie powinny być jednak celem, lecz jedynie narzędziem służącym do poprawy jakości życia obywateli. Dług długowi nierówny. Gdy zadłużamy się na przykład na edukację, rosną szanse na poprawę jakości życia. Prorozwojowe zadłużanie się sprzyja wzrostowi PKB, czyli sumie wszystkich wypracowanych zysków z kapitału oraz płac.

Obywatelowi wszystko jedno. Kiedy rosną pensje, w górę idzie także PKB.

Ale warunkiem utrzymania wysokiego tempa wzrostu PKB jest zachowanie należytych proporcji między wzrostem płac i zysków z kapitału. Dzięki m.in. badaniom francuskiego ekonomisty Thomasa Piketty'ego wiemy, że nie zawsze tak jest. Wzrost rentowności inwestycji kapitałowych bazuje dziś bowiem w dużej mierze właśnie na ograniczeniu kosztów płacowych. Przez to słabnie popyt, co z kolei osłabia zainteresowanie inwestowaniem w sektorze produkcyjnym. Nadwyżki kapitałowe trafiają do sektora spekulacyjnego, bo bardziej opłaca się spekulować kapitałem, niż inwestować go długotrwale w produkcję lub usługi. A gdy przybywa zamówień, można zlecić produkcję w krajach o niższych płacach, zaoszczędzone pieniądze inwestować zaś na przykład w produkty finansowe z dużą stopą zwrotu.

To już nie ma nic wspólnego z Fordowską ideą produktu, na który ma być stać także pracownika, który go wytwarza.

Otóż to. Mniej więcej od lat 70. XX wieku we wszystkich krajach wysoko rozwiniętych dominowała narracja, że celem polityki ekonomicznej państwa powinien być wzrost PKB, bo „przyływ unosi wszystkie łódzie”. Wiadomo już, że nie wszystkie. W USA siła nabywcza przeciętnego gospodarstwa domowego jest dziś taka sama jak w latach 70. mimo czterech dekad szybkiego wzrostu tamtejszej gospodarki. Dramatycznie wzrosły przy tym koszty edukacji i opieki medycznej.

W Polsce od ponad ćwierć wieku nie było recesji. Osiągnęliśmy sukces gospo-

darczy, bo oficjalnie zaliczamy się już do gospodarek wysoko rozwiniętych. Ale nierówności majątkowe utrzymują się na bardzo wysokim poziomie, co potwierdzają m.in. analizy przeprowadzone przez NBP. W niektórych dziedzinach notujemy wręcz regres. Przestała rosnąć średnia długość życia Polaków. Kiedy pan spojrzy w opracowania na ten temat, widać, że to m.in. następstwo niedofinansowania sektora ochrony zdrowia i zaniedbań w polityce ekologicznej. Przez cały niemal okres transformacji kwestie społeczne i ekologiczne były marginalizowane, bo baliśmy się przede wszystkim o wzrost PKB. Stąd też wzrostowi gospodarczemu nie towarzyszył dostateczny postęp społeczny i ekologiczny.

Dlatego czas zdać sobie sprawę, że wzrost gospodarczy to nie to samo co rozwój społeczno-gospodarczy. Bogacenie się, któremu nie towarzyszy postęp społeczny i ekologiczny, określa się w literaturze przedmiotu jako darwinizm społeczny z niedostatkiem usług publicznych, medycznych, edukacyjnych czy komunikacyjnych. Paul Collier, profesor ekonomii z Oksfordu, w swej najnowszej książce pisze o „społeczeństwie rottweilerów”, jakie w warunkach neoliberalnego kapitalizmu ukształtowało się na Zachodzie. Gdy nadzwanym celem jest zysk, bezwzględna, nie zawsze etyczna pogoń za nim, relacje międzyludzkie też zaczynają się komercjalizować i redukować do tego, kto komu wyszarpie większy kawałek łupu.

Collier chce leczyć kapitalizm zwiększeniem obciążeń podatkowych dla lepiej sytuowanych, większym wsparciem państwa dla rodzin w trudnej sytuacji. Zaleca przy tym publiczną reprezentację w zarządach przedsiębiorstw. Zgadza się Pani z nim?

Zgadzam się z nim przede wszystkim w ocenie, że potrzebujemy innych narzędzi do zarządzania nową rzeczywistością. Reguły klasycznej ekonomii przestają się sprawdzać, tak jak klasyczna newtonowska fizyka nie nadaje się do opisu świata na poziomie kwantów. Podam przykład. W 2016 r. rząd wziął się za tzw. śmieciówki i podwyższył pensję minimalną.

PiS uważa to za swoją zastęgę.

W rzeczywistości wymusiła na nas te zmiany Bruksela. W raporcie semestralnym z lutego 2015 r. Unia wytknęła nam, że pod względem bezpieczeństwa socjal-

nego na rynku pracy Polska wlecze się w unijnym ogonie i zarekomendowała większe nakłady na sferę socjalną. Pensje wzrosły, a klasyczna ekonomia podpowiada, że gdy dochodzi do zwiększenia kosztów płac, rośnie też ryzyko inflacji. Jeszcze dwa, trzy lata temu niektórzy ekonomiści wieszczili, że inflacja wyrwie się nam spod kontroli. I co? Nic, przejściowo pojawiła się nawet deflacja, czyli spadek cen.

Rzeczywistość przerasta modele ekonomiczne?

Żyjemy w gospodarce nadmiaru. Czy jest coś, czego dziś nie mógłby pan kupić, jeśli ma pieniądze? Producenci i handlowcy niemal wychodzą ze skóry, żeby choć na chwilę skupić uwagę klienta na swoim produkcie, i przychodzi im to z coraz większym trudem.

Problemem współczesnej gospodarki jest słabnąca konsumpcja?

Istnieje podaż i popyt, czyli to, co wyprodukowane, i to, co kupione. Dziś popyt po prostu przestał nadążać za szybko rosnącą podażą, właściwie nadpodażą wszystkiego. Produkcja tanieje już nie tylko za sprawą migracji kapitału, który trafia tam, gdzie praca i inne koszty okłoproductyjne są najniższe. Dzięki automatyzacji jednostkowy, krańcowy koszt wytwarzania niektórych wyrobów i usług spada niemal do zera. Właścicielom kapitału pozwala to gromadzić coraz większe nadwyżki finansowe, które inwestują, jak już powiedzieliśmy, na rynkach finansowych. Te same procesy, które sprawiają, że spadają koszty produkcji, są więc odpowiedzialne również za spadek popytu.

Symbolicznego robotnika przy taśmie w fabryce Forda nie stać już na samochód tej marki?

Otóż to. I powiem panu, że tych symbolicznych robotników, a mówiąc wprost – tradycyjnych miejsc pracy, będzie coraz mniej. Jako państwo i społeczeństwo musimy przygotować się do czasów, gdy praca, zwłaszcza etatowa, stanie się dobrem deficytowym. Dlatego tak ważna jest polityka społeczna. Pracownicy, którzy coraz częściej będą wypychani z rynku pracy przez roboty, nie tylko muszą mieć za co żyć, ale też powinni pozostać konsumentami. W Polsce firmy mają łącznie na kontach już ponad 200 miliardów złotych, ale nie inwestują w produkcję i w nowe →

→ miejsca pracy. Właściciele po prostu nie są pewni, czy znajdą nabywców na produkty, które wytworzą.

Po raz pierwszy w naszej rozmowie Pani, przedstawicielka nauk ekonomicznych, serwuje mi coś w rodzaju ostrzeżenia na przyszłość. Do tej pory odnosiliśmy się wyłącznie do spraw z przeszłości.

Ekonomia to nie prognozowanie pogody. To nauka o ludziach w procesie gospodarowania, a zachowania ludzi zmieniają się wraz ze zmieniającą się rzeczywistością. I te zmiany trzeba badać. Tylko że teraz w gospodarce zachodzą one szybciej niż kiedyś, stąd potrzeba szybszej rewizji modeli ekonomicznych. I stąd też pewnie poczucie, że ekonomiści po kryzysie 2008 r. obudzili się trochę za późno.

W Polsce trzeba było jeszcze sprostać transformacji. W niecałe 30 lat nadgoniliśmy 50 lat. W konstytucji zaznaczyliśmy wprowadzić, że budujemy społeczną gospodarkę rynkową, czyli taką, w której próbuje się godzić interesy gospodarcze i społeczne, ale wyszło jak wyszło. Ekonomia nierzadko jest utożsamiana z chromatystyką, czyli nauką o zarabianiu pieniędzy. Polska rozwijała się latami przede wszystkim dzięki niskim kosztom pracy, a wiadomo, że taki model rozwojowy w dłuższej perspektywie może prowadzić do stagnacji.

Ludzie mają wtedy poczucie, że nie są podmiotami gospodarki, a stają się przedmiotami, stąd blisko do niepokoju społecznych.

Już w 2014 r. w Londynie odbyła się głośna konferencja pod tytułem „Inkluzywny kapitalizm”, poświęcona wpływowi wykluczenia społecznego na gospodarkę. Opublikowano też słynną książkę „Dlaczego narody przegrywają” Daron Acemoglu i Jamesa Robinsona, w której autorzy udowodnili, że społeczeństwa, które nierówności społeczne traktują jak powietrze, prędzej czy później karleją także ekonomicznie.

I teraz wróciłabym do pana pierwszego pytania o fundamenty finansowe polskiej polityki społecznej. Moim zdaniem nie wolno traktować jej wyłącznie jako koszt i zagrożenie dla budżetu. Musimy dostrzec w niej przede wszystkim narzędzie do stymulacji rozwoju. Wymaga to jednak wnikliwej analizy zagrożeń, które nas czekają.

Nauczyciele muszą zarabiać więcej, bo ich rola w społeczeństwie jest nie do przecenienia. Niskie zarobki w szkolnictwie sprawiły, że doszło do negatywnej selekcji do tego zawodu.

A co nas czeka?

Protesty „żółtych kamizelek”, jak we Francji. Migracje z terenów dotkniętych pustynnieniem wskutek degradacji ekologicznej. To skala zagrożeń, przy której ostatnia fala migracyjna do Europy może się wydać śmiesznie małą.

Politycy mówią dziś o zrównoważonym rozwoju społeczno-gospodarczym, choć ja wolę mówić o rozwoju zharmonizowanym, bo stan równowagi kojarzy się z bezruchem, a tkwiąc w miejscu nie robi się postępów. Jakkolwiek byśmy to nazwali, chodzi o tworzenie warunków, w których posiadaczom kapitału zacznie się opłacać inwestowanie go w większym stopniu poza rynkami finansowymi, a jednocześnie służyć to będzie postępowi społecznemu i ekologicznemu. To już nie jest kwestia światopoglądowa. To nasze być albo nie być. Inaczej „wyniosą nas na widłach” – jak mawiają niektórzy przedstawiciele najbogatszej biznesowej elity Zachodu.

Nawet jeśli zgodzimy się, że nie stać nas na państwo bierne w kwestiach społecznych, powinniśmy rozmawiać o celach takiej polityki. 500 plus już skutecznie ograniczyło skalę ubóstwa wśród dzieci. Teraz rząd dodaje do programu dodatkowe 20 mld zł rocznie, jednocześnie mówiąc nauczycielom, że nie ma dla nich pieniędzy. Kiełbasa wyborcza, czy to również nazwie Pani zharmonizowaną polityką gospodarczo-społeczną?

Oczywiście, że nie, ale w kraju na dobroku kołdra jest zawsze za krótka. Nauczyciele muszą zarabiać więcej, bo ich rola w nowoczesnym społeczeństwie jest nie do przecenienia. Podwyżki płac powinny jednak być skorelowane z weryfikacją kompetencji. Niskie zarobki w szkolnictwie sprawiły, że doszło do negatywnej selekcji do tego zawodu.

Nauczyciele odpowiedzialiby, że dla nich kołderki nigdy nie starczy. Może więc raczej mają zwolennicy nowożytnej teorii monetarnej MMT, która zakłada, że państwo z własną walutą ma dbać o realizację wszystkich zadań bez oglądania się na takie drobiazgi jak dług publiczny czy deficyt budżetowy? To są tylko pojęcia. Dwa lata oczekiwania na operację to konkret.

Byłabym jednak ostrożna, bo dodruk pieniędzy to ryzykowana sprawa. Poza tym polityka monetarna coraz słabiej sprawdza się jako narzędzie do sterowania rynkami. Po kryzysie finansowym amerykańska rezerwa federalna i Europejski Bank Centralny uruchomiły drukarki w mennicach, żeby stymulować popyt i uratować wzrost. Wszystkie modele ekonomiczne od epoki New Dealu wykazywały, że to powinno zadziałać. Nie zadziałało jednak w takim stopniu, jak zakładano, bo pieniądze nie trafiły wyłącznie do konsumentów i producentów. Dużą część wchłonęły znowu rynki finansowe.

Szukałabym więc innych rozwiązań. Bardzo przemawia do mnie koncepcja, według której różnicuje się zadłużenie. Deficyt budżetowy jest szkodliwy wtedy, gdy zostaje przejeżdżony. Mamy międzynarodowy system ratingowy, który ocenia wypłacalność dłużników, w tym także państw. Z reguły im bardziej się zadłużamy, tym mniej wiarygodni stajemy się dla potencjalnych wierzycieli. Koszty obsługi długu rosną. Dlatego tak ważne jest jego efektywne wykorzystanie.

Obsługa długu na poprawę działania służby zdrowia kosztowałaby zatem mniej od pożyczek na bardziej doraźne cele. Ale czy rynki finansowe zgodzą się pożyczać państwu na mniejszy procent?

W przypadku polityki budżetowej efektywność wydawania przekłada się na rosnącą wiarygodność płatniczą państwa.

© (P) Rozmawiał MAREK RABIJ



ADAM JANKOWSKI / REPORTER

PROF. ELŻBIETA MACZYŃSKA jest prezeską Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego i członkinią Narodowej Rady Rozwoju. Wykłada na SGH.



ANDRZEJ IWANCUK / REPORTER

Warszawa, listopad 2018 r.

Elektryczną hulajnogą w czarną dziurę

PIOTR KOZANECKI

Alternatywa dla samochodu? Zagrożenie dla roweru? Moda, która przeminie? A może spojrzeć na to zjawisko jak na szansę?

WARSZAWA, POZNAŃ I WROCŁAW JUŻ jeżdżą, za chwilę pewnie dołączą kolejne ośrodki. Wypożyczane elektryczne hulajnogi w ciągu kilku miesięcy stają się codziennością wszędzie tam, gdzie się pojawiają. Ale dopiero tysiące tych dziwnych wynalazków na chodnikach uświadomiły nam, że w gruncie rzeczy nie wiemy, czym taka hulajnoga jest. I kim jest jej użytkownik. Pieszym? Kierowcą? Kimś pomiędzy?

AMERYKAŃSKI START-UP LIME WKROCZYŁ DO POLSKI JESIENIĄ. Wystawił w Warszawie, Wrocławiu i Poznaniu jaskrawozielone hulaj-

nogi elektryczne, uruchomił aplikację na smartfona i patrzył na rosnącą z dnia na dzień liczbę użytkowników. Pierwsze problemy wzięły się ze zwykłego niechlujstwa – hulajnogę można zostawić, gdziekolwiek się chce. I zostawia się, niestety, czasami na środku chodnika, utrudniając życie pieszym. Lime wprawdzie zabiera na noc pojazdy (czy hulajnogę elektryczną pojazdem w ogóle można nazwać, o tym za chwilę) do ładowania, ale w ruchliwych miejscach tarasowanie wąskiego chodnika nawet przez godzinę stwarza kłopoty i jest zwyczajnie niebezpieczne. Poznań i Wrocław na razie monitorują sytuację, warszawski

Zarząd Dróg Miejskich w połowie lutego sam zarekwirował 80 źle zaparkowanych hulajnóg z chodników – traktując je jako mienie porzucone lub zagrażające bezpieczeństwu.

To jednak mniejszy problem i oprócz podnoszenia kultury jazdy jest na niego sposób przetestowany skutecznie w przypadku rowerów miejskich. Te bowiem również można zostawiać byle gdzie, ale ponosi się z tego tytułu niewielką opłatę. Jeśli zaparkuje się rower na specjalnie przeznaczonej do tego stacji, opłaty nie ma. Tyle że zorganizowanie przez Lime parkingów dla e-hulajnóg wymagałoby znacznie większych inwestycji, bo za powierzchnię parkingową trzeba by było zapłacić. A że Lime jest popularne głównie w centrach miast, ceny nie byłyby niskie. Na razie pozostają więc apele do użytkowników i współpraca z miejskimi służbami.

GŁÓWNY KŁOPOT, JAKI TYMCZASEM MAMY z elektrycznymi hulajnogami, polega natomiast na tym, że nie bardzo wiemy, czym one w świetle prawa są. Policja twierdzi, że elektryczna hulajnoga to tzw. UTO, czyli urządzenie transportu osobistego. Są nimi np. deskorolki, rolki, ➔

→ segwaye, zwykłe hulajnogi i inne urządzenia przeznaczone do poruszania się pieszych, napędzane siłą mięśni lub, co dla elektrycznych hulajnóg jest kluczowe, za pomocą silnika elektrycznego, którego konstrukcja uniemożliwia jazdę szybszą niż 25 km/h. Zgodnie z tą interpretacją mandat grozi nam, jeśli wyjedziemy taką hulajnogą na drogę rowerową lub na ulicę.

Niektórzy zwracają jednak uwagę na to, że elektryczne hulajnogi mogą rozwijać większe prędkości, nieraz ponad 40 km/h, a to zbliża je raczej do motorowerów. Najpopularniejsze modele, jakie znajdziemy w sieciowych sklepach, mają w opisie technicznym prędkość maksymalną na poziomie wspomnianych 25 km/h, jednak model, który chwali się byciem „najszybszą hulajnogą elektryczną na świecie”, dostępny w masowej sprzedaży, może pojechać nawet 65 km/h. Rozwijanie takiej prędkości na chodniku to kiepski żart.

DOPÓKI HULAJNOGI ELEKTRYCZNE BYŁY DROGĄ ROZRYWKĄ (1,5–2,5 tys. zł), problem pozostawał raczej niszowy. Ale kiedy jesienią 2018 r. Lime zasypała polskie miasta hulajnogami na wynajem, sprawa zaczęła domagać się regulacji. Hulajnogi tej firmy rzeczywiście nie rozpędzają się powyżej 25 km/h, co sprawia, że spełniają definicję UTO, i pozwala na jazdę po chodniku. Tyle że jednocześnie nie pozwala na to... regulamin. Biuro prasowe firmy tłumaczy ten paradoks tym, że działa w ok. 120 krajach świata, regulamin zaś jest uniwersalny, a nie dostosowywany na bieżąco do poszczególnych krajów.

Nie trzeba prowadzić wnikliwych badań, żeby zorientować się, że w Polsce zapis o zakazie jazdy po chodniku jest martwy (podobnie jak nakaz jazdy w kasku, także w regulaminie Lime zawarty). I nie

ma co się dziwić – jazda po ulicy nawet rowerem jest w Polsce bliżej sportu ekstremalnego niż codziennego poruszania się po mieście, a co dopiero drobniejszą i bardziej chybliwą hulajnogą. Nie mówiąc o tym, że niezbędna na drodze sygnalizacja skrętu ręką, naturalna w przypadku roweru, na hulajnodze grozi natychmiastowym upadkiem.

Z drugiej strony jazda chodnikiem też jest mało komfortowa. Pół biedy, jeśli mamy równe płyty i szerokość jak na Marszałkowskiej. Ale każdy, kto próbuje poruszać się po polskich miastach na małych kółkach, bez względu na to, do czego są podczipione, wie, jaka to mordęga. Wysokie krawężniki, dziury, wszechobecna kostka, często fazowana, czyli ze żłobieniami na krawędziach, absurdalne rozwiązania z przejściami dla pieszych, schody, wąskie chodniki zastawione parkującymi autami. Słowem: jeździ się kiepsko i na dodatek człowiek czuje się wśród znacznie wolniejszych pieszych jak intruz.

NAJBARDZIEJ POPULARNE NA ŚWIECIE ROZWIĄZANIE to wpuszczenie hulajnóg elektrycznych i innych UTO także na drogi rowerowe, choć nie jest to rozwiązanie powszechne – np. w Niemczech hulajnogi elektryczne są nielegalne, bo tamtejsze przepisy stanowią, że każdy pojazd zmotoryzowany rozwijający prędkość powyżej 6 km/h i poruszający się po drogach publicznych musi zostać oficjalnie dopuszczony do ruchu i mieć odpowiednie ubezpieczenie.

Rząd obiecał nowe przepisy na początku 2019 r., ale wciąż ich nie przyjął. Planowane uregulowania są dość restrykcyjne – maksymalna prędkość ma wynosić 20 km/h, hulajnogi mają się poruszać po ścieżkach rowerowych, a tam, gdzie takiej ścieżki nie ma, trzeba będzie zjechać hulajnogą na jezdnię. Ponadto każda musi być wyposażona w dwa niezależne od siebie hamulce, kierunkowskazy i sygnał dźwiękowy. Na dodatek nie będzie wolno z nich korzystać osobom poniżej 15. roku życia, a dla pozostałych jazda ma być dozwolona pod warunkiem posiadania przynajmniej prawa jazdy na motorower.

Wpuszczenie UTO na drogi rowerowe wydaje się być najbardziej racjonalnym rozwiązaniem, przy zastosowaniu tych samych ograniczeń, które wprowadzono w 2011 r. dla roweru elektrycznego. Doczekał się on wówczas osobnej definicji, zgodnie z którą m.in. silnik nie może go

rozpędzić powyżej 25 km/h. „Elektrykiem” z takimi ograniczeniami można jeździć po drogach rowerowych. Oczywiście przepis o ograniczeniu parametrów silnika jest trudny do wyegzekwowania od indywidualnych użytkowników. Ale takie rowery są wciąż zbyt drogie, żebyśmy mieli do czynienia z masowym problemem.

Część środowisk rowerowych z niechęcią patrzy na „elektryki” na ścieżkach – właśnie ze względu na trudność w dopilnowaniu, czy ich użytkownicy nie łamią przepisów, a także na rowerową kulturę, która zakłada jednak w pełni ekologiczne i zdrowe poruszanie się po mieście. Ale efekt uboczny możliwej zmiany prawa zadowoli także fanów jednośladów. Lime tylko w trzech miastach udostępnia już 3600 hulajnóg, z których w ciągu pół roku skorzystało 140 tysięcy ludzi, i planuje ekspansję do kolejnych ośrodków. To może być kolejna grupa nacisku na samorządy, żeby wzięły się wreszcie na serio do budowy sensownej sieci tras rowerowych, bo żadne polskie miasto takiej sieci jeszcze nie ma.

CZY ELEKTRYCZNE HULAJNOGI MOGĄ REALNIE OGRANICZYĆ RUCH SAMOCHODOWY w miastach, oczywiście do spółki z rowerami? O tym, że przy dobrej infrastrukturze da się to zrobić samymi rowerami, wiemy już z paru przykładów z Europy. Obiecująco brzmi też udostępnione przez Lime badania Departamentu Transportu z Portland, gdzie w ciągu czterech miesięcy mieszkańcy odbyli ponad 700 tys. przejazdów, mając do dyspozycji 2043 elektryczne hulajnogi i, co najważniejsze, 34 proc. mieszkańców Portland i 48 proc. gości skorzystało z niej zamiast własnego samochodu, taksówki bądź Ubera. Z drugiej strony jednak Lime samo traktuje swoje urządzenia głównie jako uzupełnienie ruchu i szybkie pokonanie „ostatniego kilometra”, np. z przystanku komunikacji miejskiej lub z parkingu do biura albo sklepu.

Jeśli więc infrastruktura się nie poprawi, a prawo się nie zmieni, to elektryczne hulajnogi nie staną się długo niczym więcej niż uciążliwą ciekawostką – trochę dla funkcjonujących w centrach mieszkańców, trochę dla turystów. Bo jeśli weźmiemy pod uwagę nasze zdrowie i efektywność poruszania się po mieście, to do codziennych przejazdów w granicach 10 kilometrów jeszcze długo najlepszy będzie rower.

© PIOTR KOZANECKI

Sprostowanie

Nieprawdziwa jest informacja podana w „Tygodniku Powszechnym” z dnia 20.02.2019 r., że minister kultury nie przedłużył dyrektorowi Muzeum POLIN kontraktu. Zgodnie z regulaminem, kadencja dyrektora jest 5-letnia, a powołanie nowego dyrektora odbywa się w drodze konkursu, który ogłaszają trzy podmioty współprowadzące – Minister KiDN, m. st. Warszawa oraz Stowarzyszenie ŻIH.

ANNA PAWŁOWSKA-POJAWA

Dyrektor Centrum Informacyjnego MKiDN

ANNA

Dziewit-Meller: Zeloci w berberysie



KIEDY CHCĘ SIĘ POCZUĆ TROCHĘ LEPIEJ KOSZT-tem kogoś innego, myślę na przykład o tym, kiedy to nadejdzie nowy raport o stanie czytelnictwa w Polsce. Chyba już powoli można zacząć się otorbiać inteligentnym poczuciem wyższości, umacniać na swojej ważnej pozycji i patrzeć, jak tam sytuacja dookoła – kto się z kolegów i koleżanek też już łości w kokonie samozadowolenia, że jak co rok wychodzi na to, że mamy rację: Polska to ciemnogród, otacza nas mrok, trzeba wyciągnąć kaganki oświaty i świecić prosto w pysk leniwemu umysłowo narodowi.

Że zbliża się sezon na lament, czuje się już w powietrzu – nadciąga jak zapach berberysu posadzonego na miejskim klombie, który tłumi zupełnie inne smrodliwe wonie na jakieś dwa tygodnie w okresie wiosennego kwitnienia. O czym byśmy pisali, biedni ludzie? Czym my byśmy żyli? Gdyby nie dało się raz na jakiś czas przywdziać inteligentkiej koleczki i wyruszyć w ten bój, co szczęśliwie nie chce być ostatnim? Inteligent tak rzadko ma okazję poczuć się lepiej od całej reszty społeczeństwa, chwala ci więc, o Biblioteko Narodowa, że dajesz ten wyjątkowy czas festiwalu fałszywej troski o bliźnich, którzy nie chcą nas słuchać, choć przecież to my wiemy najlepiej.

Bo nie tylko o to chodzi, że nie czytają! To jest rzecz jasna kłopot, ale znacznie ważniejsze jest to, że ci, co jeszcze w ogóle coś czytają, robią to wedle swych gustów i potrzeb, a nie wedle gustów i potrzeb naszych. A trudno przecież pozwolić ludziom na to, by się gdzieś dodatkowo, a pełne barachła jakiegoś kanony i listy ukazywały. Na przykład listy bestsellerów, których nie cenimy, póki tam się nasza książka nie znajdzie, choćby na 98. miejscu sprzedaży internetowej. No ale to jest zaszczyt dla listy, nie dla nas, wiadomo.

Jakoś trzeba sobie przecież poradzić z tym paradoksem, który powiada, że w Polsce nie można być jednocześnie pisarzem dobrym i popularnym, no niestety. Więc głowimy się, jak to zro-

bić, żeby podsuwając ludziom pisarzy naszym zdaniem dobrych, nie zrobić z nich przypadkiem pisarzy popularnych, a zwłaszcza nie daj Boże tych celebrytów literatury, których tak kochamy nienawidzić, bo przecież wtedy automatycznie przestają być pisarzami dobrymi i wtedy krew w piach.

Tymczasem – à propos celebrytów i innych osób łatwych do nienawidzenia – w oczekiwaniu na święto załamywania rąk nad schamieniem narodu otrzymaliśmy prezent od losu. Dwójka stachanowców literatury – Katarzyna Bonda i Remigiusz Mróz – ogłosiła, że od teraz są parą. Niezależnie od tego, czy prawda to, czy sprytny zabieg marketingowy, w naszych okopach zawrzało. Ze zdumieniem pomieszanim z niedowierzaniem czytałam w ostatnich dniach, jak wydarzenie to stało się pretekstem dla różnych ludzi, w tym tych związanych zawodowo z pisaniami, do heheszków i słabo maskowanego poczucia wyższości wobec obydwojga. Śmiechu było co niemiara, a co żart, to doprawdy wart tyńfa, w końcu śmiała się tu prawdziwa elita, a nie jacyś tandeciarze-grafomani, których niestety wciąż uparcie kupuje i stawia sobie na półkach prosty ludek. Jakbyśmy czekali na ten pretekst, żeby znowu się poczuć lepszymi cudzym kosztem, w końcu dobrze jest czasem móc w asyście klakierów wylać na kogoś swoją żółć. Bonda z Mrozem nadają się doskonale, ale przecież nie oni jedni, chłopcy i dziewczynki do bicia zawsze się znajdują, tu czyjś mercedes, tam czyjś instagram – powodów jest tak wiele!

Andrzej Kijowski, pisząc o kondycji inteligenta polskiego po stanie wojennym, powiadał tak: „Klasa intelektualistów ma za sobą dwieście lat historii, w trakcie której ciąglem przeobrażeniom ulegał jej obraz idealny, jedno tylko się nie zmieniało: poczucie wyższości. To poczucie wyższości wyrażało się rozmaicie: a to krucjatą uczonych przeciw zabobonowi i ciemnocie, a to poetyckim i sentymentalnym uwielbieniem ludowej mądrości i prostoty, a to artystowską wzdrgą dla pospolitości, a to pomysłem rozpoczęcia dziejów człowieka od nowa”.

Chyba zbyt śmiała jest ta propozycja, by może dać ludziom robić to, na co mają ochotę, skoro i tak mają nas w nosie, bo czują, że to całe zatroskane pochylenie się nad nimi czynimy ze wzdrgą? Nie – to się nie może udać. Etos inteligenta na to nie pozwoli. Odpowiedzialność za społeczeństwo zbyt wielka jest w nas, byśmy mogli tak po prostu przestać toczyć bekę z popularnych autorów robiących w komercji i w żaden sposób nieaspirujących do niczego więcej. Musimy przecież ratować podupadającą kulturę.

©

TP

Jedynym pewnikiem jest zmiana.

Zmiana poziomu morza, temperatury powietrza, linii brzegowych i granic państw. Pozostało niewiele czasu. Problemy zaczną się już w następnym pokoleniu. To dlatego już dziś młodzież na całym świecie postanowiła wyjść na ulice. Nie wystarczy, że segregujesz śmieci i oszczędzasz wodę – to państwo musi zacząć działać. Klimat, jak dziura ozonowa, potrzebuje rozwiązań systemowych. Dlaczego?

O tym w następnym numerze „Tygodnika Powszechnego”:

- Piotr Siergiej o zmianach klimatu ■ Reportaż z Młodzieżowego Strajku Klimatycznego ■ Rozmowa z Iloną Jędrasik o wpływie energetyki węglowej na klimat ■ Felieton Marcina Popkiewicza, analityka megatrendów, współautora książki „Nauka o klimacie”
- Przegląd najlepszych blogów i vlogów klimatycznych

Dodatek przygotowany we współpracy z ClientEarth



BĘDZIE BOLAŁO

Ośmielam się powiedzieć to,
co wielu ludzi boi się
powiedzieć głośno:
biskupi, którzy ukrywali
straszne przestępstwo,
przenosząc z miejsca
na miejsce księży pedofilów,
powinni złożyć
na ręce papieża
rezygnację z urzędu.

O. LUDWIK WIŚNIEWSKI OP

1 W NASZYM KRAJU CIĄGLE WRZE. ODNOSZĘ NAWET wrażenie, że po mordzie na Pawle Adamowiczu wrzenie się nasiliło. Teoretycznie wszyscy uznali, że nienawistne słowa i działania należy potępić, ale szybko pojawiła się chęć wykorzystania tej śmierci w interesie swojego obozu politycznego. Po moim wystąpieniu na pogrzebie prezydenta Gdańska też posypały się oskarżenia, że wezwanie do zaprzestania pogardy skierowałem tylko do jednej strony, mianowicie do partii rządzącej. Od tego czasu mijają dwa miesiące, a ja wciąż otrzymuję listy, esemesy i telefony (często niewybredne) w tej sprawie. Na nic najszczerze zapewnienia, że to rozpaczliwe wezwanie kierowałem do wszystkich.

Dlatego czuję się w obowiązku jeszcze raz wyraźnie powiedzieć, że słowa wypowiedziane podczas pogrzebu prezydenta Adamowicza adresowałem nie tylko do Jarosława Kaczyńskiego, ale także do Lecha Wałęsy, Donalda Tuska, Grzegorza Schetyny, Radosława Sikorskiego, Bronisława Komorowskiego, Pawła Kukiza i do wszystkich „aktorów” naszego życia publicznego. Wszyscy jesteśmy bardzo podobni do siebie. Jest w nas światło i dlatego jesteśmy zdolni



do czynienia dobra. Ale zalegają w nas także mroki i dlatego jesteśmy zdolni do zła, a nawet do nienawiści.

Najgorsze w tym wszystkim nie jest to, że się wzajemnie nienawidzimy. Większym problemem jest oskarżanie o nienawiść wyłącznie drugiej strony i robienie z siebie wzorca ukochania Polski i Polaków. Pogarda, zaciętrzewienie, przekonanie o własnej jedynej słuszności pozbawiają człowieka zdrowego rozsądku. Sprawiają, że wszyscy uczestniczymy w jakimś obłędnym, nieprzytomnym, „chocholim” tańcu.

Dopóki każdy z nas z osobna nie dostrzeże w sobie samym pokładów ciemności, dopóki każdy z osobna nie będzie zdolny do samokrytycyzmu, dopóty nie wyzbędziemy się pogardy i nienawiści, i nie będziemy zdolni do budowy sprawiedliwego i w pełni podmiotowego społeczeństwa.

2 W ostatnim czasie obozy polityczne zbierają siły, mobilizują się, zabezpieczają „tyły”, a wszystko po to, by pokonać przeciwnika w kolejnych wyborach. Nie wiem, może tak trzeba, ale istnieją poważne obawy, że ta mobilizacja ugruntuje podziały, a może nawet wybuduje nowe mury.

Jak powietrza potrzeba Polsce ludzi świadomie budujących mosty między zwaśnionymi rodakami. A jeżeli budowanie takich mostów „od góry” jest niemożliwe, trzeba to robić „od dołu” – w gminach, w powiatach, w województwach. W lokalnych społecznościach jest wiele palących problemów, które można rozwiązać jedynie wspólnym wysiłkiem. Dobro wsi, gminy, miasta, województwa może i powinno stać się zadaniem, w którego rozwiązywaniu uczestniczą wszyscy obywatele, niezależnie od wyznawanego światopoglądu i preferowanej opcji politycznej. Trzeba przekonywać ludzi, że takie wspólne działanie jest zarówno obowiązkiem, jak obywatelskim działaniem *par excellence*.

3 Tylko kto ma to robić? Nie tak dawno prymas Polski abp Wojciech Polak powiedział: „Na to, co się w Polsce dzieje, Kościół nie może patrzeć spokojnie. Najwyższy czas, abyśmy ocknęli się – jako chrześcijanie i jako Polacy. Nadszedł czas, że Kościół powinien podjąć rolę mediatora wśród okładających się stron”.

To ważny głos. Ja również, wraz z wieloma moimi wierzącymi siostrami i braćmi, jestem przekonany, że Kościół ma do odegrania w Polsce wielką rolę. Ale tę rolę może wypełnić tylko wtedy, kiedy we własnych szeregach uporządkuje nieład, gorszący wielu ludzi.

Niestety, przeminęły te czasy, kiedy powszechnie ufano Kościołowi, reprezentowanemu przez polskich biskupów. Dziś coraz częściej pojawiają się głosy, że Kościół jest strukturą niewiarygodną, wręcz patologiczną, jest systemem psychicznej opresji. Katolickich księży przedstawia się jako ka-

rierowiczów i ludzi o pustych, wypalonych z jakichkolwiek wartości wnętrzach. Z taką nienawiścią do Kościoła i do księży nie spotykaliśmy się nigdy, nawet w najgorszych czasach komunistycznych.

Można nad tym wszystkim przejść do porządku dziennego, przywołując słowa Chrystusa: „Mnie prześladowali i was prześladować będą”. Można się pocieszać i powiedzieć, że ludzie tak myślący to marginesy społeczeństwa. Jednakże marna to pociecha.

Nienawiść do Kościoła ze strony niewierzących to nie jest coś najgorszego, co mogłoby się nam przytrafić. Gorsze jest to, że coraz więcej autentycznych chrześcijan nie odnajduje się w naszym Kościele. Coraz więcej katolików jest zgorszonych zachowaniem biskupów i księży oraz tolerowaniem przez nich zła. Jakaś „smuta” zawisła nad polskim Kościołem. Jak można tego nie widzieć?

Zdaje się, że księża biskupi nie rozmawiają po bratersku z ludźmi i chyba nie zasiadają w konfesjonale, skoro nie wiedzą – a jeśli nie reagują, to znaczy, że nie wiedzą – co boli zatroskanych o Kościół; jak bardzo zachowanie księży i księży biskupów wydaje się nieewangeliczne, gorszące, trudne do zniesienia.

Nadszedł czas, kiedy trzeba podjąć radykalne kroki!

4 Piszę to w kontekście haniebnego dramatu pederofilskiego. Kościoły w innych krajach potrafiły się z nim zmierzyć. A my? Najpierw udawaliśmy, że nas to nie dotyczy, a teraz zachowujemy się jak ktoś, kto przed rozpoczęciem niezbędnej do wykonania pracy boi się ubrudzić sobie ręce.

W grzechu, o którym tu mowa, są tak naprawdę trzy grzechy: sam czyn, wołający o pomstę do nieba; ukrywanie go, prowadzące często do recydywy; nieludzka obojętność na krzywdę dzieci. Przy opatrywaniu tej bolesnej rany nie można używać półśrodków. Jeśli Kościół chce się naprawdę oczyścić, musi zdecydować się na niecodzienne działania. Będzie bolało!

Ośmielam się powiedzieć to, co wielu ludzi boi się mówić głośno. Biskupi, którzy ukrywali to straszne przestępstwo, przenosząc z miejsca na miejsce księży pederofilów, powinni złożyć na ręce papieża rezygnację z urzędu. Biskupi emeryci, którzy też tak czynili, powinni odważnie i publicznie przyznać się do tego.

Wszyscy rozumieją, że w tym „ukrywaniu” mogło nie być złej woli. Biskup mógł się czuć bezradny, mógł naiwnie wierzyć, że sprawca się nawrócił, mógł także sądzić, że tego wymaga chrześcijańskie miłosierdzie. Jednakże w ten sposób dochodziło do niszczenia ludzi.

Jestem przekonany, że dopiero wtedy, kiedy my, duchowni, odważnie wyciągniemy wnioski w stosunku do samych siebie, będziemy potrafili pochylić się po bratersku nad ofiarami naszych czynów. I dopiero wtedy zaczniemy przywracać Kościołowi Twarz Chrystusa. ©



WOJNA HYBRYDOWA W KOŚCIELE

Dysputy teologiczne to przeżytek. Dziś antypapieska opozycja walczy świeckimi metodami: dezinformacji i wojny psychologicznej. Celem jest zmuszenie Franciszka do dymisji lub, gdyby to się nie udało, ustawienie przyszłego konklawe.

EDWARD AUGUSTYN



STEFANO MONTESI / CORBIS / GETTY IMAGES

Twarze antyfranciszkowej opozycji – kard. Raymond Burke (w środku), abp Carlo Viganò (z prawej) i bp Luigi Negri (z tyłu, po lewej) podczas Marszu dla Życia, Rzym, maj 2018 r.

agentów FBI, gromadzi informacje o każdym ze 122 kardynałów-elektorów: jakie ma poglądy w kwestiach etycznych i społecznych, czy nie ciąży na nim zarzuty niemoralnego prowadzenia się, ukrywania przestępców, korupcji. Pomysłodawcy nie ukrywają, że zainspirowały ich kampanie wyborcze w USA, w czasie których specjaliści od politycznego marketingu kreują pozytywny wizerunek jednych kandydatów, a dyskredytują innych. I że dla osiągnięcia zamierzonego celu nie zawahają się sięgnąć po różne, nawet nie do końca uczciwe środki.

Studenci angażowani do pracy dostają po 25 dolarów za godzinę przeszukiwania zakamarków internetu. Roczny budżet projektu, nazwanego „Red Hat Report” („Raport o czerwonych kapeluszach”), opiewa na 1,2 mln dolarów, pozyskanych od bogatych katolickich biznesmenów. Całość ma być gotowa do kwietnia 2020 r.

„Gdybyśmy mieli taki raport w 2013 r., pewnie nie byłoby papieża Franciszka” – wyznał Jacob Imam, dyrektor wykonawczy przedsięwzięcia.

Nielojalny Carlo

Andrea Tornielli i Gianni Valente – dziennikarze turyńskiej „La Stampy” i autorzy książki „Dzień sądu”, której polski przekład w najbliższych dniach trafi do księgarń – historię Better Church Governance umieścili w rozdziale zatytułowanym „Schizma po amerykańsku”.

Gdy rozmawiałem z Torniellim w październiku 2018 r., przed ukazaniem się włoskiego wydania, chętnie opowiadał o pracy nad książką i źródłach swych informacji. Dziś jest wysokim urzędnikiem dykasterii do spraw komunikacji Stolicy Apostolskiej, odpowiedzialnym za politykę informacyjną Watykanu, i nie chce publicznie komentować spraw, którymi zajmował się jako zwykły dziennikarz (dodajmy: jeden z najbardziej cenionych włoskich watykanistów).

Można się jednak domyslać – nie tylko z racji szybkiego następstwa w czasie – że publikacja „Dnia sądu” nie pozostała bez wpływu na jego awans. Tornielli i Valente w niespełna dwa miesiące rozbroili medialną bombę, która miała skompromito-

wać Franciszka, a nawet – w zamyśle jej konstruktorów – doprowadzić do jego dymisji. Z zadaniem nie poradził sobie rzecznik prasowy papieża wraz z kilkunastoposobowym zespołem, więc z końcem roku podziękowano mu za pracę, kompletując nową ekipę według wskazówek Torniello.

Przypomnijmy: „Dzień sądu” powstał jako odpowiedź na zarzuty stawiane papieżowi przez abp. Carla Marię Viganò, byłego nuncjusza w Waszyngtonie. Pod koniec sierpnia 2018 r. ten watykański dyplomata – związany przysięgą i z racji wykonywanej misji zobowiązany do lojalności wobec głowy państwa, które reprezentuje – publicznie oskarżył papieża o hipokryzję i zgorszenie. Powołując się na wiele wewnętrznych, poza dyplomacją watykańską nieznanymi dokumentów, rozporządzeń i zaleceń, zarzucił Franciszkowi, że choć ten od dawna wiedział o niemoralnym prowadzeniu się kard. Theodore’a McCarricka, emerytowanego arcybiskupa Nowego Jorku, to nie tylko go nie ukarał, lecz jeszcze zdjął z niego kary nałożone przez Benedykta XVI.

Zarzut już na pierwszy rzut oka był absurdalny: raptem miesiąc wcześniej papież pozbawił McCarricka kardynalskiej godności. Jednak według Viganò było to działanie spóźnione i wymuszone sytuacją. Były nuncjusz twierdził, że papież zareagował dopiero, gdy pojawiło się podejrzenie o wykorzystanie seksualne nieletniego, a wcześniej pozostawał bierny, choć miał informacje o homoseksualnej aktywności kardynała i molestowaniu kleryków. Zresztą – według Viganò – kard. McCarrick aktywnie lobbował za wyborem Bergoglia na Stolicę Piotrową, więc taryfa ulgowa była wyrazem wdzięczności papieża, który miał nawet uczynić McCarricka swym nieformalnym doradcą w sprawach Kościoła w USA.

W rzeczywistości – jak dowodzą Tornielli i Valente – było dokładnie na odwrót, ale o tym za chwilę.

Polowanie na papieża

Zarówno moment upublicznienia listu abp. Viganò (był to dzień powrotu Franciszka z ważnej pielgrzymki do Irlandii), jak i miejsce publikacji (jednocześnie pięć tytułów prasowych na świecie: włoskich, anglojęzycznych i hiszpańskojęzycznych) dowodzą, że uderzenie w papieża było dobrze zaplanowane i obliczone na szeroki oddźwięk.

MOŻNA BY POMYŚLEĆ, ŻE TO ORGANIZACJA jak wiele innych. W katolickich środowiskach w USA działają setki świeckich stowarzyszeń. Jednak założyciele Better Church Governance (Ku Lepszemu Zarządzaniu w Kościele) nie ukrywają, że są czymś w rodzaju gospodarczej „wywiadowni”, a ich głównym celem jest „prowadzenie dochodzeń w sprawie korupcji we władzach Kościoła katolickiego” oraz „wspieranie uczciwości, przejrzystości i wierności w zarządzaniu nim”. Brzmi szlachetnie.

Od listopada BCG tworzy największą na świecie bazę danych o kandydatach na papieża. 40 specjalistów, w tym 10 byłych

→ Szybko się okazało, że w przygotowaniu listu pomagali nuncjuszowi dwaj włoscy dziennikarze o mocno konserwatywnych, wręcz tradycjonalistycznych poglądach, odpowiedzialni za kilka wcześniejszych ataków na papieża – w tym za rzymską konferencję „Dokąd zmierzasz, Kościele”, w czasie której dyskutowano o prawnych możliwościach odwołania papieża. A za rozpowszechnieniem oskarżeń stały media finansowane przez amerykańskich ultrakatolickich biznesmenów. Ślad znów nas prowadzi do miłośników zbierania haków na „czerwone kapelusze”.

Gianni Valente, współautor książki, przyznaje dziś w rozmowie z „Tygodnikiem”, że większość tropów prowadzi do firm i organizacji, w których zarządach pojawiają się te same nazwiska, m.in. Timothy’ego Buscha, prawnika i milionera, aspirującego do przywództwa nad całym konserwatywnym ruchem katolików w USA. Jest on członkiem zarządu medialnego koncernu EWTN, założonego w 1980 r. i docierającego dziś do 250 mln katolików na całym świecie. Anglojęzyczna wersja listu Viganò ukazała się w jednym z wydawanych przez EWTN tytułów: „National Catholic Register”. Zaraz po jej publikacji Busch chwalił się, że rewelacje byłego nuncjusza miał potwierdzić sam papież-emeryt. Szybko spotkało się to z oficjalnym *dementi* bp. Georga Gänsweina, osobistego sekretarza Benedykta XVI.

Wraz z kilkoma kolegami-finansistami Busch sponsoruje wiele przedsięwzięć teoretycznie ewangelizacyjnych, których celem jednak jest szerzenie „teologii kapitalizmu”. Wierzą, że wolny rynek i demokratyczny kapitalizm najlepiej realizują zasady Ewangelii, a neokonserwatyzm jest ucieleśnieniem ideałów judeo-chrześcijańskiej cywilizacji.

Od czterech dekad te środowiska – często współtworzone przez nawróconych na katolicyzm żydów, protestantów czy muzułmanów – przejmują kontrolę nad głównymi kulturalnymi i charytatywnymi przedsięwzięciami amerykańskiej prawicy. Po tym, jak nurt protestancki poddał się liberalizmowi, a tradycyjne wartości uległy erozji, jedynie katolicyzm „może aspirować do roli idealnego przewodnika narodu, który jest liderem zachodniego świata” – jak pisał w 1987 r. ks. Richard Neuhaus, były luterński pastor, nieoficjalny ojciec duchowy przydenta George’a W. Busha.

Ewangelia neoliberalizmu

Nic dziwnego, że ludzie o tak sprofilowanym myśleniu patrzą na Kościół jak na korporację, która powinna być kierowana zgodnie ze znanymi im metodami zarządzania. „Tego, czego nie tolerujemy w naszych spółkach, nie powinniśmy tolerować w Kościele” – mówił Timothy Busch w 2018 r. podczas konferencji na Katolickim Uniwersytecie Ameryki w Waszyngtonie.

Sponsorowany przez niego Instytut NAPA organizuje raz w roku dla majątnych katolików (bilety po 500 dolarów) szkolenia z obrony wiary, katolickiej etyki seksualnej czy walki z sekularyzacją. Ubiegłoroczne spotkanie poświęcone było „autentycznej reformie Kościoła”, w czym słyhać aluzję do reformy porowanej, a wprowadzanej przez papieża z Argentyny.

Wziął w nim udział także kard. Gerhard Müller – były prefekt Kongregacji Nauki Wiary, który niedawno dopisał kolejny rozdział do kroniki antyfranciszkowego puczu w Kościele, publikując swój „Manifest” i niemal wprost oskarżając urzędującego papieża o herezję.

Był czas, gdy amerykańscy *theocons* (zwolennicy teokracji i konserwatyizmu) pokładali nadzieje w Benedykcie XVI, którego uważali – zwłaszcza na początku pontyfikatu – za swój drugi, obok prezydenta Busha juniora, główny punkt odniesienia. Szybko jednak doszli do wniosku, że nauczanie papieża Ratzingera, koncentrujące się skromnie na sprawach wiary i życia religijnego, nie ma rewolucyjnego potencjału. Stąd wciąż ideałem religijnego przywódcy jest dla nich Jan Paweł II. Albo, precyzując: taka interpretacja jego pontyfikatu, jaką przedstawia George Weigel, w USA uważany za najważniejszego biografa Karola Wojtyły. W jego ujęciu papież z Polski to przede wszystkim pogromca komunizmu, którego odwaga i polityczna intuicja sprawiła, że kolejne rejony świata poznały smak wolnego rynku. Pamiętają mu co prawda krytykę kapitalizmu z encykliki „*Sollicitudo rei socialis*”, ale uważają, że zrehabilitował się kolejną społeczną encykliką „*Centesimus annus*”, w której widzą manifest gospodarczego neoliberalizmu.

„Zmieniamy oblicze amerykańskiego Kościoła – lubi powtarzać mecenas Busch – bo jesteśmy dynamiczni, a inni nie”. Trudno odmówić mu racji: katolickie organizacje, wspierane przez prywatny biz-

nes, są aktywne na wszystkich płaszczyznach – politycznej, kulturalnej, naukowej, charytatywnej. Nie tylko organizowały antyaborcyjne protesty, ale też budowały opozycję wobec prezydentury Baracka Obamy, a zwłaszcza przeciwko jego programowi powszechnych ubezpieczeń zdrowotnych (przewidywał refundację antykoncepcji, sterylizacji czy aborcji, nie zważając na przekonania religijne opłacających składki przedsiębiorców), i rozwijały własne media, dzięki którym można głosić „neokonserwatywną ewangelię”. Wielu biskupów – nie tylko z USA – uległo ich urokowi.

Opozycja przegrywa bitwę

Po publikacji listu abp. Viganò stała się rzecz dotąd w Kościele niespotykana: po stronie byłego nuncjusza, apelującego do papieża o abdykację, stanęło 24 amerykańskich biskupów (na blisko 260 diecezji). W podpisanym przez nich „oświadczeniu solidarności” zapewniali o „uczciwości, lojalności i nienagannej prawości” Viganò i przekonywali, że zarzuty przez niego stawiane powinny zostać rzetelnie wyjaśnione.

Ale Franciszek odmówił jakiegokolwiek komentarza. Dziennikarzy, którzy na pokładzie samolotu z Dublinu pytali go o list byłego nuncjusza, zachęcił, by sami spróbowali dotrzeć do prawdy. Pojawiło się mnóstwo domysłów i interpretacji. Jedni wyciągali na światło dzienne rodzinne problemy abp. Viganò i jego wcześniejsze zatargi z kurią rzymską, inni domagali się od Watykanu ujawnienia wszystkich dokumentów, na które powoływał się Viganò, a które miały być dowodem, że za personalnymi decyzjami papieża stoi homoseksualne lobby w Kościele w USA oraz w rzymskiej kurii.

Wydana wkrótce potem książka Torriello i Valentego była pomocną dłonią wyciągniętą do papieża przez ludzi mediów. Wydawnictwo promowało ją hasłem: „Niepublikowane dokumenty i świadectwa w sprawie Viganò oraz żądania impeachmentu papieża Franciszka”. Na 300 stronach dziennikarze wykazali, w których miejscach zarzuty byłego nuncjusza mijają się z prawdą, gdzie i ile razy informacje zostały zmanipulowane, podane wybiórczo, z pominięciem ważnych faktów, przeczących tezie o winie czy zaniedbanu papieża.

Dowiedli też, że McCarrick był promowany i hołubiony nie przez Franciszka,

lecz przede wszystkim przez otoczenie Jana Pawła II, któremu zawdzięczał karierę. A gdy o seksualnych ekscesach byłego metropolity Waszyngtonu zaczęto mówić głośno, Benedykt XVI – wbrew temu, co mówił Viganò – nie nałożył na niego żadnych kar, a jedynie „usilnie prosił”, by ograniczył działalność publiczną i „prowadził życie modlitwy i pokuty”, po czym w żaden sposób nie reagował na notoryczne ignorowanie tych zaleceń.

„Dzień sądu” wytrącił oręż z rąk antyfranciszkowej opozycji: dziś, pół roku po „operacji Viganò”, prawie nikt nie pamięta już o tezach byłego nuncjusza. Jest oczywiście, że w sprawie McCarricka Franciszek zrobił więcej niż którykolwiek z poprzedników: kardynał został nie tylko pozbawiony kościelnej godności, ale też wyrzucony z kapłaństwa i przeniesiony do stanu świeckiego. Bitwa została przegrana, ale wojna z Franciszkiem trwa – przeniosła się tylko na inny front.

Wojna hybrydowa

Po teologicznych sporach i „braterskich upomnieniach” (ich chronologię przedstawia infografika), po frontalnym ataku i wezwaniu Franciszka do dymisji, we wnętrzkościelna opozycja być może zdała sobie sprawę, że trudno będzie zachować katolickość i otwarcie walczyć z papieżem. Postanowiła więc zatroszczyć się o przyszłe konklawe, które prędzej czy później nadejdzie.

Próby wywierania presji na kardynałów, a czasem wręcz przestępczego wpływu na wybór papieża, są historii znane. Trzeba jednak przyznać, że dziś, w dobie natychmiastowego i nieograniczonego przepływu informacji, mogą one przyjąć nowe i zaskakujące formy, którym trudno będzie się przeciwstawić. Przetestowane w politycznych kampaniach i „wojnach informacyjnych” metody – manipulowanie opinią publiczną, fake newsy (jak niedawne sugestie, że Franciszek rozważa „dekanonizację” Jana Pawła II), tworzenie zmyślnych algorytmów, sterujących przepływem informacji, budzenie wątpliwości i chaosu – zaprzęgane są do walki o przyszłość Kościoła i katolicyzmu.

Projekt „Red Hat Report” jest tego przykładem. Bo choć podczas przyszłego konklawe kardynałowie znów zostaną odcięci od świata, pozostawiając poza Kaplicą Sykstyńską komputery i smartfony, to wejdą do niej z nabytą wcześniej wiedzą o kandydatach, których



PEŁZAJĄCY PUCZ PRZECIWKO PAPIEŻOWI

19 III 2016	AMORIS LAETITIA	papieska adhortacja dopuszczająca udzielanie komunii osobom rozwiedzionym
14 XI 2016	DUBIA	4 kardynałów – Brandmüller, Burke, Caffara (†2017) i Meisner (†2017) – zgłasza publicznie wątpliwości (dubia) do nauki zawartej w „Amoris laetitia”
XII 2016	ULTIMATUM	kard. Burke: jeśli papież nie odpowie na dubia, sformułuję „formalne upomnienie”
24 IX 2017	CORRECTIO FILIALIS	40 teologów publikuje „synowskie upomnienie” i oskarża papieża o herezję
31 XII 2017	CONFESSIO	„Wyznanie niezmiennych prawd wiary na temat sakramentalnego małżeństwa” podpisane przez siedmiu biskupów (w tym abp. Viganò)
7 IV 2018	DIMISSION	rymska konferencja (wśród uczestników kard. Burke, kard. Brandmüller i abp Viganò) na temat prawnych możliwości odwołania papieża
20 VIII 2018	RENUNTIATIO	Abp Viganò wzywa Franciszka do rezygnacji z urzędu
IX 2018	INQUISITIO	program śledczy „Red Hat Report” przygotowujący informacje na kolejne konklawe
II 2019	MANIFESTATIO	kard. Müller ogłasza „Manifest wiary” przeciwko działaniu Antychrysta w Kościele

często nie mieli okazji osobiście spotkać i poznać. Elektorów z Ameryki Północnej będzie tyle samo, co z Afryki i Azji (po 16), nieco więcej kardynałów będzie reprezentować Amerykę Łacińską (18), a w stosunku do nich wszystkich Europa będzie już w mniejszości (52 na 122). Walka o „właściwy” skład kolegium i umiejętne kreowanie wizerunków „odpowiednich” kandydatów może być rozstrzygająca.

Ciąg dalszy trwa

Viganò, który pełnił dyplomatyczną misję w USA przez pięć lat, dobrze poznał zasady obsadzania wakujących diecezji. W swoim liście i późniejszych wypowiedziach dla mediów nie ukrywał, że Franciszek zawiódł wielu, którzy spodziewali się purpury albo nawet czerwonego kapelusza. Bergoglio przyjął nową zasadę w polityce personalnej wobec Kościoła w USA: wolał biskupów-duszpasterzy od biskupów-polityków, bojowników na froncie „wojny kulturowej”.

Samego Viganò, a także katolickich tradycjonalistów w USA najwyraźniej zirytowało, że papież nie kwapi się z rozdawaniem kapeluszy biskupom w diecezjach zwyczajowo uważanych za „kardynalskie” (dotyczy to zresztą nie tylko USA, ale też innych krajów, również Włoch i Polski). Wiele osób i grup nacisku w Kościele poczuło się zlekceważonych jego decyzjami.

Ale nie składają broni. „Powszechnie wiadomo, że przed ostatnim konklawe wielu kardynalskich sekretarzy korzystało z Wikipedii, by przekazać swym przełożonym informacje na temat ewentualnych kandydatów” – mówił Philip Nielsen, dyrektor Better Church Governance. Częścią projektu „Red Hat Report” będzie więc też „uaktualnianie informacji” o kardynałach w angielskojęzycznej wersji tej największej internetowej encyklopedii. Być może uda się wpłynąć i w ten sposób na przebieg kolejnych wyborów, nawet przy pomocy spreparowanych materiałów. „Operacja Viganò” była pierwszą odsłoną tej hybrydowej wojny w Kościele. Pewnie nie ostatnią.

© © EDWARD AUGUSTYN

Korzystałem z książki „Dzień sądu” Andrei Torniello i Gianniego Valente w tłumaczeniu Joanny Tomaszek (Wydawnictwo WAM) oraz innych materiałów, wskazanych przez jej autorów.



Antje Jackelén po wyborze na arcybiskupkę Uppsali, czerwiec 2014 r.

NAJWYŻSZY CZAS – MIAŁ POWIEDZIEĆ poprzedni arcybiskup Uppsali Anders Wejryd, oddając swoje stanowisko nowo wybranej. Pierwsza kobieta prymas Szwecji otrzymała 55,9 proc. głosów. Wcześniej Jackelén była biskupką Lund – trzecią kobietą na stanowisku biskupa w Szwecji i pierwszą wybraną przez duchowieństwo, a nie jak jej poprzedniczki przez szwedzki rząd, który wyznaczał biskupów aż do rozdzielenia Kościoła od państwa w 2000 r.

Pomimo że czas rzeczywiście był już najwyższy – kobiety mogą być w Szwecji księżmi od 1958 r., a na czele Kościoła stały już wcześniej w Norwegii, Niemczech czy USA – wybór Jackelén wywołał spore poruszenie. Pytanie o to, jak to jest być „pierwszą kobietą” i czy wybrana została właśnie ze względu na swoją płeć, usłyszała setki razy. Zazwyczaj odpowiada: – Kobieta byłam całe życie, a arcybiskupką zostałam wybrana, bo uważano, że mam doświadczenie, kompetencje i talenty, które właśnie teraz potrzebne są Kościołowi. Ta świadomość daje mi pewność, jednak czasem nie mogę odpędzić myśli: czy to wszystko przydarzyłoby się mi, gdybym nazywała się Anton, a nie Antje?

– Całe życie bywałam „tą jedyną”, więc mam trochę doświadczenia – mówi arcybiskupka. – Ciągłe zdarza mi się na tym łapać: aha, jestem jedyną kobietą w towarzystwie. Miewa to swoje korzyści: wyróżniając się, nie ginę w tłumie.

W Szwecji, w której obowiązuje niepisane prawo Jantego, czyli zasada niewyróżniania się, niewybiegania przed szereg, to odstawanie od normy może być odbierane negatywnie. Jackelén zdecydowanie tego nie lubi: jej zdaniem *jantelagen* zabija kreatywność i powoduje, że ludzie trwonią swoje talenty. Czy to ten społeczny koncept spowodował, że trochę czasu zajęło wybranie pierwszej arcybiskupki?

– Nie sądzę, by można tu było postawić znak równości. A jednak Kościół Szwecji do niedawna należał do państwa i choć Szwecja tyle pracuje nad równouprawnieniem, nie mieliśmy jeszcze premiera kobiety – zauważa. – Patriarchat jest rzeczywistością, w jakiej żyjemy, i nawet jeśli mnie osobiście nie dotyczy, to jego struktury stoją na drodze nas wszystkich: męż-

Pierwsza pani prymas

WERONIKA PÉREZ BORJAS

Fuksjowa koszula to codzienny strój biskupa luterańskiego.

Pięć lat temu trudno było dostać ją w damskim rozmiarze.

– To dość mały rynek – mówi Antje Jackelén, arcybiskupka Uppsali.

czynn, kobiet i dzieci. Przez to ludzie nie mogą rozkwitać. Pozbawiając kobiety prawa do rozwoju danych im przez Boga talentów, pozbawiamy czegoś całe społeczeństwo.

Arcybiskupka jest świadoma wyzwań stojących przed kobietami pragnącymi rozwijać swoje talenty w obrębie Kościoła. Nawiązuje do przeprowadzonego niedawno badania dotyczącego zdrowia księży, które wykazało, że kobiety-księża znacznie częściej chorują i przebywają na zwolnieniach lekarskich np. z powodu stresu. – Trudno powiedzieć, z czego dokładnie to wynika, ale myślę, że kobietom brakuje pewności, którą przez lata aktywności zawodowej zdobyli mężczyźni. Poza tym, jak w wielu zawodach, w Kościele kobiety łączą pracę z rodziną – mówi arcybiskupka, sama żona księdza i matka dwóch dorosłych córek. – I ja czasami czułam, że zaniedbuje życie rodzinne: długie dni, praca w weekendy... Powinniśmy dążyć do rynku pracy dostosowanego do rodziny, aby ludzie mogli żyć pełnią życia. Człowiek pracuje lepiej, jeśli ma czas na szczęśliwe i spokojne życie prywatne – podsumowuje.

Święte oburzenie

Swoją sprzeciw wobec patriarchy arcybiskupka miała ostatnio okazję dobitnie wyrazić. Na fali ruchu #MeToo ze swoimi świadectwami wystąpiło wiele grup zawodowych, w których kobiety nagminnie doświadczają molestowania seksualnego i przemocy. Również kobiety Kościoła Szwecji wystosowały otwarty list, obnażając historie molestowania przez księży i parafian, nierzadko wyciszone przez przełożonych. Pod listem z hasztagiem #vardeljus, czyli biblijnym, „niech się stanie światłość”, podpisały się 1382 zatrudnione w Kościele kobiety, również Antje Jackelén. Arcybiskupka opublikowała także własny komunikat, w którego pierwszych słowach stwierdza: „#MeToo (...) ujawnia przemoc i nadużywanie władzy, które powinny należeć do przeszłości. Kobiety z wielu branż podnoszą się i w świętym oburzeniu wołają: Dosyć tego!” (strona internetowa „Svenska Kyrkan” z 24 listopada 2017 r.). Jednocześnie zwierzchniczka Kościoła wylicza konkretne działania, które Kościół podejmuje, by zwalczać i piętnować przemoc seksualną: w każdej diecezji biskupi powołują dwie przeszkolone osoby, kobietę i mężczyznę, do których mogą się

zgłaszać ofiary. Jeszcze przed #MeToo zaplanowano też konferencję o molestowaniu w Kościele.

– Kościół to ludzie, więc zdarza się im popełniać błędy – mówi. – Ale wierni mają prawo wymagać, aby Kościół żył według swoich własnych nauk. Kiedy księża dopuszczają się przemocy seksualnej, Kościół słusznie traci zaufanie. Dlatego tak ważna jest otwartość i wykształcenie procedur działania. Ta praca nigdy się nie kończy, wręcz przeciwnie: musi teraz zostać zrewidowana i ulepszona.

Święte oburzenie Jackelén dotyczy nie tylko spraw Kościoła. W związku z #MeToo Szwecją wstrząsnął skandal: przyznająca literackiego Nobla Akademia Szwedzka popadła w głęboki kryzys po tym, jak kilkanaście kobiet oskarżyło o gwałty i molestowanie Jeana-Claude’a Arnaulta – dyrektora artystycznego kulturalnego klubu Forum, sponsorowanego przez Akademię, a prywatnie męża jednej z jej członkiń. Informacje o czynach Arnaulta były znane już od 1996 r., kiedy to młoda kobieta poinformowała listownie Akademię, że była przez niego molestowana. W efekcie tej sprawy szeregi Akademii opuściło wielu członków, na czele z pierwszą kobietą pełniącą funkcję stałego sekretarza – Sarą Danius. Nie przyznano też literackiego Nobla w 2018 r.

Arcybiskupka Uppsali odmówiła udziału w świętowaniu zebrania Akademii na zakończenie roku jej prac. Tradycyjnie zwierzchnik Kościoła uczestniczy w tym przyjęciu, podobnie jak szwedzka rodzina królewska i śmietanka świata kultury i sztuki. Media obiegała wiadomość o „bojkocie” zebrania, motywowanym działaniem członków Akademii w związku ze sprawą Arnaulta.

– Nie lubię słowa „bojkot” – opowiada Jackelén. – Nie zamierzałam ściągać na siebie uwagi mediów. Ale kiedy przyszło zaproszenie, pomyślałam: no nie... Na takiej kolacji wyraża się swoje poparcie dla Akademii, szacunek okazuje się nawet poprzez powstanie, kiedy członkowie wchodzi do sali. Akademia ma dla mnie ogromne symboliczne znaczenie i ważną rolę: ma stać na straży kultury, języka i edukacji. Kiedy wszystko to się porypało... Kryzys może się zdarzyć, ale sposób jego zażegnania wydał mi się nieprofesjonalny i arogancki. Dlatego pomyślałam: nie mogę po prostu tam siedzieć jak gdyby nigdy nic. Nie mogę tego wspierać. Więc odmówiłam.

Bóg, niekoniecznie Pan

Jackelén często skupia na sobie uwagę opinii publicznej. Jeszcze przed wyborem na stanowisko arcybiskupa kontrowersje →

Odwaga

OD OBU STRON spotkanie to wymagało dalekowzroczności, odporności na krytykę i zignorowania dawnych stereotypów. Kościół katolicki przez stulecia był przez ewangelików przyrównywany do biblijnej „nierządniczy Babilonu”. Z kolei do Soboru Watykańskiego protestanci traktowani byli przez katolików jak heretycy odpowiedzialni za tragedię rozłamu w Kościele. Papież jadąc pod koniec października 2016 r. do szwedzkiego Lund, by z ewangelikami obchodzić 500-lecie reformacji, musiał liczyć się z oskarżeniami, że będzie gloryfikował podział chrześcijaństwa. Wiedział też, że podczas ekumenicz-



MATERIAŁY PRASOWE

nego nabożeństwa w katedrze w Lund stanie obok prymasa-kobiety. Chodziło jednak o mocny sygnał, że katolików i ewangelików więcej łączy, niż dzieli. Arcybiskupka Uppsali Antje Jackelén odczytała wówczas

fragment Ewangelii św. Jana o krzewie winnym, w którym Jezus wyjaśnia uczniom, co jest najważniejsze. Na zdjęciu abp. Jackelén na audyencji u Franciszka w Watykanie w maju 2015 r.

© ASK

→ wzbudziła jej wypowiedź w kwestii dziewictwa Maryi Panny. Część szwedzkich teologów oburzyła jej słowa: „Jeśli sprowadzimy dzieworództwo tylko do zagadnienia biologicznego, to zupełnie nie zrozumieliśmy jego znaczenia”. To wyjęte z kontekstu zdanie niektórzy zinterpretowali jako zaprzeczenie dziewictwa Maryi. Jackelén odpowiedziała na łamach dziennika „Svenska Dagbladet”, tłumacząc, że nie kwestionuje cudu. Chodziło jej raczej o to, by kwestii wiary nie sprowadzać jedynie do biologicznej możliwości lub nieprawdopodobieństwa.

Wykorzystała też okazję, by na łamach świeckiej gazety wspomnieć o niebezpieczeństwach płynących ze zbyt dosłownych interpretacji Biblii: „Jesteśmy dziś boleśnie świadomi, że zarówno narodzin, jak i śmierci Jezusa używano w historii do destrukcyjnych interpretacji: ukrzyżowanie jako argument za karą śmierci czy przypisywanie winy za śmierć Jezusa Żydom, które w swej najbardziej ekstremalnej formie sankcjonuje Holokaust”.

Nie zapomniała też o krzywdzie, którą takie interpretacje wyrządzają kobietom, pisząc: „Wiemy też, jak motyw dziewictwa wykorzystuje się, by kontrolować, wpędzać w poczucie winy i uciskać kobiety”.

Kolejna burza rozpetęła się przy okazji prac nad wznowieniem agendy liturgicznej – księgi zawierającej modlitwy i teksty używane podczas luteranckich nabożeństw. Jednym z celów rewizji wydania było uwspółcześnienie i uproszczenie języka tak, by był zrozumiały dla jak największej liczby wiernych. Starano się m.in. zastąpić takie zwroty jak „Pan” i „On” używane w stosunku do Boga na bardziej neutralne płciowo. Kościołowi zależało, by Bóg nie był używany do propagowania patriarchy – ludzkie podziały płciowe są przecież nieprzekładalne na Boską naturę.

Zmiany w tekście szeroko komentowała prasa, a nawet członkowie Akademii Szwedzkiej, twierdząc, że uwspółcześniona wersja odziera teksty liturgiczne z walorów językowych. Jackelén, orędowniczka nowej wersji, wykazała, że krytyka Akademii odnosiła się głównie do fragmentów z zaakceptowanego już wcześniej wydania z 2000 r., i dodała: „wydaje mi się, że to wasze słowa nie trzymają teraz poziomu wypowiedzi, którego można by się spodziewać po Akademii” („Aftonbladet” z 18 maja 2016 r.).

Nowa agenda liturgiczna zaczęła obowiązywać w Święto Zesłania Ducha Świętego, 20 maja 2018 r.

W dobrym towarzystwie

Arcybiskupka nie boi się też zabierać głosu w palących kwestiach społecznych. Podczas zeszłorocznego zjazdu polityków i organizacji pozarządowych Almedalen na Gotlandii mówiła o roli Kościoła luteranckiego w kształtowaniu wartości szwedzkiego społeczeństwa i apelowała, by nie tracić tych podstaw. Dzisiejsza Szwecja to jednak przede wszystkim kraj wielu kultur i wyznań. Jak pogodzić przywiązanie do tradycyjnych protestanckich wartości z otwartością na nowy kształt społeczeństwa?

– Musimy ze sobą rozmawiać – mówi Jackelén. – Z doświadczenia wiem, że kiedy spotykam muzułmanina, który jest stabilny w swojej wierze i ja jestem stabilna w mojej, to będzie to wzbogacające doświadczenie. Rozpoznamy rzeczy, które nas łączą. Chrześcijanie i muzułmanie to razem ponad połowa ludzkości. Jeśli marzymy o światowym pokoju, musimy żyć ze sobą jak dobrzy sąsiedzi. Może nie zawsze najbliżsi przyjaciele, ale sąsiedzi, którzy mają do siebie głębokie zaufanie, którzy wiedzą, że jeśli u jednego się pali, to drugi zadzwoni po straż pożarną i pomoże, nawet jeśli na co dzień nie zawsze we wszystkim się zgadzamy.

Wielokrotnie angażowała się w sprawy uchodźców. Wraz z przedstawicielami innych chrześcijańskich Kościołów w ramach Szwedzkiej Rady Chrześcijańskiej apeluje do rządu o bardziej humanitarną politykę migracyjną i przyznawanie azylu według prawa łączenia rodzin, którego zasady drastycznie zaostrzono w 2016 r. Krytykowała też deportację uchodźców o nieuregulowanym statusie z ośrodka rodzinnego prowadzonego przez Kościół. Tradycyjnie na terenach kościelnych obowiązuje prawo schronienia, jednak tym razem szwedzka policja zdecydowała się na deportację, a na swoim Twitterze napisała, że Kościół Szwecji musi respektować szwedzkie prawo. Arcybiskupka odpowiedziała: „Naszym wspólnym stanowiskiem powinno być raczej: jak zapobiec traumatyzacji dzieci? (...) Kościół nie stoi ponad prawem. Policja powinna wykonywać swoją pracę, ale potrzebujemy chronionych stref. Inaczej byłibyśmy społeczeństwem na drodze do barbarzyństwa” („Aftonbladet” z 8 września 2017 r.).

Swoje zaangażowanie w sprawy społeczne motywuje prosto: – Wiara nie jest tylko sprawą osobistą: musi przekładać się na nasze wybory. W chrześcijańskim przesłaniu znajdziemy przykazanie opieki nad przybyszem, szczególnie tym prześladowanym. Jestem dumna, że w 2015 r., kiedy tytuł uchodźców przybyło do Szwecji, ponad 80 proc. naszych zborów zaangażowało się w pomoc. Rząd przyznał wtedy, że gdyby nie Kościół i organizacje cywilne, nie byłoby w stanie temu zaradzić.

Przekonania podpira Biblią. Nie znajduje w niej nic, co nakazywałoby izolację w obrębie jednego wyznania. Mówi: – „Tak Bóg umiłował świat, że posłał swego syna Jezusa”. To przesłanie miłości do wszystkich ludzi. Nawet jeśli przybysz jest innego wyznania, to jest przede wszystkim człowiekiem. I jeśli wierzymy, że jest on stworzony na obraz i podobieństwo Boga, nie możemy deptać jego godności.

W swojej pracy ekumenicznej podkreśla znaczenie spotkania z papieżem Franciszkiem, zwłaszcza jego udział w celebracji 500-lecia reformacji w Szwecji. Spotyka się też z przedstawicielami islamu i judaizmu, za co atakują ją środowiska ekstremistycznej prawicy. I na to ma gotową ripostę – w „Aftonbladet” powiedziała: „Jestem w dobrym towarzystwie, Jezusa też często krytykowano za to, z kim prze staje”.

Chrzest ważniejszy niż paszport

Pierwsza arcybiskupka Szwecji jest też pierwszą imigrantką na tym stanowisku. Antje urodziła się w Niemczech, a w Szwecji ukończyła studia teologiczne i w 1980 r. przyjęła święcenia kapłańskie. Pracowała też w Chicago, więc – jak sama mówi – czuje się wzbogacona wielokulturowym doświadczeniem. Dodaje: – Z tym byciem pierwszą imigrantką na arcybiskupim tronie to nie jest do końca prawda. Patrząc wystarczająco daleko wstecz, możemy znaleźć informację o tym, że pierwszy arcybiskup Uppsali, który objął rządę w 1164 r., pochodził z Anglii. Kościół jest bardziej międzynarodowy, niż się wydaje: był globalnym ruchem na długo przed wynalezieniem słowa „globalizacja”.

I puentuje: – Pewnie, że się cieszę, iż jako imigrantka mogłam zostać arcybiskupką Szwecji. Teologicznie jednak to żaden problem: w kościele chrzest jest ważniejszy niż paszport.

© WERONIKA PÉREZ BORJAS

weźcie, czytajcie!

„Tygodnik Powszechny” dołączył do grona partnerów Karty Dużej Rodziny, preferencyjnego programu dla rodzin 3+. Posiadacze KDR mogą skorzystać z niższej ceny zakupu ekonomicznej prenumeraty krajowej – 300 złotych za rok.

Aby skorzystać z oferty, wystarczy w trakcie zamawiania prenumeraty podać numer swojej Karty:

- podczas zamówienia przez internet – w polu uwagi,
- przy przelewie tradycyjnym w tytule przelewu.

Więcej o programie na: rodzina.gov.pl

Szczegółowy regulamin prenumeraty na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



KARTA DUŻEJ RODZINY
rodzina.gov.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263
(w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	429 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation





Hendrick Terbrugghen, Powołanie apostoła Mateusza (1621), Muzeum w Utrechcie

Herbata z Jezusem

MONIKA I MARCIN GAJDOWIE

Czasem jeden tydzień kontaktu z mistrzem wystarczyło, aby adept „wiedział” wszystko, co potrzebne.

PRZEZ KOLEJNE TYGODNIE WIELKIEGO POSTU rozważamy fragment Ewangelii świętego Jana. Dzisiaj część trzecia. Pogrubioną czcionką zaznaczamy zdanie, nad którym chcemy się tym razem pochylić.

„Dwaj uczniowie (...) poszli za Jezusem. Jezus zaś odwróciwszy się i ujrzawszy, że oni idą za Nim, rzekł do nich: »Czego szukacie?«. **ONI POWIEDZIELI DO NIEGO: »RABBI! – TO ZNACZY: NAUCZYCIELU – GDZIE MIESZKASZ?«.** Odpowiedział im: »Chodźcie, a zobaczycie«. Poszli więc i zobaczyli, gdzie mieszka, i tego dnia pozostali u Niego” (J 1, 37-39).

Uczniowie nie udzielają odpowiedzi Jezusowi wprost, zamiast tego wyznają, że są gotowi uznać Go za swego nauczyciela (*Rabbi*), a następnie zadają własne pytanie. Dlaczego nie dają odpowiedzi? To piękny i zagadkowy moment. Być może doświadczają pragnienia, ale nie wiedzą, czego ono dotyczy. Ich serce wyczuwa, że tym razem nie chodzi już o kolejnego nauczyciela, wykład prawa lub o wiedzę religijną. Tu chodzi o życie. Jak odpowiedzieć na pytanie: „Czego szukacie?”, kiedy się nie wie, czego szukać, kiedy każda odpowiedź wydaje się za płytka i banalna? Zafascyno-

wani nowym Mistrzem, chcą z Nim przebywać i poznać Go najlepiej, jak to tylko możliwe.

Panie, to, czego szukam, nie jest mi znane. Nawet nie wiem, czego mam szukać. Szukam kogoś, kto wie, czego szukać warto. Nawet jeśli wydaje mi się, że coś wiem, to jeszcze nie wiem, jak wiedzieć należy (por. 1 Kor 8, 1b). Jak mogę rozumieć, skoro nikt mi nie wyjaśnił (por. Dz 8, 31)? Zawieram się Tobie, który wiesz, czego szukać. Wiem jedno, pragnę być z Tobą. Gdzie mieszkasz, Panie?

Biorąc udział w różnych warsztatach możemy zauważyć, że prelegentów da się podzielić na trzy kategorie. Są tacy mówcy, których wykładów nie warto notować, bo nie wnoszą nic nowego. Są i tacy, którzy dają prelekcje tak ciekawe, że chce się zapisać niemal każde zdanie. Jednak najwspanialszy nauczyciel to ci, których się nie notuje! Nie dlatego, że nie mówią ciekawie, ale dlatego, że szkoda byłoby skupić się wyłącznie na treści ich wypowiedzi – chce się na nich patrzeć, niemal wchłonać, ponieważ oni są tym, czego nauczają. Właśnie taki musiał być Jezus z Nazaretu.

My, ludzie zachodniej cywilizacji XXI wieku, jesteśmy bardzo mocno skoncentrowani na naszym intelekcie i informacji. Wydaje się nam czasem, że głoszenie Ewangelii to kwestia skutecznej komunikacji i wystarczy tylko przekazać w odpowiedni sposób wiedzę religijną, aby znaleźć nowych wyznawców. Nasze uczelnie teologiczne upodobniły się do świeckich szkół, funkcjonując świetnie w ramach uniwersyteckich. Prace magisterskie, przypisy i recenzenci – nikogo nie drażnią słowa, które, gdy się nad tym głębiej zastanowić, w odniesieniu do duchowości brzmią nieco dziwnie... Kiedyś tytuł teologa był zarezerwowany dla mistyka, dzisiaj magistrem teologii może zostać człowiek niewierzący, wystarczy, by przestrzegał reguł pracy naukowej. Zdajemy się nie pamiętać, że nikt nie nosił dyktafonów za Jezusem, a gdy w średniowiecznej Europie św. Franciszek z Asyżu zakładał swój zakon, nie rozsyłał e-mailem regulaminu ani spisanej duchowości. Czasem jeden tydzień kontaktu z nim wystarczyło, aby adept „wiedział” wszystko, co potrzebne. W naszych czasach ludzie przyjeżdżają na rekolekcje i pierwsze co, to wyciągają kartki i długopisy, aby notować. Ktoś zawsze spyta, czy można nagrywać – jakby informacja, a nie relacja miała znaczenie decydujące.

Gdy zdamy sobie sprawę, że użyte w tekście greckie słowo „mieszkać” oznacza także „pozostawać” oraz „trwać” i że to samo słowo zostało użyte przez autora w znanej przypowieści o winnym krzewie – „Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity” (por. J 15, 5) – zaczniemy rozumieć głębszy sens całego tekstu. Odślawia się tajemnica: uczniowie nie szukają wiedzy, lecz relacji.

Dotychczas, na koniec rozważania, zapraszaliśmy do pisemnej odpowiedzi na pytania. Jednak skoro piszemy o relacji, to nie wypada zadawać pytań, które kierowałyby nas w stronę intelektu. Spróbujmy zatem pójść za duchem tekstu. Czytelniku, jeśli chcesz, znajdź 15 minut, podczas których nikt ci nie przeszkodzi. Zaparz sobie ulubioną herbatę i spróbuj wypić ją w obecności Jezusa. Nie próbuj jednak o Nim myśleć. Raczej postaraj się z Nim po prostu być. ©

MONIKA I DIAKON MARCIN GAJDOWIE są małżonkami od 28 lat, rodzicami czworga dzieci, terapeutami i rekolekcjonistami.

SZYMON

Hołownia: Czas na proroków



PRAWOSŁAWNI PRZYGOTOWUJĄ SIĘ DO WIELKIEGO POSTU przez pięć poprzedzających go niedziel, w liturgii każdej z nich umieszczając elementy wprowadzające w temat. Pierwsza to tzw. Niedziela Zachęsa, podpowiadająca, że nie może być prawdziwej pokuty, a wraz z nią nawrócenia i radości ze zbawienia, jeśli najpierw nie będzie pragnienia. Nie sformalizowanego, deklaracyjnego, ale autentycznego, takiego jak wtedy, gdy rzeczywiście chce się jeść, pić czy zaspokoić ciekawość. Pragnienia takiego właśnie, jakiego symbolem stał się Zachęsa.

Jego historię znają wszyscy: oszust na posadzie (szef aparatu fiskalnego w Jerychu), „chciał zobaczyć Jezusa, jaki On jest, lecz ponieważ był niedużego wzrostu, nie mógł z powodu tłumu”. Niewiele myśląc wlaź na drzewo, gdzie wypatrzył go Jezus i – chyba ujęty tą bezceremonialnością – wprosił się do niego na obiad.

Szczerze – ilu z nas przeżywa Wielki Post (że o całym życiu nie wspomnę) w tym kluczu? Ilu z nas, dumnych tysiącletnich chrześcijan, zaryzykowałoby swoją pracę, status, poczucie bezpieczeństwa rodziny, wypracowaną w pocie czoła małą stabilizację, by dowiedzieć się „jaki On jest”? Dla otoczenia pierwszych uczniów Jezusa sprawa była jasna: ci ludzie, którzy gałęzie i liście puszczają w tym świecie, korzenie mają jednak w jakimś innym. Zasila je inne źródło – kwitną, gdy klimat jest nie do zniesienia. Gdy polityczne, ekonomiczne, obyczajowe absurdy się spiętrzą, tłoczą w ludzi lęk, u nich zawsze jest (absurdalna, irytująca, matkująca głupim, ale jednak przecież wabiąca swoim odklejeniem) nadzieja.

Chrześcijaństwo u swego zarania, i dzięki za to Bogu, nie dysponowało ani episkopatami, ani konkordatami, ani nieruchomościami, ani katolickimi szkołami, ani szkolonymi liderami. Socjologicznie, statystycznie i strategicznie było nic nieznaczącym ruchem z końca świata, zbierającym ludzi, po których niczego nie można się było spodziewać. Setki tego typu stowarzyszeń umarło śmiercią naturalną przed, setki po. A to rozlało się w potoku nie do zatrzymania. Dlaczego? Bo miało sensowną etykę seksualną? Ideologiczne antidotum na pustkę, coraz bardziej dojmującą w miarę dogasania cywilizacji grecko-rzymskiego antyku? Bo miało zasoby? Prezesów rządzących partii klękających do zdjęcia w narodowych sanktuariach? Błyskotliwych intelektualistów?

Nie mam wątpliwości, że jeśli chrześcijaństwo w moim rodzinnym kraju przetrwa, to nie dzięki stanowiskom w sprawie Deklaracji LGBT+ czy absurdum w rodzaju ustanawiania nikomu do niczego niepotrzebnego (a mającego za zadanie wyłącznie dopalenie PR-owe obecnej władzy) kolejnego narodowego święta, tym razem Chrztu Polski (będzie każdego 14 kwietnia). Przetrwa, ba – rozwinie się, jeśli po tej całej zało-

snej podróbce modelu bizantyńskiego, jaką teraz przeżywamy, i nieuchronnym przetrzebieniu w związku z tym szeregow polskich katolików (zmęczonych i zawiedzionych oferowaniem Ewangelii w pakiecie z miłością do PiS-u albo redukowaniem orędzia Chrystusa do restrykcji seksualnych czy wyższościowych rojeń cywilizacyjnych) zobaczymy u nas ludzi, którym, gdy o Chrystusie mówią – świecą się po prostu oczy. Są w stanie rzucić wszystko, wleźć na drzewo, zrezygnować z kolejki do lekarza, wziąć urlop na żądanie, odwołać wykupioną wycieczkę. Nie wpasowują swojego chrześcijaństwa między codzienną wódkę a zakąskę, ale rzeczywiście pokazują, że ono jest źródłem, podszewką ich życia. Że nie jest „czymś ważnym” – jest wszystkim.

Nie przywódców potrzebujemy teraz w naszym Kościele (i może celowo Pan poraził ślepotą, głuchotą i niemocą wielu z tych, których mamy). Dziś jest czas na proroków. Na Jeremiasza, który wypłuje nam w twarz, że zrobiliśmy z Boga totem, maskotkę, „cudomat”, ochroniarza stawianego na straży naszych osobistych, politycznych, narodowych i religijnych biznesów. Trzeba nam nie kolejnych werbalnych apologetów, wykształconych w myślowych fechtunkach na katolickich fakultetach, lecz Bożych szaleńców, od których aż się roi w spisach wschodnich świętych. Ludzi pokazujących, że słowa Jezusa o tym, iż Jego królestwo nie jest z tego świata, to nie *licentia poetica*, tylko twardy, szokujący, wybijający z komfortu fakt.

To nie przez książki (również nie przez moje) przyjdzie nam ratunek, lecz przez wyrzutek, dziwaków, w stylu nocującej na polach pod Petersburgiem i chodzącej w ubraniach swojego zmarłego męża świętej Kseni Petersburskiej, świętej Izydory, która w IV wieku była popychadłem, pracując jako podkuchenna w jednym z klasztorów nad Nilem. Czy takich „nołnejmów – nołfejmów” jak Wenanty Katarzyniec, młody polski franciszkanin, zmarły w 1921 r. i czekający w kolejce do aureoli, który swoją modlitwą wyprasza dziś tak nieprawdopodobnie dużo dobrego ludziom w moim otoczeniu, że nie można mieć wątpliwości, iż jest w tym jakaś Boża wskazówka (dziękuję koledze Tomkowi Terlikowskiemu, że w nawale światobawczych zajęć popełnił jego biografię, dzięki niej się o nim dowiedziałem). Wenanty (podobnie jak zestawiany z nim, i słusznie, święty Szarbel) po ludzku nie osiągnął przecież nic, ale w perspektywie, która powinna być naszą podstawową – osiągnął i wciąż osiąga więcej niż ci, którzy podobno osiągnęli wszystko.

Nie wierzę, że dziś w Polsce kogokolwiek nawrócą kolejne listy Episkopatu albo jego formalne rozstrzygnięcia (niektóre z nich, jeśli wreszcie będą odważne i mądre, mogą zahamować odpływ ludzi z Kościoła, ale nowych uczniów nie przyciągną). Nawróci go biskup siedzący z bezdomnym na ulicy i po godzinach pracujący jako wolontariusz w hospicjum. Nawróci go katolicki publicysta, który zamiast obrastać w piórka wyrwane ze skrzydeł husarzy, za swoje naturalne środowisko uzna nie tych ze świecznika, ale tych, którzy nic nie znaczą, i zamiast toczyć wazelinę tamtym, utoczy swoją krew tym. Chrześcijański przedsiębiorca (jak dotąd znam aż jednego takiego), który zamiast wymyślać zgrabne deale, rozda kapitał, a nie odsetki. Nawróci Polak-katolik, który zamiast być w tym świecie głośnikiem, będzie świecą. Najtrudniej w bardzo trudnych czasach jest robić rzeczy proste. ©

WALKA O UKRAINĘ

Od piętnastu lat każde kolejne wybory prezydenckie w tym kraju kończą jedną epokę polityczną i otwierają kolejną. Czy tak będzie i tym razem?

WOJCIECH KONOŃCZUK

PRZEKONANIE, ŻE W DEMOKRACJI WYBORY są metodą „wojny”, wydaje się adekwatne do opisu sytuacji na Ukrainie. Okres wyborczy nad Dnieprem zawsze oznacza, że główne siły mobilizują wszystkie możliwe zasoby, wiedząc, że walka toczy się o ich polityczne być albo nie być.

Nie inaczej jest tym razem. Szczególnie że kilka miesięcy po wyborach prezydenckich odbędą się parlamentarne. Ukraina weszła w okres długiej walki wyborczej, która może ukształtować jej układ polityczny na kolejne kilka lat.

Jednak pod pewnymi względami tegoroczne głosowanie będzie wyjątkowe. Choć pierwsza runda walki o fotel prezydenta Ukrainy odbędzie się już wkrótce, ostatniego dnia marca, to nadal trudno przewidzieć, kto trafi do drugiej tury. To sytuacja bez precedensu w ukraińskiej historii najnowszej.

Od dłuższego czasu wiadomo jedynie, że walka o zwycięstwo rozstrzygnie się między trójką faworytów: urzędującym prezydentem Petrem Poroszenką, byłą dwukrotną premier Julią Tymoszenko i aktorem komediowym Wołodymyrem Zełenskim. Jeśli wierzyć sondażom, ten ostatni ma największe szanse na wejście do drugiej rundy. Otwarte pozostaje, czy tak się stanie i kto będzie jego rywalem. Pozostali kandydaci są już raczej bez szans.

Nowe szaty starych polityków

Przez wiele miesięcy najwyższe miejsce w sondażach zajmowała Tymoszenko, która od ponad 20 lat pozostaje pierwszoplanową aktorką na scenie polityki. Jako pierwsza rozpoczęła kampanię wyborczą i – w zmienionej fryzurze – próbuje przekonywać, że ma dla kraju program równie znaczący jak Rooseveltowski Nowy Ład (nawiązania do oryginału są zresztą czytelne). Jej polityczna reaktywacja i populistyczne hasła są jednak mało wiarygodne dla wyborców. Poparcie dla niej sięga 16-20 proc., deklarowany stopień braku zaufania zaś powyżej 50 proc. Dość powszechnie postrzegana jest jako postać z zamierzchłej przeszłości i żadne „nowe szaty” tego nie zmieniły.

Podobny problem ma prezydent Poroszenko. Jeszcze jesienią 2018 r., gdy słupki poparcia dla niego spadły do 6 proc., wydawało się, że o reelekcji może zapomnieć. Wrócił jednak do walki dzięki zakończonym sukcesem staraniom o uzyskanie niezależności przez ukraińską Cerkiew prawosławną. Pierwsza część jego kampanii została zbudowana właśnie na sprawach autokefalii, która stanowi jeden z elementów jego przedwyborczej triady („język, wiara, armia”).

Tego paliwa starczyło na razie tylko na zajęcie trzeciego miejsca w sondażach. A to oznacza, że wejście Poroszenki do

drugiej tury wcale nie jest przesądzone. Szczególnie że w lutym wybuchł skandal związany z korupcją przy dostawach dla ukraińskiej armii, w który zamieszany jest Ołeh Hładkowski – jeden z najbliższych współpracowników prezydenta.

Jakby tego było mało, ukraiński Sąd Konstytucyjny uznał niedawno za niezgodne z ustawą zasadniczą prawo mówiące o karze więzienia dla tych urzędników i polityków, którzy nie potrafią udowodnić źródeł pochodzenia swojego ma-

Prowadzący w sondażach na tydzień przed wyborami Wołodymyr Zełenski, Kijów, 6 marca 2019 r.



dów, a na kluczowe tematy ma niewiele do powiedzenia. Przyjął taktykę, aby do pierwszej tury zbyt dużo nie mówić, bo mogłoby to niekorzystnie wpłynąć na jego notowania. Niemal nic nie wiadomo (oficjalnie) o źródłach finansowania jego sztabu wyborczego. Wiązany jest z Ihorom Kołomojskim – jednym z głównych oligarchów, skonfliktowanym z Poroszenką – jednak brak na to twardych dowodów. Przesłanką jest m.in. to, że serial „Sługa narodu” emitowany jest w stacji telewizyjnej należącej do Kołomojskiego.

Mimo wszystkich niedostatków Zełenskigo – i skierowanej wobec niego kampanii negatywnej części mediów sympatyzujących z Poroszenką – znajduje on poparcie zarówno w swoim rodzinnym Krzywym Rogu (rosyjskojęzycznym mieście na południowym wschodzie), jak też w Galicji. Dowodzi to, jak bardzo zmieniło się społeczeństwo w ciągu ostatnich pięciu lat. Do 2014 r. wybory prezydenckie były starciem między kandydatami postrzeganymi jako proeuropejscy albo prorosyjscy. Dzisiaj podział ten przeszedł do historii.

Stąpanie w miejscu

Ale przypadek Zełenskigo jest czymś więcej: symptomem poważnej choroby trwającej Ukrainę. Mamy tu bowiem starcie między dwoma politycznymi dinozaurami walczącymi o przetrwanie oraz politycznym nowicjuszem, który swoją popularność zawdzięcza show-biznesowi.

Jak to możliwe, że pięć lat po demokratycznej rewolucji w wyborach prezydenckich nie ma ani postmajdanowej partii, ani postmajdanowych kandydatów? Co takiego dzieje się z mechanizmami ukraińskiej polityki, że na jej szczytach nie widać nowych postaci? Fenomen Zełenskigo jest przecież konsekwencją „szklanego sufitu”, jaki na swojej drodze napotyka wielu sensownych działaczy politycznych pozostających w drugim czy trzecim szeregu.

Okazuje się, że rewolucja godności sprzed pięciu lat zaszczepiła Ukrainę na ewentualny nawrót wirusa autorytaryzmu, ale nadal nie otworzyła jej drogi do zbudowania stabilnej demokracji z niezależnymi instytucjami państwowymi. ➔

jątku. Werdykt ten jest postrzegany jako obciążający polityczne konto Poroszenki.

Sługa narodu

Niespodziewanie na głównego faworyta do zwycięstwa wyrasta Zełenski, znany satyryk i aktor komediowy. Ten ledwie 41-letni wciąż jeszcze nie-polityk zgłosił swoją kandydaturę w końcu grudnia i od tego czasu poparcie dla niego poszybowało do ok. 26 proc. Swoją popularność zawdzięcza udziałowi w serialu „Sługa

narodu”, najpopularniejszej produkcji w historii ukraińskiej telewizji. Odgrywa w nim rolę niepozornego, ale uczciwego nauczyciela ze zwykłej szkoły, który niespodziewanie zostaje wybrany prezydentem – i w tej nowej funkcji radzi sobie świetnie, reformując państwo i walcząc z oligarchami.

Zełenski chciałby powtórzyć serialową historię w życiu. Trudno jednak uznać, że prowadzi tradycyjną kampanię. Nie ogłosił programu, niechętnie udziela wywia-

SERGEI SUPINSKY / AFP / EAST NEWS

→ Freedom House, który corocznie publikuje raport o stanie demokracji na świecie, uznaje, że na Ukrainie jest ona w lepszej kondycji niż przed rewolucją godności, ale w gorszej niż w 2011 r. – drugim roku prezydentury Wiktora Janukowycza. Największym zaskoczeniem może być jednak fakt, że Ukraina wciąż uznawana jest za kraj „częściowo wolny”.

Ułomności demokracji ukraińskiej może najlepiej widać właśnie na przykładzie tych wyborów. Wśród liczących się kandydatów poza Zełenskim nie ma nowych twarzy, bo nie ma warunków, by mogli się wypromować. Aby liczyć się w walce politycznej, potrzebne są zdrowe reguły gry, pieniądze i dostęp do mediów. Tymczasem „starzy” politycy bardzo dbają, aby nie dopuścić konkurencji do pierwszej ligi.

Ważnym orężem są tu stacje telewizyjne (główne źródło informacji dla 85 proc. wyborców), a te w większości należą do oligarchów – wpływowych, choć pozostających w cieniu uczestników życia politycznego. Petro Poroszenko był w stanie dogadać się z większością najważniejszych z nich, zatem z ekranu płynie zwykle pozytywny lub neutralny przekaz na jego temat.

Stan mediów nad Dnieprem pokazuje ranking World Press Freedom, który daje Ukrainie ledwie 101. pozycję na świecie. Kto by się jednak tym przejmował w sytuacji, gdy dla zwycięstwa niezbędna jest mobilizacja wszystkich sił za każdą cenę?

Wyborczy test

Choć zbliżające się głosowanie będzie ważnym testem dla ukraińskiego systemu politycznego, to trudno mówić, że przez ostatnie pięć lat doszło w nim do głębokich zmian.

Wygrana Poroszenki oznaczałaby kontynuację trendu obserwowanego od 2014 r., z wybiórczymi reformami, które nie mają potencjału zmiany systemu, a wręcz konserwują niektóre jego patologie. Dzisiaj obywatele powszechnie obarczają go winą za niezrealizowane obietnice, a deklarowany stopień nieufności do niego sięga 70 proc. Oznacza to, że bardzo trudno będzie mu wygrać, jeśli w ogóle trafi do drugiej tury. Jego stratedzy (a za nimi niektórzy intelektualiści) próbują wskazywać go jako kandydata „może nie idealnego”, lecz stanowiącego „mniejsze zło” i „gwarantując pewną stabilność”. Może się to jednak okazać nieprzekonu-

Frustracja i złość na „stary” establishment
to główne emocje miotające dziś Ukraińcami. Nie jest więc wykluczone, że zdecydują się na eksperyment, jakim byłaby prezydentura aktora Zełenskiego.

jące dla sfrustrowanych wyborców. Bo frustracja i złość na „stary” establishment to główne emocje miotające dziś Ukraińcami.

W tej sytuacji niewykluczone, że mogą oni zdecydować się na eksperyment, jakim niewątpliwie byłaby prezydentura Zełenskiego. Jeśli do tego dojdzie, będzie to konsekwencją zapotrzebowania na nowe postacie w życiu politycznym. Sondaże wskazują dziś, że Zełenski wygrałby w drugiej turze zarówno z Tymoszenko, jak też z Poroszenką. Jednak gdyby się okazało, że w drugiej turze spotka się z obecnym prezydentem, to w debatach przedwyborczych mógłby poleć w starciu z tym światnym mówcą.

Ale gra toczy się nie tylko o zwycięstwo, lecz także o wynik, który nie zostanie zakwestionowany przez rywali. Testem będzie już pierwsza tura. Gdyby się okazało, że różnica między Poroszenką a Tymoszenko wynosi jedynie 1-2 proc. na niekorzyść tej ostatniej, to prawdopodobnie będzie ona próbowała podważyć uczciwość głosowania i wyprowadzić swoich sympatyków na ulice. Należy pamiętać, że na Ukrainie nie ma zaufania do instytucji państwowych, postrzeganych jako narzędzie w rękach polityków. A w sytuacji braku wiarygodnych arbitrow rozstrzygnięcia takiego sporu może być trudne.

Po stronie Tymoszenko opowiedział się Arsen Awakow, potężny minister spraw wewnętrznych (sprawuje funkcję od pięciu lat). Kilkukrotnie wysłał on jasne sygnały obozowi prezydenckiemu, że będzie uważnie patrzył im na ręce.

Na razie każdy ze sztabów głównych kandydatów na wszelki wypadek przygotowuje się na czarny scenariusz, pamiętając, że o zwycięstwie nie zawsze decyduje dzień głosowania. Biorąc pod uwagę, że

każde z najważniejszych ugrupowań ma wpływy w prężnie rozwijających się strukturach paramilitarnych, sytuacja może być groźna.

Szósty prezydent

Gdy opadnie kurz wyborczy, szósty prezydent niepodległej Ukrainy będzie musiał zmierzyć się z masą problemów stojących przed państwem. Będą one identyczne niezależnie od tego, kto zostanie wybrany. Rzeczywistość szybko zweryfikuje populistyczne obietnice, gdy okaże się, że nie ma możliwości obniżenia ceny gazu (Tymoszenko), kompromisowego porozumienia z Rosją (Zełenski) czy utrzymania hojnie rozdawanych przed wyborami dodatków socjalnych (Poroszenko). Okaże się również, że bez utrzymania współpracy z Międzynarodowym Funduszem Walutowym, która będzie miała swoją cenę, budżet znajdzie się na skraju przepaści. Trzeba też będzie znaleźć porozumienie z oligarchami, w tym z Rinatem Achmetowem (kiedyś „właścicielem” Donbasu), który nadal jest zbyt potężny, aby jakikolwiek prezydent mógł sobie pozwolić na ignorowanie go.

Nie jest też wykluczone, że jeśli Ukraińcy zdecydują się na powierzenie steru rządów Zełenskiemu, może dojść do szybkiej zmiany ustroju. Zdominowany przez jego przeciwników parlament mógłby bowiem tak zmienić konstytucję, by znacząco zmniejszyć prerogatywy prezydenta, czyniąc to stanowisko czysto ceremonialnym poprzez przekazanie całej władzy Radzie Najwyższej. Takie sygnały zaczęły płynąć w ostatnich tygodniach wraz z umacnianiem się poparcia dla Zełenskiego. Jeśli się tak stanie, wówczas o przyszłości kraju na kolejne kilka lat rozstrzygną jesienne wybory parlamentarne.

Choć więc nadchodzące głosowanie niesie wiele znaków zapytania, a intryga pozostanie do końca nierozwiązana, to wiele wskazuje, że nikt z trójki faworytów nie daje gwarancji zmiany obecnego modelu polityczno-gospodarczego. Z drugiej strony – i to jest, paradoksalnie, bardziej optymistyczny wniosek – w najnowszej historii Ukrainy regularnie dochodzi do wydarzeń nieprzewidywalnych.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Autor jest kierownikiem zespołu Ukrainy, Białorusi i Mołdawii w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.



ALEKSEY NIKOLSKYI / SPUTNIK / EAST NEWS

Prezydent Mołdawii Igor Dodon i goście z Rosji, Władimir Putin i Dmitrij Miedwiediew, podczas przyjęcia z okazji 72. rocznicy zakończenia II wojny światowej, Kiszyniów, maj 2017 r.

Pokorne ciele i wielki plan

PIOTR OLEKSY Z KISZYNIOWA

Zawieszony między Rosją i Zachodem, najbiedniejszy kraj Europy długo był własnością politycznego „kartelu”. Dziś lokalni oligarchowie próbują ostatecznie utrwalić ten stan.

OD KIEDY ZOSTAŁ PREZYDENTEM MOŁDAWII w 2016 r., Igor Dodon często lata do Moskwy. Głównym celem wizyt jest zwykle wspólne zdjęcie z Władimirem Putinem i udział w międzynarodowych wydarzeniach organizowanych przez Kreml.

Dodon i popierająca go Partia Socjalistów kreują się bowiem na orędowników „rosyjskiego świata” (*rusского mira*) i bliskich partnerów Moskwy, dzięki czemu przez kilka lat utrzymywali wysokie poparcie społeczne. Mieszkańcy Mołdawii są od lat prawie równo podzieleni – na zwolenników integracji z Rosją i entuzjastów zbliżenia z Zachodem. Dlatego ugrupowania prorosyjskie uzyskują tu zwykle wynik powyżej 40 proc.

Dodon odwiedził Moskwę również przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi, by wysłać sygnał: popierając moją partię, okazujecie wsparcie Putinowi. A ten ostatni jest zdecydowanie najbar-

dziej popularnym politykiem w Mołdawii. Dodonowi udało się nawet załatwić swoistą abolicję dla licznych Mołdawian, którzy przebywają w Rosji nielegalnie. Kremlowi mogło się to wydawać kolejną inwestycją w Dodona.

Jednak tym razem inwestycja nie zwróciła się: socjaliści formalnie wygrali wybory, które odbyły się 24 lutego, ale wprowadzenie tylko 35 deputowanych do 101-osobowego parlamentu to dla tej partii porażka.

Prezydent pociera nos

Do Rosji Dodon udał się również krótko po wyborach. Wizyta była o tyle nietypowa, że nie towarzyszyły jej obszerne relacje w mediach i na portalach społecznościowych. Andrei Popov, znany mołdawski analityk i komentator, z rozbawieniem pokazał mi fragment wywiadu telewizyjnego, w którym prezydent zapowiadał ten

wyjazd. Najpierw pewny siebie mówił, że wynik wyborów w zasadzie go nie dotyczy, bo przecież jako prezydent jest apolitycznym arbitrem. Za chwilę jednak spuścił z tonu, zmieszał się i zaczął mówić, że musi spędzić więcej czasu z rodziną, dlatego wkrótce poleci z synami do Rosji. Tylko jeszcze nie wie, gdzie: do Moskwy czy Soczi.

– Patrz, jak nerwowo pociera nos – mówił Popov, gdy prezydent tłumaczył, że synowie zajmują się sportem: jeden piłką wodną, a drugi „siatkówką... chyba...”, dlatego chcą tam lecieć. – Nie wiadomo tylko, kiedy i gdzie – śmiał się Popov, po czym skwitował: – Te wybory są początkiem rychłego końca Dodona i Partii Socjalistów.

Dodon poleciał z Kiszyniowa do Rosji już następnego dnia po tym wywiadzie. Plotki głoszą, że celem było nie tyle tłumaczenie się ze słabego wyniku wyborczego, co przekonywanie Putina, że tak naprawdę nic nie jest stracone. Wystarczy, by Moskwa dała mu zielone światło na wprowadzenie Wielkiego Planu dla Mołdawii, który wstępnie zapowiedział w lutym, na międzynarodowej konferencji ds. bezpieczeństwa w Monachium.

Plan zakłada reintegrację Naddniestrza (dziś to parapaństwo, kontrolowane przez Rosję), koniec podziałów tożsamościowych w społeczeństwie oraz trwałe umocowanie kraju między Rosją i Zachodem.

Ale jest zasadniczy problem: aby zrealizować ów ambitny plan, Dodon musi ➔

→ wejść w otwarty sojusz z Władem Plahotniucem – najważniejszym oligarchą i przewodniczącym rządzącej Partii Demokratycznej, którego obóz kreował się do niedawna na zdecydowanie prozachodni i antyrosyjski (zawłaszczając przy tym państwo i nic nie robiąc sobie z reguł demokracji). Takiemu rozwiązaniu Moskwa mówi jednak zdecydowane „nie”.

„Kartel” trzymający władzę

O tym, że prorosyjski prezydent i prozachodni oligarcha współpracują, będąc tak naprawdę członkami tego samego politycznego „kartelu”, który utrzymuje władzę dzięki podsycaniu tożsamościowego rozdarcia kraju, mówi się od lat.

Ten pierwszy sięgnął po stanowisko głowy państwa dzięki politycznym manipulacjom tego drugiego. Potem odwodził się, podpisując najważniejsze dla obozu rządzącego ustawy. Aby zachować twarz, czasem odmawiał podpisania nominacji dla ministrów. Nie protestował jednak specjalnie, gdy podporządkowany Plahotniucowi Sąd Konstytucyjny zdecydował, iż w takich sytuacjach można go czasowo zawiesić w obowiązkach, a podpis mogą złożyć przewodniczący parlamentu lub premier (taka sytuacja miała miejsce w ostatnich trzech latach kilkakrotnie). Z kolei w maju 2017 r. partie obu panów wspólnie wprowadziły mieszany system wyborczy: 51 deputowanych wybieranych w okręgach jednomandatowych, a 50 w wyborach proporcjonalnych. Inicjatywa formalnie wyszła od socjalistów, ale głównym beneficjentem stała się Partia Demokratyczna.

Dzięki temu Plahotniuc wprowadził teraz do parlamentu aż 35 deputowanych. Jeszcze kilka miesięcy temu sondaże nie dawały jego partii więcej niż kilka procent poparcia. Przed wyborami trochę skoczyło, ale tak dobry wynik jest głównie zasługą odpowiedniego zaprojektowania okręgów jednomandatowych.

Partia od dłuższego czasu pracowała, by metodą kija i marchewki przeciągnąć na swoją stronę lokalnych liderów: wójtów, burmistrzów, członków władz rejonowych, znanych przedsiębiorców. Marchewką były pieniądze i perspektywy intratnych stanowisk, kijem kontakty z kontrolowanym przez Plahotniuca wymiarem sprawiedliwości. Naciskano też na pracowników budżetówki, grożąc, że konkretne miejscowości będą rozliczane z odpowiedniego wyniku. Na mołdaw-

Deklarując neutralność i wcielając Naddniestrze – z jego infiltrowanymi przez Rosjan służbami i prorosyjskim elektoratem – **Mołdawia zamknęłaby sobie drogę do integracji z Zachodem.**

skiej prowincji urzędy i szkoły są często głównymi pracodawcami, stąd naciski okazywały się skuteczne.

Do sukcesu przyczynili się też wyborcy z Naddniestrza, zwożeni masowo autobusami do punktów wyborczych w Mołdawii, którzy nie głosowali wcale na prorosyjskich socjalistów, lecz właśnie na kandydatów związanych z Plahotniucem. To efekt jego skutecznej współpracy z oligarchami, którzy rządzą w separatystycznym parapaństwie.

Do polityki zamiast do więzienia

Trzecią siłą w parlamencie, liczącą 26 deputowanych, stał się blok ACUM (Teraz), będący koalicją dwóch opozycyjnych ugrupowań o charakterze proeuropejskim i obywatelskim. Czwarte w kolejce ugrupowanie, populistyczna Partia Șor, kierowana przez milionera Ilana Șora – był głównym oskarżonym w aferze z kradzieżą miliarda dolarów z systemu bankowego – ma siedmiu deputowanych. Gdy będzie trzeba, na pewno wesprą Plahotniuca. Taki był sens powstania tej partii i dlatego właśnie Ilan Șor zajmuje się polityką, zamiast siedzieć w więzieniu.

Popularność zdobył dzięki rozdawnictwu na dużą skalę. Na organizowanych przez niego imprezach można było dostać paczki z żywnością – ludzie doprowadzeni do skrajnej biedy wręcz się na nie rzucali. Șor otworzył też w całym kraju sieć sklepów socjalnych, w których podstawowe produkty można było kupić w bardzo korzystnej cenie.

Sklepy były jednak tylko częścią większego systemu. Opowiadała mi o tym Swietłana, która opiekuje się dziećmi w rodzinie znajomych. – Aby zrobić zakupy w sklepie, musiałam założyć specjalną kartę i podać swoje dane. Od tego

czasu dzwonili do mnie przynajmniej raz dziennie: zapraszamy panią na specjalny koncert, dziś zapraszamy na darmowe degustacje i tak w kółko – wzdycha. Dla Swietłany było to męczące, jednak wielu biednych i starszych ludzi poczuło, że w końcu ktoś się nimi zainteresował.

Trzeba przyznać, że był to niebywały cynizm: oligarchowie stworzyli projekt polityczny dzięki skrajnej biedzie ludzi, na których przez lata bezlitośnie żerowali. Cel osiągnęli: Partia Șor weszła do parlamentu, odbierając kilka procent Partii Socjalistów.

W parlamencie znalazło się jeszcze trzech niezależnych deputowanych; dwóch z nich na pewno jest ludźmi Plahotniuca. W efekcie prezydent może liczyć na siłę 35 głosów, a oligarcha 39. Co gorsze jednak, Dodon nie może być pewien lojalności swoich ludzi. Nie tylko on był na tyle cwany, by zakulisowo współpracować z (oficjalnymi) przeciwnikami. Mówi się, że przynajmniej kilkunastu prominentnych działaczy Partii Socjalistów to tzw. stypendyści Plahotniuca. Gdy będzie trzeba, opuszczają partię, aby wspomóc sponsora.

Gry, opcje, sojusze

W momencie kończenia prac nad tym artykułem w Mołdawii wciąż trwały rozmowy o przyszłej koalicji. Plahotniuc i jego Partia Demokratyczna są w komfortowej sytuacji. Przede wszystkim: w okresie przejściowym krajem administruje poprzedni rząd. Poza tym w ostatnich miesiącach obóz Plahotniuca obstawił zaufanymi ludźmi najważniejsze instytucje państwowe, szczególnie o charakterze regulacyjnym i gospodarczym. W połączeniu z kontrolą nad wymiarem sprawiedliwości pozwala to rządzić krajem nawet bez parlamentarnej większości.

Mają więc czas na polityczne rozgrywki i cały wachlarz możliwości. Zaraz po wyborach zaproponowali koalicję ACUM, chcąc im oddać nawet fotel premiera. Jasne było, że propozycja zostanie odrzucona – partie tworzące ACUM powstały po to, by odsunąć oligarchów od władzy. Z tej samej przyczyny nie dopuszczają myśli o współpracy z socjalistami. Niestety, ACUM jest osamotnione na scenie politycznej; część elity krytykuje ACUM za brak elastyczności. Mówi się też o naciśkach z Rumunii i USA na ACUM, by utworzyła antyrosyjską koalicję z Partią Demokratyczną. W tej sytuacji w szeregach ACUM rośnie frustracja i poja-

wiają się podziały. Dwa ugrupowania tworzące ten blok zapewne utworzą odrębne kluby parlamentarne.

Kolejne opcje, jakimi dysponuje Plahotniuc, to zbudowanie większości przez wyciągnięcie „stypendystów” lub przedłużanie rozmów koalicyjnych i doprowadzenie do przyspieszonych wyborów. Mogłyby się odbyć w lipcu, wspólnie z wyborami samorządowymi, co prawdopodobnie dałoby Partii Demokratycznej i Șorowi jeszcze lepszy wynik.

Kolejną możliwością jest sojusz z socjalistami. Nie musi być to formalna koalicja. Zarówno elektorat, jak i Zachód chętniej przełknęliby utworzenie „rządu eksperckiego”, mającego poparcie dwóch największych frakcji. O takim rozwiązaniu mówiło się w Mołdawii już dawno. Demokraci i socjaliści jesienią zaczęli uderzać w podobne tony: należy odejść od geopolityki i skupić się na problemach Mołdawian; władza nie powinna mieć charakteru prozachodniego lub prorosyjskiego, lecz po prostu promoldawski.

Wielki Plan na rękę Rosji

Na tym ostatnim rozwiązaniu najbardziej zależy Dodonowi, gdyż pozwala mu zachować twarz. Rozłam w Partii Socjalistów byłby dla niego kompromitujący, a przyspieszone wybory groziłyby jeszcze gorszym rezultatem. Dlatego prezydent promuje teraz swój Wielki Plan. Powstanie „promoldawskiego” rządu przedstawiałby nie jako poddanie się dyktatowi Plahotniuca, lecz jako okoliczność umożliwiającą realizację Planu.

Teoretycznie ma on wyrwać Mołdawię z geopolitycznego klinczu. Po pierwsze – argumentuje Dodon – Kiszyniów musi odejść od postrzegania swego miejsca

w świecie przez pryzmat współpracy z Rosją lub Zachodem. Zamiast owego „lub”, Dodon proponuje strategię „dwa razy i”, czyli: i z Rosją, i z Zachodem. Po drugie, należy wypracować model uregulowania statusu Naddniestrza w ramach wspólnego państwa, tworząc przy tym mechanizm gwarancji międzynarodowych oraz Fundusz Pokonfliktowego Rozwoju Mołdawii. Po trzecie: neutralność państwa powinna zostać uznana i zagwarantowana przez wspólnotę międzynarodową. Czas na realizację planu przewidziano do 2022 r.

Pomysły Dodona są korzystne dla Rosji. Wcielając Naddniestrze (na zasadach federacji lub szerokiej autonomii), Mołdawia przyjąłaby też tamtejsze służby, zinfiltrowane przez FSB i GRU, oraz 350 tys. zdyscyplinowanych prorosyjskich wyborców. Plan słowem nie wspomina o wycofaniu z Naddniestrza rosyjskich żołnierzy, którzy tam stacjonują.

Wszystko to – włącznie z międzynarodowym potwierdzeniem neutralności – uniemożliwi integrację Mołdawii ze strukturami zachodnimi (zwłaszcza NATO). Z drugiej strony zgoda na ten plan będzie oznaczać też ostateczne oddanie Mołdawii i Naddniestrza w ręce lokalnych oligarchów, których Moskwie coraz trudniej kontrolować. Są też kwestie wizerunkowe: rozwiązanie wieloletniego konfliktu powinno być efektem planu Kremla, a nie jakiegosć Dodona. Ponadto widać, że Moskwa żywi tajemniczą, lecz szczerą niechęć do Plahotniuca.

Pokorne cielę musi wybrać

Igor Dodon jest w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Jeśli Rosja nie da się przekonać, wtedy pokorne cielę – jakim był dotąd mołdawski prezydent – będzie musiało

wybrać jedną z dwóch matek. Postawienie na oligarchę Plahotniuca będzie oznaczać konflikt z Kremlem, a w tej sytuacji Dodon i socjaliści stracą swych wyborców (zapewne na rzecz nowej prorosyjskiej siły). Z kolei postawienie na Moskwę może grozić rozbiem partii, co też będzie oznaczać polityczny koniec Dodona. Próba przeciwstawienia się Plahotniucowi, np. przez wprowadzenie ludzi na ulicę przy wsparciu Rosji, byłaby ryzykowna.

Alexei Tulbure, były ambasador Mołdawii przy ONZ i Radzie Europy, stawia sprawę jasno: „Dodon walczy przede wszystkim o to, aby za jakiś czas nie znaleźć się w więzieniu”. Mówi się, że oligarcha – znany z mściwości – trzyma Dodona w szachu dzięki potężnym hakom. Parę lat temu rywalem Plahotniuca w walce o wpływy był Vlad Filat. Ten był premier do dziś siedzi w więzieniu i prędko go nie opuści. W przypadku konfliktu z Plahotniucem Dodon i jego najbliżsi musieliby zapewne opuścić Mołdawię.

Chyba że Rosja da zielone światło dla choćby nieformalnej koalicji Plahotniuc-Dodon. Wtedy prezydent odetchnie. Kwestia reintegracji Naddniestrza za jakiś czas zapewne rozmyje się w złożonej grze mniejszych i większych interesów. Mołdawia faktycznie zawisnie między Rosją i Zachodem, a rządzący nią kartel będzie nie do ruszenia przez długie lata.

Wówczas Dodon będzie mógł latać do Moskwy, by grać się w blasku Putina. Widać, że nie tylko bardzo to lubi, ale wręcz uczynił z tego sedno swojej polityki.

© PIOTR OLEKSY

Autor jest historykiem, pracuje w Instytucie Wschodnim UAM. Autor książki „Naddniestrze. Terror tożsamości” (Czarne, 2018).

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy
na
„Lekcje
czytania”



MILÓWKA O BARAŃCZAKU I HERBERCIE

W czwartek 11 kwietnia WOJCIECH BONOWICZ
spotka się z licealistami w Milówce.

Tematem rozmowy będzie wybór wierszy Stanisława Barańczaka i Zbigniewa Herberta.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na  / LekcjeCzytania





JORGE SILVA / REUTERS / FORUM

Premier Nowej Zelandii Jacinda Ardern na modlitwach przed meczetem Al-Noor w Christchurch, 22 marca 2019 r.

Ardern na złe dni

LIDIA E. KELLY Z MELBOURNE

Do tej pory popularność premier Nowej Zelandii tłumaczono „efektem nowości”. Jej reakcja na atak w Christchurch dowiodła jednak, że w polityce wartościami mogą być też empatia i wrażliwość.

KIEDY W PAŹDZIERNIKU 2017 r., po krótkiej, lecz widowiskowej kampanii wyborczej przebiegającej pod hasłem „nieustępliwej pozytywności”, 37-letnia wówczas Jacinda Ardern została premierem Nowej Zelandii, nie ukrywała przed rodakami, że czekają ich zarówno „dobre, jak i złe dni”.

Przez 17 miesięcy, z rekordowym poparciem oraz przekraczającą granice kraju fascynacją jej charyzmą i nowoczesnym stylem uprawiania polityki, Ardern rządziła państwem, które według ogłoszonego właśnie raportu ONZ jest ósmym z najszcześniejszych na świecie.

Ale teraz nadeszły złe dni.

Smutna z wszystkimi

15 marca zamachowiec, biały suprematysta przyznający się do fascynacji skrajnym nacjonalizmem, zastrzelił pięćdziesię-

cioro i ranił dziesiątki innych muzułmanów modlących się w dwóch meczetach w Christchurch. Tuż po ataku Ardern powiedziała, że ten akt terroryzmu nastąpił nie dlatego, że Nowa Zelandia była przystanią dla nienawiści, tylko dlatego, że „prezentujemy różnorodność, uprzejmość, współczucie, dom dla tych, którzy podziwiają nasze wartości, schronienie dla tych, którzy tego potrzebują”.

Wkrótce świat obiegły zdjęcia pograżonej w smutku Ardern – ubranej na czarno i noszącej hidżab na znak solidarności z ofiarami, ich bliskimi i całą wspólnotą muzułmańską. W pięciomilionowej Nowej Zelandii muzułmanie stanowią ok. 1 proc. ludności (45 proc. obywateli uważa się za chrześcijan).

– Ma w sobie coś takiego, że kiedy ją spotykasz, nie możesz być obojętny. Kiedy patrzy na ciebie, to patrzy w cie-

bie, jakby zaglądała do duszy – mówi o Ardern Colin James, weteran dziennikarstwa politycznego w Nowej Zelandii, który zna obecną premier od 2008 r. – Nieznajomi ludzie czują się komfortowo w jej obecności. Większość polityków nie potrafi wytworzyć takiej atmosfery – dodaje.

Anty-Trump z antypodów

Ardern stała się rozpoznawalna w lipcu 2017 r., siedem tygodni przed wyborami parlamentarnymi, kiedy przewodniczący opozycyjnej Partii Pracy (NZLP) Andrew Little niespodziewanie zrezygnował z powodu rekordowo niskiego poziomu poparcia dla partii – jej notowania nie przekraczały wówczas 24 proc. Little wskazał na swoją następczynię Ardern, która wprawdzie zasiadała w parlamencie od 2008 r., nie była jednak znana ani z udziału w głośnych debatach, ani z własnych pomysłów politycznych.

Miała jednak inne atuty: młodość i łatwość w nawiązywaniu kontaktów. Zadziałał efekt nowości – ten sam, który w Kanadzie pomógł objąć władzę Justinowi Trudeau, a we Francji Emmanuelowi Macronowi. Ich dojście do władzy było częściowo efektem frustracji po kryzysie finansowym lat 2007-08 oraz fali utraty zaufania wobec „zasiedziałych” elit politycznych i *status quo*.

Ale sam efekt nowości to mało – bez wrodzonego zacięcia i determinacji Ja-

cinda Ardern nie zdołałaby wygrać i znaleźć się w centrum medialnego szumu, szybko nazwanego „Jacindamanią”. W rok po wyborach (w których jej partia zyskała 37 proc. głosów, w wyniku czego w koalicji z Partią Zielonych i populistyczną NZ First rządzi krajem) Ardern tak opisywała swoją kampanię: „Moi koledzy byli napędzani nadzieją na to, kim moglibyśmy być, a nie frustracją z powodu tego, kim nie byliśmy. Nadszedł czas, aby skupić się na tym optymizmie, który wprowadził nas w politykę, i chciałam to zrobić z »nieustępliwą pozytywnością«”.

Ardern stanęła na czele rządu jako trzecia kobieta w historii Nowej Zelandii i jako najmłodsza premier na świecie. A świat zaczął się jej przyglądać.

W lipcu 2018 r. urodziła dziecko będąc premierem, zaś w trzy miesiące później zabrała córeczkę na sesję ONZ do Nowego Jorku. W wywiadzie dla CNN powiedziała, iż chciała w ten sposób pokazać, że jest to coś „normalnego” i „otworzyć drogę innym kobietom”.

Magazyn „Vogue” nazwał ją „anty-Trumpem”. Ardern nie stroniła od mediów wspominając, że lubi się czasem napić whisky lub że podczas ciąży ubierała się w ciucholandach. Z jednej strony stała się ulubienicą tzw. postępowej lewicy, z drugiej krytykowano ją za to, że reprezentuje styl, a nie wartości. Latem 2018 r. w wywiadzie dla „New York Timesa” mówiła: „Możesz być pragmatyczny i rozwijając gospodarkę oraz poprawiać dobrobyt i robić wszystko, czego się oczekuje od rządów – ale rób to z odrobiną serca”.

Z domu mormonów

Już w dniu ataku w Christchurch, mieście doświadczanym często przez tragiczne trzęsienia ziemi, Ardern próbowała uspokoić rodaków – dotąd Nowozelandczycy nie znali terroryzmu jako formy przemocy. 15 marca był przełomem.

„Nie ma na to miejsca w Nowej Zelandii” – napisała na Twitterze. I dalej: „Wielu dotkniętych tym problemem stanie się częścią naszej społeczności imigrantów. Nowa Zelandia jest ich domem – oni są nami”. Ogłosiła też, że koszty pogrzebów ofiar, niezależnie od ich statusu imigracyjnego, pokryje państwo. W odpowiedzi na pytanie Donalda Trumpa, jak Stany Zjednoczone mogą wesprzeć Nową Zelandię, powiedziała: „Przez współczucie i miłość dla wszystkich wspólnot muzułmańskich”.

To właśnie jej „włączający” język, współczucie, ale i zobowiązanie dotyczące zmiany prawa o dostępie do broni oraz krytyka mediów społecznościowych, za pośrednictwem których morderca transmitował atak, uwiarygodniły jej pozycję silnej przywódczyni. I zmniejszyły obawy tych, którzy obawiali się jej braku doświadczenia i statusu celebrytki. Australijskie media nazwały ją „prawdopodobnie najbardziej cenionym obecnie politykiem na świecie”.

– To nie jest miękka empatia, źródłem jej postawy jest wewnętrzna siła – mówi Colin James. Jego zdaniem moralny kręgosłup Ardern zawdzięcza religijnemu wychowaniu.

Sama premier często powtarza, że jej dzieciństwo (wychowała się w rodzinie mormonów) nie wyróżniało się niczym szczególnym. W 2005 r. opuściła Kościół, nie zgadzając się z traktowaniem przezeń związków tej samej płci. Teraz określa siebie jako agnostyczkę. Żyje w związku partnerskim z prezydentem telewizyjnym Clarkiem Gayfordem, ojcem jej córki, który zajmuje się dziewczynką.

– To nie jest trzpiotka. Potrafi być zdecydowana i stanowcza. A jednocześnie może pozować do kobiecego magazynu i wyglądać uroczo – mówi James.

Judith Collins, członkini opozycyjnej Nowozelandzkiej Partii Narodowej (National) i krytyczka premier Ardern oceniła, że reakcja premier na wydarzenia w Christchurch była „niesamowita”.

Bryce Edwards, komentator polityczny z Uniwersytetu Victoria w Wellington, dodaje: – Nie wydaje mi się, żeby w ostatnich dniach popełniła jakieś błędy. Myślę, że Nowa Zelandia jest dumna ze sposobu, w jaki poradziła sobie z kryzysem.

Edwards zwraca jednak uwagę, że choć jej empatia jest szczerą, Ardern działa taktycznie. – Zarówno ona, jak i rząd są świadomi faktu, że istnieje możliwość odwetu ze strony islamskich fundamentalistów. Myślę, że czują potrzebę podkreślenia, iż Nowa Zelandia jest po stronie muzułmańskich ofiar i ich rodzin – mówi.

Pożegnanie z bronią

W miniony czwartek nowozelandzki rząd wprowadził ustawę zakazującą sprzedaży broni półautomatycznej i karabinów szturmowych. Według raportu z 2018 r., przygotowanego przez szwajcarskie centrum analizy Small Arms Survey, w Nowej Zelandii na 100 mieszkańców przy-

pada średnio 26,3 sztuk cywilnej broni palnej, co plasuje kraj na 17. miejscu w świecie (na szczycie rankingu są Stany Zjednoczone).

Pomimo powszechności broni ustawa nie napotkała większego sprzeciwu. Nowa Zelandia miała do tej pory jedną z najłagodniejszych regulacji w całym regionie – np. w Australii zakaz sprzedaży broni półautomatycznej funkcjonuje od 1996 r. Nawet najważniejsze lobby farmerskie, Farmers United, główny przeciwnik reform, poparło ustawę w kilka godzin po jej ogłoszeniu, mówiąc, iż nowe przepisy „nie będą popularne”, ale są konieczne.

Według obecnych prognoz Partia Pracy może być pewna zwycięstwa w wyborach za 18 miesięcy. Obserwatorzy wskazują jednak, że Ardern, która zawsze wie, co powiedzieć ludziom na ulicy, nie do końca ma zdolności zarządzania zespołem, o czym świadczy kilka skandali ministerialnych. Premier jest też krytykowana za słabe rozeznanie w sprawach gospodarczych – przykładem jest gorąco dyskutowana reforma podatkowa i niski wskaźnik zaufania biznesowego. Program dostępu do mieszkań KiwiBuild okazał się fiaskiem, a obietnice Ardern tzw. rządu transformacyjnego, opierającego się na szeroko rozumianej ekonomii dobrobytu, dopiero mają się ziścić.

Colin James: – Nie wiem, w jakim stopniu jej porażka w politycznym zarządzaniu wynika ze złożoności obecnej koalicji rządowej, a w jakim jest po prostu jej porażką. Myślę, że po trosze i to, i to.

Komentatorzy zwracają uwagę na to, że choć Ardern jest lewicowa, otwarta na przyjmowanie uchodźców i wspomina dużo o równouprawnieniu, nie do końca jest jasne, co tak naprawdę reprezentuje. – Czy to dlatego, że jest otwarta? Nie afizjuje się ideologicznie? To jedna z możliwości. A może dlatego, że jest ostrożna i nie chce zająć stanowiska? – mówi „Tygodnikowi” Bryce Edwards.

– Czy jest przyszłością liberalnej demokracji? – pyta, śmiejąc się, Colin James. – Ma to coś, co przemawia ponad granicami. W jakimś sensie jest to młoda wersja socjaldemokracji, która popadła w ruinę w świecie demokracji. ©

LIDIA E. KELLY jest dziennikarką związaną z Agencją Reutera. Obecnie mieszka w Australii, wcześniej pracowała m.in. jako korespondentka w Moskwie.

Nie zastanawialiśmy się, czym jest pokój

PAWEŁ PIENIAŻEK Z KABULU

Przez 40 lat wyrosły dwa pokolenia Afgańczyków, którzy nie znają innego stanu niż wojna. Co zrobią, jeśli się skończy? Trudno im to sobie wyobrazić.

ZEGAREK DZIAŁA, CHOĆ JEST POHARATANY. I nie ma połowy metalowego paska. Na wyświetlaczu casio wciąż upływają sekundy, mimo że właściciel już od dawna z niego nie korzysta.

Zegarek – to jeden z przedmiotów w dużej szklanej gablocie. Leżą jeden na drugim, tworząc stertę z ubrań, plecaków, butelek, butów, grzebieni i innych przedmiotów. Należą do ofiar jednego z wielu zamachów samobójczych, do którego doszło w Kabulu w 2018 r.

To ekspozycja nowo otwartego Afgańskiego Centrum Pamięci i Dialogu. „W pewnym sensie Afganistan cierpi z powodu podwójnej katastrofy. Pierwszą jest strata setek tysięcy istnień ludzkich, któreabrały wojna i przemoc. Druga natomiast to usunięcie ofiar z afgańskiej kolektywnej pamięci” – można przeczytać na jednej z plansz. Centrum powstało po to, aby przywrócić pamięć o ofiarach, a przez to zastanowić się nad trudną przeszłością kraju.

36-letni Salim Radżabi jest współzałożycielem Afgańskiej Organizacji na rzecz Praw Człowieka i Demokracji, która otworzyła tę wystawę. Na co dzień zajmuje się traumą wojny i historią kraju. Wydaje się, że ona bardziej pochłania go niż to, co może przynieść przyszłość.

Spotykamy się, gdy w Kabulu panuje mróz i sypie śnieg. Górzysty kraj, pełen dolin i dalekiej od ideału infrastruktury, w taką pogodę szybko staje się nieprzejezdny. Pytam Radżabiego, co chciałby zrobić, gdy nastanie pokój.

Ciągle uśmiechnięty, rozgadany i pełen ekspresji mężczyzna nie rozumie pytania, a potem jest lekko zmieszany.

– Mam wiele pięknych miejsc w Afganistanie. Pojechałbym do Nanganharu, bo teraz jest piękna pogoda, nie to, co w Ka-

bulu – mówi nareszcie. – Pojechałbym do Helmandu, by pracować z moimi przyjaciółmi. Teraz nie mogę tego zrobić, bo to niebezpieczne.

Konflikty trwają już tak długo, że ludzie zapomnieli, jak może wyglądać pokój.

Gablota jest wciąż pusta

Po wystawie Radżabi oprowadza mnie wraz z 39-letnim Hadim Marifatem, dyrektorem organizacji. Obaj tworzyli Centrum i przez lata spotykali się z rodzinami ofiar. Prowadzili z nimi warsztaty, namawiali do tworzenia „skrzyń pamięci”, do których wkładali przedmioty związane z tymi, którzy zginęli.

Po ośmiu latach udało im się zebrać ponad 4 tys. osobistych przedmiotów i historii, które zostały zamknięte w ponad stu skrzyniach. Mają 8,5 tys. zdjęć i imion osób, które straciły życie w ciągu ostatnich 40 lat niemal bez przerwy następujących po sobie wojen.

Wszystkie zdobyte przedmioty i materiały to nic w porównaniu do liczby ofiar. Szacuje się, że w latach 1979–2001 zginęły ponad 2 mln cywilów. Na ten okres przypadła inwazja sowiecka, wojna domowa i rządy talibów. W 2001 r. Amerykanie i ich sojusznicy zaatakowali Afganistan, obalili wspierających Al-Kaidę talibów, zamontowali przyjazny im rząd i rozpoczęli trwającą do tej pory, najdłuższą w historii USA wojnę. Od 2009 r., gdy ONZ zaczął prowadzić szczegółowe statystyki, ranoiono lub zabito ponad 70 tys. cywilów.

Kolejne gabloty reprezentują upływające lata konfliktu. Ostatnia jest pusta.

– Ona reprezentuje nadzieję, że wreszcie konflikt się skończy – mówi Marifat.

Nadzieja jest jednak płonna, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Według ONZ, rok 2018 przyniósł największe straty

wśród ludności cywilnej w ciągu ostatniej dekady. Zginęły 3804 osoby (w tym 927 dzieci), a 7189 raniono. Walki zaostrzają trwające rozmowy pokojowe między talibami a USA w stolicy Kataru. Talibowie, podobnie jak afgański rząd i jego zachodni sojusznicy, chcą mieć jak najmocniejszą pozycję przy ustalaniu porozumienia, na którego ostateczny kształt przyjdzie jeszcze poczekać. Tylko w pierwszym tygodniu marca zginęło przynajmniej 119 członków sił rządowych i 26 cywilów.

Dlatego skrzynia wkrótce wypełni się przedmiotami kolejnych ofiar długiej afgańskiej wojny.

Teatr Uciśnionych

Trudno uwierzyć, że po tych wszystkich latach konflikt może się skończyć. Tym trudniej wyobrazić sobie, jak może wyglądać pokój. W 35-milionowym dziś kraju tragedie dotknęły chyba każdą rodzinę.

Dotyczy to także rodzin Marifata i Radżabiego, które uciekły przed wojną i nędzą do Pakistanu. Obaj byli jeszcze dziećmi i w sąsiednim kraju spędzili po kilkanaście lat. Mimo to postanowili wrócić i zrobić coś na rzecz ojczyzny, z którą czuli się związani.

Pracowali dla różnych organizacji humanitarnych, ale wciąż szukali innych sposobów na zaangażowanie. W 2009 r. założyli Afgańską Organizację na rzecz Praw Człowieka i Demokracji. Od początku prowadzili działania głównie skierowane do osób, które uciekły na skutek wojny. – Nie można zmienić tych, którzy uciśkają, ale można zmienić uciśnionych – wyjaśnia Radżabi.

Mężczyzna był zaangażowany przede wszystkim w warsztaty teatralne. Inspirował się brazylijskim reżyserem i dramaturgiem Augusto Boalem, który stworzył Teatr Uciśnionych. Zacierał on granicę między aktorem i widzem, który wkraczał na scenę i z niej proponował rozwiązania dla problemów społecznych.

Radżabiemu wydało się to genialnym pomysłem, bo w Afganistanie tylko dwóch na pięciu mieszkańców potrafi czytać i pisać. Teatr dawał szansę ekspresji każdemu. Inną metodą, która pomogła przełamać barierę stworzoną przez analfabetyzm, były rysunki. To właśnie poprzez nie swoje emocje wyrażali bliscy ofiar, biorący udziału w projekcie „skrzyń pamięci”.

W ciągu 10 lat Radżabi przeprowadził setki warsztatów i odbył jeszcze więcej



Hadi Marifat przy gablocie z przedmiotami osób, które zginęły podczas jednego z wielu zamachów, do których doszło w Kabulu w 2018 roku.

spotkań. Zapraszał na nie przedstawicieli różnych grup etnicznych zamieszkujących Afganistan, przede wszystkim Pasztunów, Tadżyków, Hazarów i Uzbeków. Uważa, że większość problemów w kraju bierze się z tego, iż ludzie postrzegają innych w niewłaściwy sposób. Idealizują swoją wspólnotę etniczną, jednocześnie demonizując wszystkie pozostałe.

Relacjonuje jedno z pierwszych spotkań, które prowadził. – Przyprowadziłem na nie członków różnych grup etnicznych. Na początku, gdy mówili o przeszłości, wszyscy się wzajemnie obwiniali – wspomina. – Dopiero w trakcie trzeciego

dnia rozmów zebrani zaczęli dostrzegać, że mierzą się z podobnymi problemami. Ofiara jest ofiarą, mamy te same uczucia, ten sam ból.

Radzabi uważa, że gdy ludzie zaczynają to dostrzegać i poznają się wzajemnie, większość problemów znika.

Iść z chłopakiem za rękę

Mimo walk, samobójczych zamachów i ciągłych dramatów ludzkich, perspektywa pokoju od dawna nie była tak bliska jak dziś.

Na przełomie lutego i marca talibowie negocjowali z Amerykanami przez ponad

dwa tygodnie. To była piąta i jak dotąd najdłuższa runda rozmów. W jej rezultacie powstała wersja robocza porozumienia, skupiająca się na czterech punktach: gwarancji, że Afganistan nie będzie siedliskiem organizacji terrorystycznych, wycofaniu zagranicznych wojsk, rozpoczęciu dialogu między rządem a talibami oraz całkowitym zawieszeniu broni.

23-letnia dziennikarka Masuma Bahar jest pewna siebie i ze wszystkich, z którymi rozmawiałem o przyszłości, miała najwięcej do powiedzenia. Jak większość Afgańczyków, patrzy na trwające rozmowy z nadzieją, ale też obawą. Uważa, że nareszcie dzięki nim zapanuje prawdziwy pokój. – Wszyscy ludzie tego chcą, to tylko kwestia czasu – mówi.

Jej obawa wiąże się z tym, że być może strona rządowa i jej sojusznicy będą gotowi oddać zbyt wiele, by osiągnąć pokój, przez co stracą przede wszystkim kobiety i mniejszości.

Jeśli jednak rozmowy pokojowe się powiodą i zapanowałby pokój, to Bahar ma różne pomysły, co może zrobić. Jako dziennikarka chciałaby zjeździć cały swój kraj, każdą prowincję. – Chcę usłyszeć głos moich ludzi, z czym się zmagają i jak żyją – mówi.

Jak na razie, takie podróżowanie jest niebezpieczne, szczególnie dla samotnej kobiety, bo według konserwatywnych Afgańczyków, a przede wszystkim talibów, miejsce kobiet jest w domu. Kobieta powinna unikać miejsc publicznych jak ognia, w ostateczności zjawiać się w nich w towarzystwie męża lub męskich krewnych.

Za pięć, dziesięć lat Bahar chciałaby zmienić zawód i zostać deputowaną do parlamentu. To dlatego, że – jak mówi – kocha swój kraj, a gdy będzie cicho i spokojnie, Afganistan nareszcie będzie mógł stać się taki jak inne państwa na świecie, gdzie kobiety są traktowane na równi z mężczyznami, mogą studiować i pracować bez przeszkód. Choć kobiety mają zagwarantowane kwoty w parlamencie (wynoszące ponad 20 proc.), Bahar chciałaby je zmienić tak, by przedstawiciele obu płci mieli tyle samo stanowisk do objęcia.

– Jeśli będzie niebezpiecznie, będzie trwała wojna i nie ustaną ataki samobójcze, nie osiągniemy naszych celów. Tylko wtedy, gdy zapanuje pokój, będziemy mogli robić dobre rzeczy – twierdzi.

Bahar nie tylko myśli o karierze. Ma też marzenie, które chciałaby zrealizować, gdy w Afganistanie nareszcie ucichną strzały ➔

→ i nastanie swoboda. Chciałaby wyjść na ulicę ze swoim chłopakiem, który będzie jej prawdziwą miłością, a nie człowiekiem wybranym odgórnie przez rodzinę. Szliby razem, blisko siebie, trzymali się za ręce i nie musieli niczym się przejmować ani znosić gromiących spojrzeń.

50 procent szans na powodzenie

19-letniego Muhammada Foladiego z Bazaru łączy pomysł na przyszłość. On też chce zostać politykiem, a oprócz tego handlowcem. Chciałby pomagać biednym. Jest na pierwszym roku administracji publicznej na Uniwersytecie Kabulskim. Siedzi w pokoju małego i bardzo skromnego akademika wraz z kilkoma innymi mężczyznami, którzy jeszcze studiują albo niedawno skończyli się uczyć. To spore pomieszczenie z materacami i piecem kozą. Oświetla je słabe światło żarówek.

Foladi jest bardzo poważny i chyba zestresowany. Do Kabulu wrócił po świątecznej przerwie. Pochodzi z prowincji Ghazni w środkowym Afganistanie, która do zeszłego roku uchodziła za jedną z najbezpieczniejszych. W ostatnich miesiącach doszło tam jednak do kilku poważnych ataków dokonanych przez talibów. W tym w dzielnicy Dżaghori, zamieszkałej głównie przez mniejszość etniczną Hazarów, którzy przeważnie są szyitami. Do bitwy doszło w listopadzie. Talibowie (sunnici i w większości Pasztunowie) atakowali Dżaghori z trzech stron i wydawało się, że przejmą nad nią kontrolę.

Ofensywa została powstrzymana, ale zginęło kilkaset osób, a ponad tysiąc rodzin musiało opuścić domy.

Foladi, który jest Hazarem, za każdym razem, gdy jedzie do Kabulu albo z Kabulu do domu, przejeżdża przez terytoria, nad którymi siły rządowe nie mają całkowitej kontroli.

– Za każdym razem mam 50 procent szans, że mi się uda – twierdzi. – Po bitwie ludność cywilna w tej okolicy również stała się celem.

Ciągle ryzyko i poczucie zagrożenia powodują, że bardzo chciałby, by nastał pokój. Chciałby odegrać jakąś rolę w jego nadejściu. Ale trudno mu w niego uwierzyć. – Wojna jest tu od zawsze. Dlatego nie wierzymy, że może on nadejść. Mam 19 lat i wojna jest ze mną przez całe życie – mówi. – Może skończę studia, a pokój wciąż nie nastanie.

A co, jeśli jednak nastanie? Foladi chciałby nareszcie zobaczyć, jak wygląda jego kraj. Zjeździć go wzdłuż i wszerz, zajrzeć do wiosek i dolin, do których nigdy nie miał dostępu.

Chęć zobaczenia własnego kraju wydaje się być największym pragnieniem Afganczyków. Nie myślą o dalekich krajach, o wielkich przygodach, tylko o przyjrzeniu się temu, co ich otacza.

– Mógłbym nareszcie przytulić mojego brata z Nanganharu i przyjaciela z Kandaharu. Ucisnąć im ręce, przywitać się i porozmawiać – mówi chłopak takim tonem, jakby zrzucał z siebie ciężar.

Trudna poza

Zazwyczaj moi rozmówcy, którym zadawałem pytanie o to, co zrobią, gdy skończy się wojna, długo się wahali, zanim odpowiedzieli. Jakby próbowali wypełnić pustkę w głowie, zappełnić ją tym, co jeszcze ich nie zajmowało i czego na poważnie nie rozważali.

Na razie samo osiągnięcie pokoju wydaje się odległą perspektywą – wciąż przelewana jest krew. Politycy, grupy zbrojne i obce państwa nie budzą dużego zaufania, a udział talibów we władzy nie wróży wiele dobrego. Dlatego nad tym, co potem, będą się martwić, gdy wojna naprawdę się skończy.

Wiele lat temu, w trakcie jednego z warsztatów teatralnych, Radżabi poprosił uczestników, aby zastygli w pozie, która będzie przedstawiała wojnę. Poradzili sobie bez problemu. Jedni wyglądali, jakby strzelali z karabinu lub pistoletu, inni dźgali niewidzialnym nożem.

Radżabi następnie poprosił ich, aby przybrali pozę, za pomocą której przedstawia pokój. Uczestnicy warsztatu głowili się, ale nie byli w stanie nic wymyślić. Radżabi poprosił ich znowu. Dawał też wskazówki: pytał o to, jak pokój miałby wyglądać, co chcieliby osiągnąć. Nic z tego.

Poprosił ich po raz trzeci. Na co jeden z mężczyzn odpowiedział mu: „Salim, my nigdy nie zastanawialiśmy się, czym jest pokój. Jak więc mamy to zrobić?”

© PAWEŁ PIENIAŻEK

REKLAMA

NAUKA W KUCHNI

czyli książka dla głodnych... wiedzy – już w sprzedaży!

- Kiedy ludzie zaczęli gotować?
- Jak wygląda gluten?
- Czy da się wyhodować sałatę w kosmosie?
- Skąd się biorą aromaty w winie?

Michał Kuźmiński, zastępca redaktora naczelnego „TP” i wieloletni szef działu Nauka, szuka odpowiedzi na te i inne nurtujące Was pytania w pierwszej swojej popularnonaukowej książce.

Szukajcie w dobrych księgarniach i na powszech.net/naukawkuchni

Poleca

TYGODNIK
POWSZECHNY

FOT. GRAZYNA MAKARA

ANDRZEJ

Stasiuk:

Ludzie (4)



W LATACH 90. NIE BYŁO JUŻ SOWIECKICH wołg. Wymarły jak mastodonty. Ale ta jego jakoś się trzymała. Stała na postoju całe dnie. Latem w środku musiało być gorąco. Dopiero po południu słońce staczało się w dół wzgórza i zachodnia strona rynku mogła odetchnąć. Wołga była żółta. Prawdziwa *yellow cab* w dwuipółtysięcznej dziurze. Stało też parę innych, stary opel, daewoo, dwudziestoletni merc-beczka. Biedota. Całe dnie w tym skwarze.

Kierowcy wysiadali, kryli się w cieniu i niemrawo palili, gadali, jak to taryfiarze. Płaskie jak deska mądrości na każdy temat. Coś takiego w nich jest, że wszystko wiedzą najlepiej. Pewnie od tego stania przemyśleń im przybywa. W sobotę wieczór i w nocy robił się ruch, bo dyskotekowa publiczność wracała do domów – wieś, miasteczko dalej – żeby podgrzewać w żyłach sobotni żar. Tak. Ale on nie wysiadał. Siedział za kierownicą albo na siedzeniu obok i czytał. Wielka wołgowska kanapa z tyłu zawalona była książkami, starymi numerami „Poezji”, „Twórczości” i trochę nowszym „Brulionem”. Jak obwoźny antykwariat to wyglądało. Tyle że nieuporządkowany, niealfabetyczny. Leżało na kupie, przemieszane, ciśnięte, jakby pakował się w pośpiechu wobec nadciągającej kłęski albo najazdu. W te sobotnie wieczory albo niedzielne świty, gdy woził niedobitków, musiał to jakoś uprzątać. Pewnie wrzucał do bagażnika, w którym swobodnie można było przewieźć dwóch nieboszczyków. Tak, wołga to był piękny samochód. Miałem kiedyś. GAZ 24. Przyjemnie bujała i prowadziła się jak wersalka.

Gdy rozmawialiśmy, miałem wrażenie, że przeczytał wszystko, co zostało napisane. A jak nawet nie przeczytał, to wiedział, gdzie w razie czego szukać. Ogromny, zwalisty, ponad stukilowy, wiódł długie monologi zza kierownicy w żół-

tym rozgrzanym aucie. Jakby upał i słońce stymulowały jego umysł. Pot spływał mu po twarzy. Gdy ktoś się odzywał, chwycił w lot każde zdanie i oplatał je siecią odniesień, aluzji, dygresji. Poruszał się swobodnie w dwudziestowiecznej literaturze, jakby sam był jej autorem. Jego pamięć iskrzyła niczym przedziwna elektrochemiczna maszyna do produkcji sensów. Wokół snuło się kleiście gminne życie, fura chyba jeszcze jeździły, koleżeństwo stało w plamach cienia i zbierało fundusze na przeczekanie dnia, skosem przebiegał pies, kobiety niosły torby albo rozprawały o wydarzeniach, dzwonił dzwon z neogotyckiej wieży, kondukt odprowadzał zmarłych, piał koguty, kury grzebały na zapłociach. A on wkładał kasetę do odtwarzacza przypominającego zabytkowy toster i puszczał Kronos Quartet i Philipa Glassa. Taśma była rozciągnięta, któryś raz przegrywana i muzyka brzmiała jak dźwięki z kosmosu. Wieczorem odjeżdżał do swojej wsi zagubionej w lasach Pogórza.

Och, to on sam był jak z kosmosu. Z tą rozbujaną wyobraźnią, z tą inteligencją jarzącą się jak jakiś Koh-i-noor w środku galicyjskiego majdanu. Czasami za nim nie nadążałem. Siedział w swojej żółtej wołdze jak na czarodziejskim dywanie i przesypywał literacko-kulturalne paciorki, bawiąc się nimi jak dziecko, a słuchaczy hipnotyzując i mamiąc. No tak. Trochę jak wielkie tłuste dziecko, trochę jak anioł albo prorok, którego posłano w strony, gdzie nikt go nie pojmie.

Ostatni raz widziałem go, gdy mnie odwiedził. Przywiózł mi dużą czarno-białą fotografię oprawioną w ramki. To był kawałek Londynu, jakiś budynek, ściana, rzecz kompletnie przypadkowa i bez wyrazu. Ale dla niego, jak twierdził, miała wyjątkowe znaczenie. Próbował mi to wyjaśnić, lecz rwący potok jego słów rwał się, wpadał w wiry i chwilami wysychał. Coś się zacięło w połyskliwym mechanizmie opowieści. Nie mogłem go zrozumieć. Nie mogłem też wtrącić ani słowa, bo zwyczajnie nie słuchał. Zostawił mi to zdjęcie, które przedstawiało coś, czego nie byłem w stanie pojąć. Zostałem z nim, a potem gdzieś je ukryłem, bo trochę się go bałem.

Żółta wołga zniknęła. Na postoju stały już tylko smętne ople i dogorywające merce-beczki, jakby krajobraz powrócił do swojej właściwej, pierwotnej postaci. Trochę tak, jakby z ryneczku odleciał rajszy ptak. Pytałem znajomych, czy nie wiedzą, co się z nim stało. Odpowiedzieli, że bierze leki i nie wychodzi z domu.

©

TP

Kluby „TP” zapraszają

BERLIN

■ czwartek, 4 kwietnia,
godz. 19.00
Dyskusja „Ewangeliczne
ubóstwo w życiu Kościoła”.
Miejsce: sala seminaryjna
w klasztorze oo. Dominikanów
(Oldenburger Str. 46).

BIAŁYSTOK

■ wtorek, 2 kwietnia,
godz. 18.00
Dyskusja „Mowa nienawiści”.
Miejsce: restauracja
Kwestia Czasu
(pl. Niezależnego Zrzeszenia
Studentów 1).

KRAKÓW

■ niedziela, 31 marca,
godz. 18.00

Spotkanie „Miasto Kraków
w walce o czyste powietrze”.
Miejsce: sala
konferencyjna Herbowa
(ul. Lubelska 29).

SOPOT

■ czwartek, 28 marca,
godz. 16.30
Spotkanie „Ikona – napisany
dogmat”. Gośćmi będą Anna
Sujecka, ks. Mariusz Synak.

Miejsce: Biblioteka Miejska
(ul. Grodzka 3).

ZIELONA GÓRA

■ czwartek, 28 marca,
godz. 18.00
Spotkanie „Państwo prawa.
Rozważania o harmonii
i sprawiedliwości”. Gościem
będzie prof. Fryderyk Zoll.
Miejsce: Piekarnia Cichej
Kobiety (ul. Fabryczna 13).

NIEUDANY EKSPORT REWOLUCJI

Sto lat temu na Węgrzech powstało „czerwone” państwo.
Gdyby połączyło się z Rosją bolszewicką,
historia Europy wyglądałaby inaczej.

ANDRZEJ KRAWCZYK

JESIENIĄ 1918 R. WĘGRY ZNALAZŁY SIĘ w sytuacji dramatycznej. Przegrana w I wojnie światowej była oczywistością, a rysujące się skutki klęski wydawały się poważniejsze dla Austro-Węgier niż dla Niemiec.

Od pół wieku Węgry były częścią zreformowanej monarchii. W 1867 r. przekształciła się ona w Austro-Węgry, a cesarz Franz Joseph dodatkowo koronował się w Budapeszcie na węgierskiego króla Ferencza Józsefa. 30 lat wzrostu gospodarczego dało węgierskim elitom doskonałe samopoczucie i pozwoliło na mocarstwowe marzenia. Monumentalne budowle, szerokie aleje, Park Tysiąclecia. Osiedlenia się w Ojczyźnie, mosty, metro, słynne nocne życie – były powodem do dumy. Węgry były wielkie.

Teraz to się kończyło, a wśród przyczyn upadku starego świata – obok klęski wojennej – były też stosunki narodowościowe. W 1918 r. Madziarzy stanowili w Królestwie tylko 40 proc. ludności. Stąd ciągłe starania Budapesztu o asymilację mniejszości: Rumunów, Słowaków, Serbów. Madziaryzacja była brutalna, ambicje mniejszości tłumiono. Historia tego czasu, widziana ich oczami, to ciąg antywęgierskich dążeń wyzwoleniczych. A Wielka Wojna i przegrana bloku niemiecko-austriackiego stworzyły szansę na realizację ich marzeń.

Najważniejsze dla przyszłości Węgier były relacje węgiersko-rumuńskie. Jed-

nym z głównych celów wojennych Rumunii – może głównym, który zdecydował o włączeniu się w 1916 r. Bukaresztu do wojny po stronie Ententy – było przyłączenie Siedmiogrodu (Transylwanii). W rumuńskiej interpretacji ziemie te były kołębą narodu; tylko w połączeniu z Wołoszczyzną i Mołdawią naród rumuński mógł żyć wolny i suwerenny. Dla Węgrów zaś były to tereny odwieczne węgierskie. Było oczywiste, że jakieś terytoria państwa węgierskiego zostaną teraz przyłączone do Rumunii. Nie było jasne, jak duże.

Bolszewizm na eksport

Tymczasem nieco wcześniej, z rozkazu Lenina, z Rosji na Węgry ruszyła grupa kilkunastu aktywistów bolszewickich narodowości węgierskiej, z myślą o „eksportcie” rewolucji na Europę. Dotarli do Budapesztu 24 listopada 1918 r. – wkrótce po tym, jak Budapeszt, Wiedeń i Berlin poprosiły Ententę o rozejm. Głównymi postaciami tej grupy byli Béla Kun, Tibor Szamuely i Mátyás Rákosi. Kun to przyszył symbol węgierskiej rewolucji, Szamuely za kilka tygodni proklamuje „czerwony terror”, a Rákosi po 1945 r. zostanie komunistycznym dyktatorem Węgier.

Béla Kun miał wtedy 34 lata. Pochodził z zasymilowanej żydowskiej rodziny z Siedmiogrodu, przed wojną pracował w firmie ubezpieczeniowej i był radykalnym publicystą. Powołany w 1914 r., dwa lata później dostał się do rosyjskiej niewoli

i trafił do obozu jenieckiego na Syberii, gdzie uległ fascynacji uproszczoną wizją świata bolszewików.

Po rewolucji lutowej roku 1917, gdy jeńcy węgierscy (było ich pół miliona) otrzymali wolność i mogli opuścić obozy, Kun dotarł do Petersburga. Zaczął zamieszczać artykuły w bolszewickiej „Prawdzie”. Zwrócił na niego uwagę Lenina. Wkrótce Kun organizował już Węgierską Sekcję w partii bolszewickiej. Okazał się wzorcowym ideologicznym dogmatykiem bez oporów moralnych. Liczyła się dla niego tylko doktryna i polityczna wizja. Był pozbawiony empatii, ludzkie cierpienie go nie interesowało.

Gdy w 1919 r. jego bolszewicki rząd będzie upadać, Kun ucieknie do Rosji. Jako „specjalista” od zarządzania odległymi prowincjami, zostanie przez Lenina mianowany szefem Sowietu na Krymie. Urządowanie zacznie od tego, że zarządzi egzekucję „białych”, wziętych do niewoli po zdobyciu Krymu przez bolszewików; zamordowano wtedy 10 tys. ludzi. Później będzie zajmował się w Moskwie przygotowaniem przyszłej rewolucji w Europie Zachodniej (tj. wywiadem i dywersją). W 1938 r. popadnie w niełaskę Stalina, zostanie aresztowany i rozstrzelany.

Chwilowa republika

Ale na razie mamy jesień 1918 r. W obliczu klęski w Budapeszcie – w środowisku elity ziemiańsko-arystokratycznej –



Béla Kun (w środku, z gazetą) wraz z członkami węgierskiego rządu, Budapeszt, kwiecień 1919 r.

formuje się opozycyjna grupa. Chce wyprowadzić kraj z wojny i zminimalizować straty terytorialne. Czołową jej postacią jest hrabia Mihály Károlyi, właściciel ziemski i liberał. W październiku demonstranci na ulicach Budapesztu żądają, aby to on został nowym premierem Królestwa. 31 października kończący urzędowanie cesarz Austrii i król Węgier Karol powołuje Károlyiego na premiera, a 13 listopada zwalnia Węgrów z lojalności wobec monarchii.

Károlyi zaczyna urzędowanie od proklamowania 16 listopada republiki i ogłoszenia niezależności od Austrii. Ten moment można uznać za węgierską rewolucję roku 1918: odbyła się pokojowo i nie miała nic wspólnego z komunistami.

Nowe państwo stoi wobec wielkich problemów. Brakuje żywności, rozpada się administracja (także poczta i koleje), elektrycznie mogą stanąć. Zwycięska Ententa nie interesuje się sytuacją Węgier.

W tych dniach grupa przysłana z Moskwy ogłasza powstanie Węgierskiej Partii Komunistycznej, ale nie uzyskuje społecznego poparcia. Realizując polecenia Lenina o konieczności „zaktywizowania walki klasowej”, 20 lutego 1919 r. komuniści organizują demonstrację przed redakcją socjaldemokratycznego dziennika „Népszava” („Słowo Ludu”), pod hasłem potępienia socjaldemokratów jako rzymskich „zdrajców robotniczej sprawy”. Z całą świadomością dążą do pogłębiania niepokoju i spowodowania zamieszek, które pociągną ofiary. Widzą w tym szansę na sprowokowanie rewolty.

W trakcie demonstracji ginie czterech policjantów, broniących redakcji przed wtargnięciem. Reakcją władz jest decyzja o aresztowaniu 48 aktywistów komunistycznych, w tym Kuna. Policja bije zatrzymanych, dziennikarze to widzą i piszą o tym. Opinia publiczna, dotąd antykomunistyczna, jest pełna sympatii dla aresz-

tantów, żąda ich uwolnienia. W efekcie połowa zostaje zwolniona, a pozostałym zapewnione zostają specjalne warunki: otwarte cele i nieograniczona możliwość wizyt oraz prowadzenia korespondencji. Sami komuniści wspominali później, że z aresztu zrobili partyjny sekretariat.

Oddanie władzy

Tymczasem, broniąc stanu posiadania Węgier, premier Károlyi decyduje się na posunięcie oryginalne: wobec braku szans na satysfakcjonujące ustalenia na konferencji w Wersalu rząd węgierski postanawia... oddać władzę radykalnej lewicy – bolszewikom. Mimo niechęci głównych sił politycznych do komunizmu, w przekazaniu im władzy widzą one jedyną szansę na uniknięcie złych (dla Budapesztu) rozwiązań z Wersalu.

Logika tego kroku jest następująca: Węgry nie są w stanie odrzucić dyktatu zwycięskich mocarstw, ale przejęcie władzy →

→ przez komunistów stwarza taką możliwość – bolszewicy znani są z awanturnictwa i nieprzestrzegania prawa. Niezależnie od tego, jak rozwijać się będą dalej wydarzenia, być może uda się uniknąć podpisu „normalnego” rządu pod traktatem o kapitulacji.

W międzyczasie armia rumuńska wykorzystuje rozkład państwa i administracji węgierskiej, przekracza linię frontu z czasu wojny, posuwa się na zachód i opanowuje stolicę Siedmiogrodu. Zatrzyma się dopiero 25 stycznia 1919 r., na rozkaz z Paryża.

Gdy 20 marca szef francuskiej misji wojskowej w Budapeszcie przedstawia rządowi Węgier notę w sprawie linii delimitacyjnej między Rumunami i Węgrami, Károlyi postanawia wykorzystać okazję, noty nie przyjmując i błyskawicznie oddać władzę radykalnej lewicy. Zwolnieni komunistyczni przywódcy – w porozumieniu z uległymi wtedy wobec nich socjaldemokratami – powołują wspólną Rewolucyjną Radę Rządową.

Jest 21 marca, godzina 22. Rankiem następnego dnia nowy rząd, wzorując się na rosyjskich bolszewikach i ich pierwszych aktach, wydaje manifest zatytułowany „Do Wszystkich, do Wszystkich”. Informuje w nim, że Węgry odrzucają dyktat Ententy, i że jedynie „dyktatura proletariatu” może obronić Węgry.

Czerwony terror

Károlyi nie odegra już później żadnej roli, a po kilku tygodniach z rządu usunięci zostają także socjaldemokraci. Komuniści węgierscy w szybkim tempie wprowadzają to, co wcześniej zaprowadziła w Rosji władza Lenina: nacjonalizację gospodarki, wywłaszczenia ziemian, zamykanie kościołów, reglamentację żywności.

Z Budapesztu na prowincję rozjeżdżają się grupy (*de facto* bandy), same nazywające się „chłopcami Lenina”. Idąc za wzorem czekistów, uwielbiają występować w skórzanych kurtkach, a jako węgierską specyfikę noszą długie białe szaliki. „Chłopcy” wyrzucają ziemian z domów, tworzą państwowe gospodarstwa rolne (ku rozczarowaniu chłopów, którzy marzyli o otrzymaniu rozparcelowanej ziemi), profanują kościoły.

Oficjalnie ogłoszony zostaje „czerwony terror”, rzecz jasna w obronie rewolucji. Komisarz spraw wewnętrznych Tibor Szamuely zapowiada, że powiesi się wszystkich przeciwników republiki sowieckiej.

Węgierska Republika Rad

była pierwszą próbą
rozszerzenia rewolucji
bolszewickiej na Europę.
Kolejną ekipa Lenina
podejmie już wkrótce:
w 1920 r., poprzez Polskę.

Mówi, że „rewolucja potrzebuje krwi”: „krew wzmocni nasze serca, krew doprowadzi nas do prawdziwego komunizmu”. W ciągu 133 dni istnienia Węgierskiej Republiki Rad zapada 500-600 wyroków śmierci.

Kun z dumą deklaruje: „Nie ma dla mnie różnicy między działaniem moralnym i niemoralnym. Rozróżniam jedynie jeden punkt widzenia: czy dane działanie jest czy nie jest dobre dla proletariatu”. Władze rozwiązują Akademię Nauk (jako reakcyjne centrum), wprowadzają cenzurę wszelkich druków, a także obowiązek pracy dla wszystkich powyżej 18. roku życia (dla porządku trzeba dodać, że zakazano pracy powyżej 8 godzin dziennie i różnicowania zarobków dla kobiet i mężczyzn).

Przez pierwszy miesiąc nowe władze cieszą się pewnym poparciem. Ale już wkrótce postępowanie komunistów wzbudza strach i nienawiść do nich w szerokich rzeszach społeczeństwa. Skutkiem ubocznym tego stanu się olbrzymi wzrost antysemityzmu, gdyż bardzo dużą część komunistycznego aparatu władzy tworzą Żydzi.

Komuniści są zarazem nieudolni: nie potrafią zapewnić funkcjonowania państwa, nie umieją rozwiązać problemu zaopatrzenia w żywność. W rolniczym kraju (wcześniej Węgry nazywano „spichlerzem ck monarchii”) panuje głód, ceny rosną w niesamowitym tempie. Odpowiedzią władz są „brygady aprowizacyjne”, które siłą zabierają rolnikom zapasy żywności i ziarno na przyszły zasiew.

Wojna środkowoeuropejska

Już następnego dnia po powstaniu w Budapeszcie komunistycznego rządu,

23 marca, Lenin wydaje rozkaz o podjęciu akcji na rzecz połączenia Rosji Sowieckiej i Sowieckich Węgier. Jeszcze tego samego dnia komisarz spraw zagranicznych Czicherin wysyła depezę do Kuna, w której informuje o decyzji Lenina. Bolszewicy na Ukrainie podejmują ofensywę w kierunku rzeki Zbrucz, dawnej granicy austriacko-rosyjskiej (od 1921 r. będzie to granica Polski z Rosją sowiecką).

Rząd Kuna prowadzi powszechną mobilizację do węgierskiej Armii Czerwonej i rozbudowuje ją do 200 tys. ludzi. Duża walki wśród żołnierzy (zmęczonych Wielką Wojną) mają budzić odwołania do węgierskiego patriotyzmu, do antyrumuńskości i antysłowackości.

20 maja 1919 r. węgierska Armia Czerwona zaczyna ofensywę na Słowację. Cel operacyjny: połączyć się z bolszewicką Armią Czerwoną na terenie Galicji (tj. już Polski). Spychając wojska czeskosłowackie, do końca maja „czerwoni” Węgrzy opanowują Koszyce, a na początku czerwca docierają kilkanaście kilometrów od polskiej Muszyny i Krynicy. Kilka tysięcy żołnierzy czeskich, przypartych do granicy, musi przejść do Polski (zostają internowani). W zajęтым Preszowie 16 czerwca bolszewicy proklamują Słowacką Republikę Rad, której „przekazują” władzę, „bolszewicy słowaccy” zaś ze swej strony „ogłaszają decyzję” o przyłączeniu się do Węgierskiej Republiki Rad.

Cudząsłowsy są tu zasadne, gdyż cała ta akcja jest farsą. Słowacką Republikę ogłoszono w Preszowie, gdyż węgierscy bolszewicy nie chcieli, by powstał jakikolwiek związek ze Słowacją największego miasta wschodniej Słowacji – Koszyc (chcieli je anektować). A że nie mieli do dyspozycji słowackich komunistów, na szefa „państwa” mianowali czeskiego bolszewika Antonína Janouška.

Tymczasem już wcześniej, do końca kwietnia, bolszewicka Armia Czerwona dociera do Zbrucza. Tu się zatrzymuje: Lenin obawia się w tym momencie konfliktu z Polakami i Rumunami. W tych dniach Wojsko Polskie prowadzi zwycięską ofensywę, która definitywnie zniszczy Zachodnioukraińską Republikę Ludową, a wojska rumuńskie opanowują Pokucie. Gdyby siły bolszewickie poszły dalej – z nadzieją, że połączą się z „czerwonymi” Węgrami – mogłyby znaleźć się w polsko-rumuńskich kleszczach.

Zatrzymany marsz Armii Czerwonej

Zachowały się depesze Kuna, w których prosi bolszewików o jak najszybsze wejście na Węgry. Komisarz Szamuel leci nawet samolotem do Moskwy, na rozmowy z Leninem o pomocy. Ale dla rosyjskich bolszewików – związanych wojną domową – ważniejsze w tej chwili jest powstrzymanie „białych” nad Donem i opanowanie Besarabii (dziś to Mołdawia). W tym czasie na ich tyłach wybucha też bunt chłopsko-anarchistyczny Nestora Machny, co dodatkowo ogranicza możliwości operacyjne Armii Czerwonej.

25 czerwca 1919 r. na konferencji pokojowej w Paryżu zapada decyzja o tymczasowej akceptacji dla polskiej państwowości w Galicji Wschodniej, aż do Zbrucza. Lenin uznaje, że to ostatecznie wiąże mu ręce, i że lepiej zrezygnować z planów połączenia z „czerwonymi” Węgrami. Pogrobowcy węgierskiej komuny będą później zarzucać rosyjskim bolszewikom, że porzucili ich rewolucję.

Uczestnicy konferencji pokojowej w Paryżu są wstrząśnięci marszem węgierskich komunistów i ich aspiracjami terytorialnymi. Marszałek Foch w imieniu aliantów wystosowuje ultimatum do Węgrów: jeśli ich siły nie zaprzestaną działań na Słowacji, wtedy alianci podejmą interwencję wojskową i zajmą Budapeszt. Kun ulega – i między 30 czerwca a 4 lipca wycofuje swoje siły ze Słowacji. Ten odwrót podkopuje morale węgierskiej Armii Czerwonej – wszak duża część jej żołnierzy walczy z przekonaniem, iż bronią węgierskiej ojczyzny, a nie w imię komunizmu.

Regent na białym koniu

W tym momencie Béla Kun popełnia błąd, który zaważy na losie „czerwonych” Węgier: uznaje, że opuszczenie Słowacji poprawiło notowania węgierskie na konferencji paryskiej, i że wobec tego można sobie pozwolić – bez obawy o retorsje ze strony Focha – na zaatakowanie Rumunów i odbicie Siedmiogrodu.

20 lipca Kun wydaje rozkaz do ataku. Ale już po kilku dniach węgierska ofensywa się załamuje, a Rumuni przystępują do kontrataku. Gdy

1 sierpnia wojska rumuńskie są już 100 km od Budapesztu, ekipa Kuna ucieka do Wiednia (ma tam załatwiony azyl). 3 sierpnia Rumuni wkraczają do Budapesztu.

Armia rumuńska będzie okupować wschodnie Węgry do 14 listopada. Dwa dni później do Budapesztu urocząście wjedzie na białym koniu admirał Miklós Horthy – były adiutant cesarza, mianowany regentem Królestwa Węgier (prawnie wciąż istniejącego). Horthy przeczekał okres rządów Kuna pod opieką wojsk Ententy i Serbów w Szegedzie na południu Węgier. Teraz, po wejściu do stolicy, określa miasto jako „grzeszne”. W odpowiedzi na „czerwony terror” wprowadzony zostaje „biały terror”: w latach 1919-21 na kary więzienia skazanych zostaje 15 tys. osób i zapada ponad 1000 wyroków śmierci. Władze zezwalają też na oddolne rozliczenia z bolszewikami, jak publiczna chłosta na rynku wsi (Horthy będzie rządzić Węgrami aż do 1944 r.; umrze w 1957 r. na emigracji w Portugalii).

Sto lat później

Węgierska Republika Rad była pierwszą próbą rozszerzenia rewolucji bolszewickiej na Europę. Gdyby się udała, losy kontynentu, a może i świata potoczyłyby się inaczej. Kolejną próbę ekipa Lenina podejmie już wkrótce: w 1920 r., poprzez Polskę.

Po II wojnie światowej, gdy Węgry znajdują się w sowieckiej strefie wpływów, ich władze będą usiłowały uczynić z Republiki Rad jeden z dwóch mitów założycielskich dla komunistycznej władzy. Polityka Węgierskiej Partii Komunistycznej wobec historii będzie oscylować między „rewolucyjną czystością” bolszewików z 1919 r. oraz „narodowo-patriotyczną” pamięcią o Wiośnie Ludów w latach 1848-49 (w tej narracji XIX-wiecznych węgierskich liberałów będzie się przedstawiać jako niemal prekursorów socjalizmu).

Dziś na Węgrzech wciąż trwają dyskusje lewicy z prawicą o tym, co działo się 100 lat temu. Zwłaszcza, który terror – „czerwony” czy „biały” – był wtedy bardziej okrutny, oraz czy ten „biały” można usprawiedliwiać tym „czerwonym”.

© ANDRZEJ KRAWCZYK

Mikroświat Fotonu

To opowieść o pracownikach pewnego polskiego zakładu. Kiedyś wiodącego, dziś już nieistniejącego.

CHEMICZKI, LABORANTKI, KSIĘGOWE, UCZENICE szkoły zawodowej, modelki, znane fotografki. Wiele było kobiet, które droga zawodowa związała z legendarnymi Bydgoskimi Zakładami Fotochemicznymi Foton. Większość załogi stanowiły kobiety. Pracę w przemyśle lekkim (tak to kwalifikowano w PRL) uważano za odpowiednią dla nich; były dokładne i cierpliwe. Owszem, opary chemikaliów były szkodliwe, ale tym się zbyt nie przejmowano (jako odtrutkę stosowano mleko, które miały pić). Zakład zapewniał opiekę medyczną na miejscu; przyjmował ginekolog, codzienne dyżurowała położna.

Było też życie poza pracą – i to jest najbardziej fascynująca część książki. Autorki, pisarka Małgorzata Czyńska i fotografka Katarzyna Gębarowska, zebrały wspomnienia dawnych pracowników i z tych rozmów, anegdot, rodzinnych albumów odtworzyły mikroświat Fotonu. Piszą o małżeństwach, które zaczęły się w ciemni, o chwilach przerwy na grę w badminton, o wspólnym świętowaniu („Jak miałam imieniny, to musiałam całe blachy ciasta upiec. Żeby dla wszystkich starczyło – od portierni po biura”), o prezentach na Dzień Kobiet (obrusy, talerze z Włocławka, rajstopy). O tym, że „była praca, był humor i świetny klimat”. Czasem pojawia się polityka: za Gomułki zamknięto laboratorium, gdy musiała wyjechać szefowa-Żydówka; za Solidarności kogoś aresztowano.

Foton był największym i cenionym producentem materiałów fotograficznych. Ale potem przyszedł koniec: dla Fotonu była to nie tylko transformacja lat 90., ale też spopularyzowanie fotografii cyfrowej.

Widać w tej książce wręcz czułość, z jaką autorki traktują swoje rozmówczynie. Wyszedł z tego subtelny portret pewnej kobiecej społeczności. Warto mu się przyjrzeć.

© P. PATRYCJA BUKALSKA

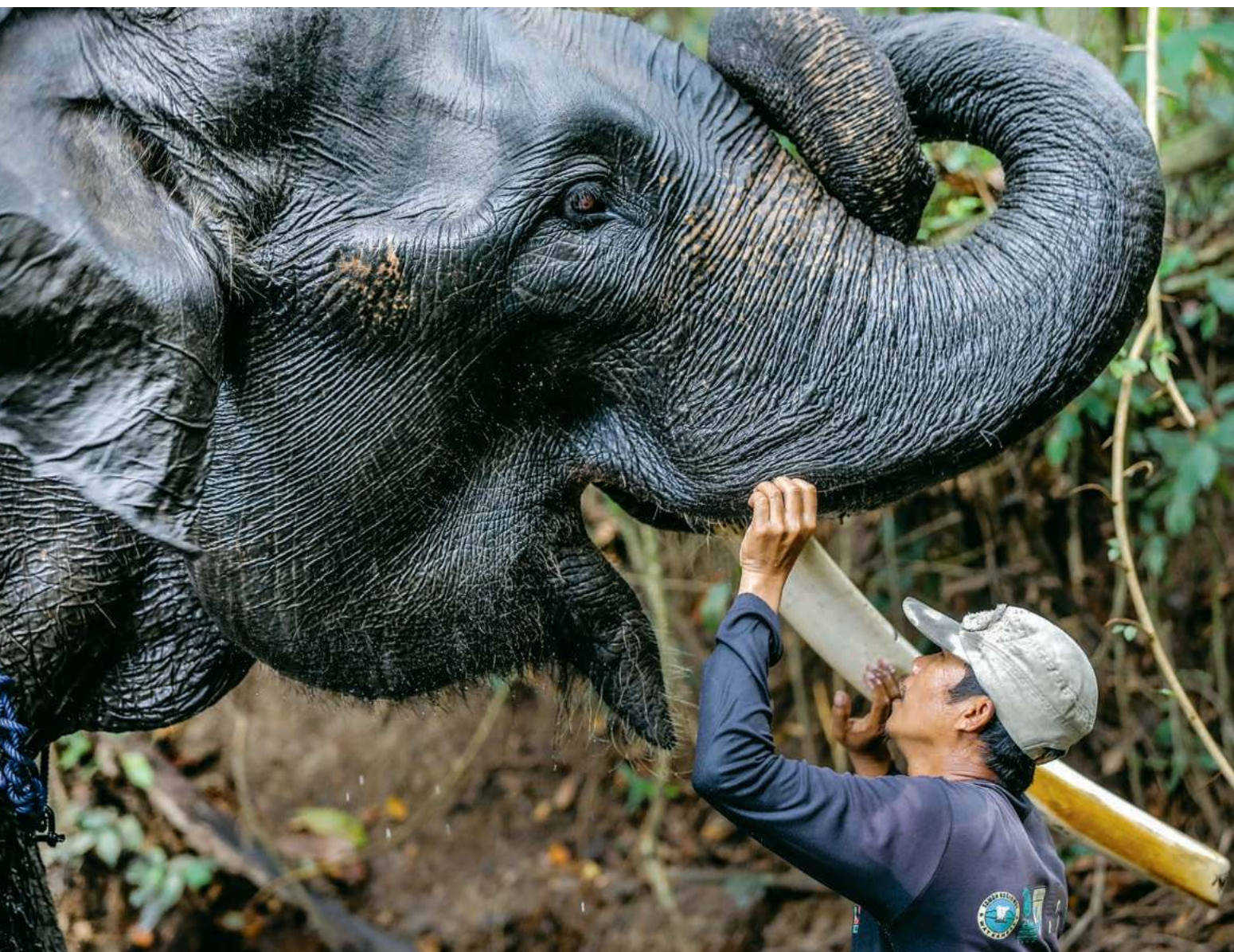


Małgorzata Czyńska,
Katarzyna Gębarowska,
**KOBIEТЫ FOTONU, Fundacja
Farbiarnia, Bydgoszcz 2018.**

PIERWSI SPOŚRÓD RÓWNYCH

Kolejne etapy kulturowej ewolucji człowieka wiązały się ze zmianą naszego stosunku do zwierząt. Dziś coraz bardziej jesteśmy skłonni obdarzyć je prawami.

TOMASZ TARGAŃSKI



ZAMIESZKUJĄCY SUBSAHARYJSKĄ AFRYKĘ miodowód duży jest jednym z nielicznych ptaków, który trawi wosk i inne składniki plastra miodu. Bez trudu odnajduje też gniazda pszczoł, dostęp do miodu utrudniają mu jednak agresywne owady. Boranowie, zaganiacze bydła z północnej Kenii, są z kolei w stanie otworzyć gniazda, ale mają problemy z ich odnalezieniem. Czasem miodowody przywabiają ludzi swoim śpiewem, wskazując im gniazda, ale bywa też, że to przygotowani do wyprawy po miód ludzie wzywają ptaki charakterystycznym zaśpiewem.

Naukowcy nazywają taką kooperację mutualizmem i choć między różnymi gatunkami zwierząt jest to zjawisko dość powszechne, to dziś rzadko zachodzi między światem zwierząt a ludźmi. Brytyjski antropolog Brian Fagan posłużył się przykładem miodowoda, by zobrazować ścisłą zależność, jaka dawniej łączyła człowieka ze zwierzętami. W wydanej niedawno po polsku książce „Zażyła więź” pisze, że fundamentem tego swoście magiczno-siostrzanego sojuszu była „świadomość współistnienia i jedności zamieszkiwanego świata”.

Ludzko-zwierzęca wspólnota, oparta na wzajemnym szacunku, trwała dziesiątki tysięcy lat. Życie w czasach prehistorycznych zmuszało do uważnej obserwacji, doświadczenia i precyzyjnej komunikacji z siłami, które wydawały się nadprzyrodzone.

Ludzie wchodzili więc w skomplikowane relacje ze światem przyrody. Ich dobrym przykładem były bliskie więzi nawiązywane pomiędzy zwierzyną a myśliwymi. Łowcy spędzali całe dnie obserwując potencjalną zdobycz, zdobywając informacje o jej diecie i nawykach. Powstała w ten sposób relacja ze zwierzęciem przeniknęła do ludowych opowieści oraz legend, dając początek wielu mitom.

Artystycznym wyrazem wspomnianej więzi są m.in. datowane na co najmniej 30 tys. lat słynne paleolityczne rysunki naskalne z Jaskini Chauveta we Francji. Ze ścian wyłaniają się niezwykle plastyczne obrazy: między skałami parady stada koni, nosorożce, mamuty i wielkie byki. Wszystkie przedstawione są w wyrazi-

stych barwach, z wycuciem perspektywy i dużą liczbą szczegółów anatomicznych. Fagan przyznaje, że system religijny autorów tych malowideł, pradawnych łowców-zbieraczy, pozostaje dla nas zagadką, ale nie ma wątpliwości, że „kluczową rolę w tym porządku odgrywały zwierzęta, które obdarzone były specjalnym miejscem w sferze *sacrum*”.

Wedle brytyjskiego antropologa początek końca ludzko-zwierzęcej wspólnoty stanowiło upowszechnienie rolnictwa. Od tego momentu (ok. 10-12 tys. lat temu) człowiek przestał być całkowicie zależny od swojego ekosystemu, zaczął go przekształcać.

Uprawa ziemi oraz hodowla obniżyły „osobisty” prestiż zwierząt. Coraz rzadziej przypisywano im pierwiastki magiczne – odtąd stanowiły rzecz policzalną, mierzalną bogactwa. Regularny wzrost populacji miejskich, a w końcu rewolucja przemysłowa spowodowały zerwanie dawnych więzi. Chwila ostatecznego wypchnięcia zwierząt z historii nadeszła wraz z wyeliminowaniem ich z pół bitewnych na początku XX w. To, co stało się potem – chów przemysłowy i eksperymenty medyczne – jest mało chwalebna wizytówką relacji ludzi ze zwierzętami na przełomie XX i XXI stulecia.

Na początku był Singer

Do niedawna ludzie nie mieli wątpliwości, że zwierzęta z natury rzeczy zajmują niższą niż my sami pozycję w hierarchii bytów.

Ostatnie dekady przyniosły w tej kwestii zmianę. Kolejne odkrycia naukowe postawiły pod znakiem zapytania wyjątkowość ludzi, dowodząc, że różne gatunki zwierząt tworzą kulturę, złożone życie społeczne, a nawet posługują się językiem. Wszystko to dało początek nowym, ważkim pytaniom, jak to, czy historia zwierząt i ludzi faktycznie jest opowieścią o trwającej do pewnego momentu dobroczynnej dla obu stron współpracy?

Od najwcześniejszych czasów hodowla opierała się przecież na strategii eliminowania z procesu rozmnażania osobników, które nie podporządkowują się ludzkim potrzebom. Geny „rebeliantów” w postaci agresywnych psów czy krów, które nie chciały oddawać mleka, rezerwując je dla swojego potomstwa, nie mogły się tak łatwo reprodukować. W efekcie na przestrzeni wieków człowiek wytworzył lub co najmniej współuczestniczył

w stworzeniu tysięcy ras zwierząt. Coraz bardziej świadomie dążył do zmiany ubarwienia, długości sierści i proporcji ciała. Wraz ze zmianami anatomicznymi szły nowe cechy behawioralne: przede wszystkim zmniejszony poziom agresji, utrata płochliwości, czujności oraz słabsza orientacja przestrzenna. Skutkiem tego procesu stał się niepomiaralny wzrost liczby zwierząt udomowionych przy równoczesnym zmniejszaniu się populacji gatunków dzikich.

Ambitny cel ponownego zdefiniowania – być może nawet destrukcji dominujących w świecie zachodnim schematów mówienia i myślenia o zwierzętach – postawił sobie australijski etyk Peter Singer. Jego książka „Wyzwolenie zwierząt” (wydana po raz pierwszy w 1975 r.) stała się pierwszym ważnym głosem w walce o prawa zwierząt, a jednocześnie wyznaczyła kierunki rozwoju *animal studies*. Pośiłkując się przykładami farm przemysłowych i dokonywanych w laboratoriach eksperymentów, Singer pokazał zgubne konsekwencje ideologii antropocentrycznej, atakując jednocześnie ideę szowinizmu gatunkowego, który skutkuje hierarchicznym sklasyfikowaniem zwierząt jako niższych rangą. Zdaniem Singera dyskryminacja żywych stworzeń wyłącznie na podstawie gatunku, do którego przynależą, jest nie do obrony, analogicznie do dyskryminacji na tle rasowym. Zwierzęta mają bowiem swoje potrzeby, a celem ich życia nie jest przynoszenie korzyści ludziom.

Wytyczoną przez Singera ścieżką podążyli inni. Jednym z nich był amerykański zoolog James Serpell. W książce „W towarzystwie zwierząt” (1986) pokazał, że u podstaw nowożytnego, jawnie amoralnego stosunku wobec zwierząt stała za fałszowana wizja człowieka – w szczególności człowieka Zachodu – jako istoty wyższej, odgradzonej od reszty stworzenia, a przy tym odpowiedzialnej za swe czyny jedynie przed Bogiem. Innym osiągnięciem Serpella było pokazanie roli, jaką w przemysłowym naszym stosunku do zwierząt może odegrać język antropomorfizacji. Rozumiany jako próba skupienia uwagi na „innym”, wyobrażenia sobie jego potrzeb i pragnień, może wywołać mobilizujący do działania odruch empatii.

Naruszenie dotychczasowej hegemonicznej pozycji człowieka pociągnęło za sobą zmiany na polu kultury. Pytanie: „po co patrzeć na zwierzęta?”, które

Słoń sumatrzański podczas kąpieli pod opieką pracownika organizacji ekologicznej. Park Narodowy Way Kambas, Lampung, Indonezja. Lipiec 2017 r.

→ w latach 70. XX w. zadał krytyk sztuki oraz pisarz John Berger, wywołało gorącą debatę. Stwierdziwszy, że człowiek stracił równowagę w relacjach ze zwierzętami, podporządkował je własnemu punktowi widzenia, Berger zasugerował, że nie potrafimy już znaleźć zrozumienia dla ich odrębności. Próby wykroczenia poza człowiecze „ja” podejmowali także inni twórcy. Za pomocą krzyżujących się na różnych poziomach niezwerbalizowanych przeczuć, drobnych gestów, śladów i opisów przedmiotów, Virginia Woolf umiejętnie stopiła ze sobą świat ludzki i zwierzęcy w książce „Flush”. Ryzyko odwrócenia antropocentrycznej perspektywy, poprzez rozszerzenie definicji „istot” na zwierzęta, podjęła również główna bohaterka powieści Olgi Tokarczuk „Prowadź swój pług przez kości umarłych”.

Innym interesującym eksperymentem na tym polu była książka Érica Barataya „Zwierzęcy punkt widzenia”. Zamiast o woźnicy, który powozi, wbijającym pikę toreadorze czy weterynarzu, Baratay pisze o koniu, który ciągnie, przeszutym byku i operowanej krowie. Sięgając po narzędzia naukowe, usiłuje on wykroczyć poza myślenie o komunikacji skupione na języku, w stronę odczytywania niewerbalnych sygnałów wysyłanych przez zwierzęta.

Na złość Kartezjuszowi

Ostatecznym ciosem wymierzonym antropocentryzmowi może być właśnie kwestia komunikacji. Dotąd język jawił się jako ostatni bastion naszej wyjątkowości. Posługiwanie się znakami symbolicznymi, których forma nie przypomina tego, do czego się odnoszą, uznawano za wyłączną domenę człowieka. W dobie oświecenia zwierzęta wykluczono z grona istot rozumnych właśnie dlatego, że nie używały języka. Kartezjusz porównał je więc do cielesnych maszyn – skoro nie mówią, to nie mogą być rozumne.

Wszystko to powoli traci na aktualności. W ciągu ostatnich kilku dekad naukowcy nie tylko odkryli rozbudowane systemy komunikacji wśród zwierząt, ale zdołali nauczyć niektóre gatunki sztucznych języków, które pozwalają uzyskać wgląd w ich preferencje czy zamiary. Część badaczy jest zdania, że różnica pomiędzy sposobami komunikacji używanymi przez braci mniejszych a tymi, którymi posługują się wspólnoty ludzkie, jest raczej ilościowa niż jakościowa. Au-

Chwila ostatecznego wypchnięcia zwierząt z historii

nadeszła wraz
z wyeliminowaniem ich
z pól bitewnych
na początku XX stulecia.

striacki zoolog Karl von Frisch już w latach 70. XX w. dowiódł, że pszczoły mają własny system komunikacji oparty na uniwersalnych zasadach (choć jest on dość ograniczony i nie sposób przekazywać w nim abstrakcyjnych treści). Delfiny butlonose i inne walenie wydają z siebie setki różnych gwizdów, których znaczenia możemy się tylko domyślać. Jednym z najbardziej znanych osiągnięć na polu komunikacji ze zwierzętami stało się wykorzystanie przez amerykańską badaczkę Sue Savage-Rumbaugh zaprojektowanego języka Yerkish. Posługując się abstrakcyjnymi znakami na monitorze komputera bonobo imieniem Kanzi spontanicznie nauczył się wyrażać swoje potrzeby, zamiary oraz informować o czymś inne osobniki (zarówno ludzi, jak i małpy).

Inni badacze, jak prymatolog Frans de Waal, wolą nie przeceniać znaczenia języka, ponieważ jest on stosunkowo niedoskonałym narzędziem opisu świata. Zdaniem de Waala rozdział między rzeczywistością a jej językowym obrazem jest tak duży, że warto więcej uwagi zwrócić na komunikaty niewerbalne, wykorzystujące dotyk czy zapach. To alternatywne wobec mowy sposoby komunikowania swoich myśli.

Wszystko to daje wyraz przekonaniu, że na świecie są istoty dysponujące takimi sposobami komunikacji i zdobywania wiedzy, które stawiają opór naszym wadliwym systemom językowym. Możemy więc uczyć szympansy używać języka graficznych symboli, lecz czy umożliwi on mówienie o ich „zwierzęcym” życiu, czy raczej wymusi naśladowanie ludzkich wartości i punktów widzenia?

W stronę dobrostanu

Skutkiem badań odsłaniających złożoność świata zwierząt było rozpoczęcie dyskusji

o innym niż dotąd uregulowaniu ich statusu prawnego. W 1994 r. wspomniany już Singer oraz Paola Cavalieri zapoczątkowali „The Great Ape Project”. Ta zrzeszająca badaczy różnych specjalności organizacja stawia sobie za cel przyznanie małpom człowiekowatym (bonobo, szympansom, orangutanom, gorylom) podstawowych praw, jak prawo do życia, prawo do wolności oraz prawo do niebycia torturowanym.

Inicjatywa Singera od początku była jednak obciążona wieloma ułomnościami. Postuluje bowiem nadanie praw wyłącznie niektórym gatunkom (tym „wyżej rozwiniętym”), co sprawia, że automatycznie nasuwają się pytania, co z innymi zwierzętami lub jak w kategoriach praw ująć inteligencję roju pszczół czy stada owiec? Nieco mniej radykalnym nurtem w ramach dyskursu o prawach zwierząt jest abolicjonizm, który zasadza się na myśli, że zwierzęta nie mogą być niczyją własnością, nawet jeśli są dobrze traktowane.

Kompromisem między niczym nieograniczoną eksploatacją a radykalnymi koncepcjami porzucenia hodowli w duchu Singerowskiego „wyzwolenia zwierząt” jest działanie na rzecz ich dobrostanu, czyli maksymalnego zredukowania stresu, bólu oraz cierpienia. I choć wśród naukowców nie ma zgody co do dokładnej definicji dobrostanu, to jest to próba pozytywnego odczytania walki o prawa zwierząt, a punkt wyjścia dla niej stanowi uznanie ich zdolności do odczuwania cierpienia.

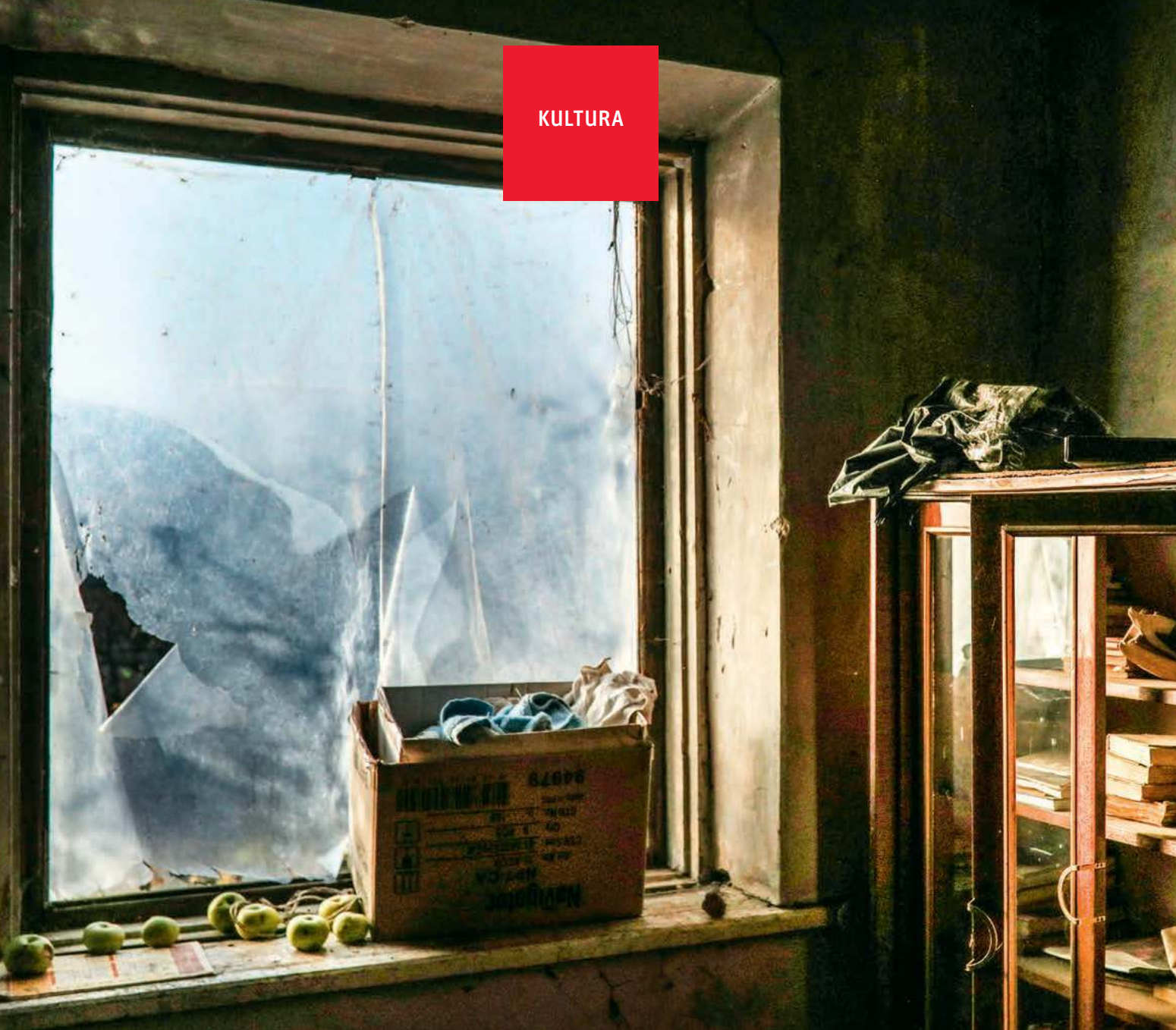
Niewątpliwą zaletą koncepcji dobrostanu jest możliwość walki o stawiane sobie cele drogą tradycyjnie rozumianej rywalizacji politycznej (w Holandii, Wielkiej Brytanii czy Niemczech od lat istnieją partie, których głównym celem jest poprawa bytu zwierząt) oraz wprowadzania w życie konkretnych norm prawnych (jak uchwalona przez UNESCO Światowa Deklaracja Praw Zwierząt).

Znajdujemy się dopiero na początku drogi otwierającej nas na świat nieznanego, nie-ludzkiego innego. Kluczowym czynnikiem w egzekwowaniu dobrostanu i ewentualnym poszerzaniu jego definicji wciąż pozostaje jednak człowiek. *Homo sapiens* ma w tym względzie wyłączną sprawczość, i to na nas spoczywa odpowiedzialność określenia przyszłych reguł współistnienia z innymi gatunkami.

© TOMASZ TARGAŃSKI



„Książki w Tygodniku” bez dotacji MKiDN. Ukazują się dzięki Wydawcom książek i Darczyńcom Fundacji Tygodnika Powszechnego

A photograph of a window with a broken pane, a cardboard box on the sill, and a wooden cabinet to the right. The window is framed in wood and has a large section of the glass missing, revealing a bright, overcast sky. A cardboard box sits on the windowsill, containing some blue fabric. Several green apples are scattered on the sill in front of the box. To the right of the window is a wooden cabinet with glass doors, filled with books and papers. A dark cloth is draped over the top of the cabinet.

KULTURA

KRZYK, MILCZENIE I INNY GŁOS

W świecie, w którym wojna jest podstawowym modelem społecznych relacji,
ta prosta rzecz – słuchać, być słuchanym – staje się najwyższą wartością.
I najbardziej nieosiągalną.

MACIEJ JAKUBOWIAK



Opuszczony dom w miasteczku Spartak na granicy terytoriów Donieckiej Republiki Ludowej i Ukrainy. Listopad 2018 r.

istnienia, tera mechanizmem decydowania jest walka. Nie były to tylko odczucia, również socjologowie dowiedli, że ci nie nawidzą tamtych bardziej niż tamci tych. W każdym razie – nienawidzą.

Nieliczne głosy – w tym redakcji „Tygodnika Powszechnego” – nawołujące, by w obliczu śmierci zachować choćby na chwilę milczenie, były od razu zakrzykiwane. Żądano jasnych deklaracji: jesteś z nami albo z nimi.

Wszystko jest polityczne – twierdzono – nawet milczenie jest polityczne, a wypowiedzi w rodzaju ludzkiej przyzwoitości świadczą tylko o naiwności.

Trzy opowieści

Głównym bohaterem – choć jaki tam z niego bohater, więc może: główną postacią – wydanego właśnie po polsku „Internatu” Serhija Żadana jest Pasza. Ma trzydzieści parę lat, uczy języka ukraińskiego, razem z ojcem i siostrą mieszka w osadzie przy stacji kolejowej gdzieś we wschodniej Ukrainie. W kraju trwa wojna, oddziały się przemieszczają, telewizja transmituje obrazy walk, podobno front zbliża się od strony miasta. Pasza wołałby nic o tym nie wiedzieć i dalej zajmować się swoimi sprawami, przygotowywać lekcje, sprawdzać zeszyty. Ale w mieście, w internacie, został jego siostrzeniec i teraz trzeba przyprowadzić go do domu. Pasza wyrusza więc w drogę, która powinna być prosta – autobus do miasta odjeżdżał dotąd regularnie – ale wydłuża się w nieskończoność i prowadzi przez kolejne punkty kontrolne, rozmaite schrony ludności cywilnej, pogorzeliska po przesuwających się liniach frontu i miejskie zabudowania stopniowo obracające się w ruinę. Przez kraj na progu unicestwienia.

Najwyraźniejsze tropy są oczywiste: najpierw aneksja Krymu w marcu 2014 r., a chwilę później wojna w Donbasie. Na Krymie wszystko odbyło się w świetle dnia, za oficjalną zgodą rosyjskiej Dumy, ale w Donbasie sytuacja była – i wciąż jest – o wiele bardziej skomplikowana, zaangażowanie Rosjan, choć oczywiście, odbywało się pod kamuflażem, a wśród zwalczających się ugrupowań można się było pogu-

bić. To właściwie nic dziwnego, że Pasza nie wie, kto tu z kim walczy, kim są nasi, a kim tamci: „Kto to – nie wiadomo, nie mają żadnych flag, szewronów na mundurach z samochodu nie można dojrzeć, zresztą Pasza nie zna się na szewronach”.

Oczywiste ślady są jednak zwodnicze – Żadan zostawia je, aby zwabić pospiesznych tropicieli i wyprowadzić ich w las. Powieść – nie rezygnując z realizmu, tego militarnego i tego geograficznego – stopniowo odrywa się od politycznego tu i teraz i niepostrzeżenie przeradza się w alegorię. Nazwy kraju ani miasta nie padają ani razu, choć wspomina się o językach ukraińskim i rosyjskim – bo też tożsamości etniczne wcale nie są tu oczywiste, znacznie ważniejsze są te indywidualne.

Takie zacieranie konturów zachęca, by czytać „Internat” nie tylko jako historię pewnej wojny. Jest sporo prawdy w sugestii polskiego wydawcy, że książka Żadana ma wiele wspólnego z „Drogą” Cormaca McCarthy’ego, historią ojca i syna przemierzających postapokaliptyczny krajobraz południowych Stanów. Ale równie wiele łączy ją z „Życiem i czasami Michaela K.” Johna Maxwella Coetzee’go, opowieścią o powolnej wędrówce pewnego mężczyzny przez pobojuwisko wojny domowej w Republice Południowej Afryki.

Te trzy powieści układają się w alegoryczną historię o pojedynczych ludziach przygniatanych i powoli miażdżonych przez nacierające ze wszystkich stron siły zbiorowości. I o wątpliwościach związanych z próbą zachowania odrębności w czasach, które domagają się przynależności.

Żadnego światła

Droga wiedzie bohaterów do konkretnego celu: internatu w mieście, wybrzeża, rodzinnego domu matki – ale ich wędrówki nie mają w sobie nic z pielgrzymki. To raczej ucieczka – pierwszy odruch tych, którzy w toczących się ponad ich głowami konfliktach mogą liczyć zaledwie na ocalenie życia.

Bo choć pozornie wojna toczy się między wrogimi sobie siłami, to właściwa i prawdziwa linia frontu oddziela silnych od słabych: wojskowych od cywili, mężczyzn od kobiet i dzieci. Tych, którzy podczas konfliktu mają do odegrania swoje role, od tych, którzy stanowią zbędny balast, irytującą przeszko. Miejsce takich jak Pasza czy Michael K. jest po tej drugiej stronie, o czym wiedzą nawet zwierzęta: ➔

TRUDNO POWIEDZIEĆ, KIEDY TO SIĘ ZACZEŁO. Czy to kwestia ostatnich czterech lat, ostatnich dwunastu, całej epoki po transformacji, czy – by sięgnąć jeszcze głębiej – nieprzepracowanego spadku po feudalizmie i rozbiorach? Tak czy inaczej, kiedy 14 stycznia 2019 r. w gdańskim szpitalu zmarł Paweł Adamowicz, stało się jasne, że różnice poglądów nie są tylko różnicami poglądów – są pozycjami bojowymi. Zapanował – przynajmniej w sferze politycznej wyobraźni, ale jej bagatelizowanie nigdy nie jest rozsądne – stan wyjątkowy, kiedy, jak w definicji Carla Schmitta, decydują się nie sposoby funkcjonowania wspólnoty, ale same ramy jej

→ „Pies też to czuje, nikomu tu nie jest potrzebny, nikt go tu nie trzyma i liczyć może tutaj nie tyle na czyjaś wielkoduszność, ile na słabość. Być może dlatego nieomylnie wybrał Paszę”.

W świecie konfliktu jedyną zasadą pozostaje naga siła („Świat wkrótce zaludnili mężczyźni, którzy zjadali dzieci na oczach ich rodziców” – pisze McCarthy), a przetrwanie – bardziej niż kiedykolwiek – zależy od ślepego trafu: cudem odnalezionej kryjówki, schronu z zapasami żywności. Albo arbitralnej decyzji tych, którzy jako jedyni mogą podejmować decyzje: „Patrol się zatrzymuje. Żołnierze zastanawiają się: iść za nim, znaleźć go, rozstrzelać za kolumnami czy niech sobie żyje? Niech sobie żyje, myślą. I Pasza żyje”.

Jeśli jednak żołnierze mogą liczyć na swoje miejsce w wojskowej hierarchii, to cywile są pozostawieni sami sobie. Zagrożeniem stają się więc wszyscy inni – mogący przynieść ratunek, ale równie dobrze zgubę. „Musimy zejść z szosy. Dlaczego? Ktoś nadchodzi. Żli ludzie? Tak. Niestety chyba tak. A może to dobrzy ludzie? Czy to niemożliwe? Nie odpowiedział” („Droga”). Ta niemożliwość bierze się również z tego, że sami uciekinierzy nie palają chęcią niesienia pomocy innym. Tak jak ojciec z „Drogi”, który poucza syna, że pomaganie innym jest równoznaczne ze zmniejszaniem własnych szans na przetrwanie. Tak jak Michael K.: „Czy ja wierzę w pomaganie ludziom? – myślał. Mógłby pomagać ludziom, mógłby im nie pomagać, nie wiedział z góry, wszystko było możliwe”.

Nawet przyroda – ostatnia ucieczka przed historią – staje się nieprzyjazna,

nabierając cech toczącego się konfliktu. „Mgła zupełnie się rozproszyła i nad miastem wisi okrągły księżyc koloru podświetlonego sera, podświetlony od dołu na czerwono, jakby zmoczył się ciepłą krwią. Niebo jest puste, zupełnie puste, ani jednej gwiazdy, żadnego ruchu, tylko martwe światło pełni nad tą doliną śmierci, którą muszą przejść od początku do końca” – pisze Żadan. A McCarthy dodaje: „spojrzał na wschód w poszukiwaniu jakiegokolwiek światła, ale żadnego nie było”.

Stopniowo staje się jasne, że skłaniająca do ucieczki wojna jest tylko najbardziej wyrazistym przejawem sił, które działają w świecie od dawna. Obóz dla uchodźców, do którego trafia Michael K., jest tylko powiększoną wersją zakładu, w którym nauczyciel „kazał uczniom siedzieć z rękami na głowach, mieli zacisnąć usta i zamknąć oczy, a on sam, z długą linijką w dłoni, przechadzał się między rzędami, jak na patrolu”.

Pasza, przemierzając bombardowane miasto, zdaje sobie sprawę, że wojna panowała już wcześniej, także w jego szkole, gdzie chłopcy znęcali się brutalnie nad „Dimką z zajezdni – chudym, z nierozwiniętymi ramionami”, a nauczyciele woleli tego nie widzieć.

Wyobcowanie od ludzi i świata sprawia, że – jak twierdzi w „Drodze” niedowidzący prorok – „najlepiej być samemu”. Stać się, jak Michael K., „najwyżej pyłkiem na powierzchni ziemi”. Tylko w ten sposób można zachować życie: wycofując się z relacji z otoczeniem i polegając wyłącznie na sobie. Z człowieka politycznego, uwikłanego we wspólnotę, stając się człowiekiem

technicznym, oddanym czynnościom, od których zależy przetrwanie. „Droga” pełna jest takich detalicznych opisów: składania i rozkładania plandeki, konserwowania kótek w wózku, wydobywania ostatnich kropeł benzyny z pustych butelek.

Ostatecznie właśnie w tym – w mechanicznie powtarzanej czynności, podtrzymującej życie sprowadzone do biologicznego minimum – upatruje nadziei bohater Coetzee: „wydobyłby z kieszeni łyżeczkę do herbaty i duży kłębek sznurka. Odgarnąłby gruz z wylotu szybu, wygiął trzonek łyżeczki na kształt pętli, przywiązał do niej sznurek, po czym opuszcł do szybu, daleko w głąb ziemi, a kiedy wyciągnąłby łyżeczkę z powrotem, byłaby pełna wody. I w ten sposób – powiedziałaby – można żyć”.

Albo – albo

Bezpartyjny jest też Pasza, którego nie interesują lokalne przepychanki i nastroje społeczne. Uczy języka ukraińskiego, ale jeśli trzeba, swobodnie przekracza jego granice. „Czego mam się bać? – pyta sam siebie Pasza. Nie ma czego się bać, niczego nie jestem winien, odpowiada sam sobie. Nikogo tu nie wołałem, nikogo nie wyganiałem. Po prostu robię swoją robotę”.

Sam jednak nie do końca w to wierzy. „No a kiedy strzelają do pana siostrzeńca – też nie jest pan po żadnej stronie? Kiedy pociski przylatują do internatu, w którym on mieszka? To przeciwko komu walczyć? Przeciwno mnie? – Nie wiem, kto strzela. – Naprawdę? – dziwi się spokojnie Nina. – A ja wiem. Chce pan, to panu powiem”. W konfrontacji z jedyną liczącą



GRAŻYNA MAKARA

SERHIJ ŻADAN w rozmowie
z Michałem Sowińskim
(„Tygodnik Powszechny” 8/2019)

ZALEŻAŁO MI NA TYM, ŻEBY

w „Internacie” pokazać niezwykle charakter wojny ukraińsko-rosyjskiej. Ona płynnie przenika się z normalnym życiem. Czasem naprawdę wystarczy przejść kilkanaście metrów, żeby z codzienności przenieść się do sytuacji granicznej, gdzie wszystko zostaje postawione na głowie. Jeśli masz wystarczająco dużo szczęścia, możesz się cofnąć, wrócić do normalnego życia. (...)

W ostatnim czasie to jeden z najboleśniejszych tematów dla nas wszystkich – szukanie tożsamości, jej zmiana, ciągłe wstuchiwanie się we własne odczucia, analizowanie ich. Z tego wszystkiego wytywa wiele tematów pochodnych – kwestia języka, kultury, Kościoła, historii. To są rzeczy, które z pewnością z czasem zmieniają społeczeństwo. Ale w tym tempie to bardzo bolesne: nazywanie rzeczy po imieniu, mówienie o własnych traumach,

wypełnianie białych plam przeszłości, patrzenie z odwagą w przyszłość. I ten podział na „swoich – cudzych”, na „my – wy” bywa bardzo skuteczny i użyteczny, ale też skrajnie upraszczający i niekonstruktywny. Dlatego tak chętnie wykorzystują go wszelkiego rodzaju szarlatani i populiści. ©

Z ukraińskiego przełożyła
WERONIKA GOGOLA

Rozmowa dostępna na
powszech.net/zadan

się stawką – życiem chłopca – apolityczność Paszy okazuje się nie tylko wyrazem naiwności, ale przede wszystkim świadomym wyborem, aby nie wiedzieć. Wycofaniem się na bezpieczne pozycje, które pozwalają uniknąć zaangażowania, a może nawet ocalić życie, ale kosztem utracenia czegoś, być może, ważniejszego. Czegoś, co sprawiałoby, że życie jest warte zachowania („Mnóstwo złych rzeczy się stało, ale my żyjemy. No tak. Nie uważasz, że to dużo? Może być” – rozmawiają ojciec i syn w „Drodze”).

W końcu bezpartyjność Paszy, jego niechęć do angażowania się w konflikty sięga znacznie głębiej niż konflikt dwóch armii. Ta sama ostrożność sprawiła, że kiedy siostra chciała oddać sprawiającego problemy chłopca do internatu, Pasza nie znalazł w sobie siły, aby się temu przeciwstawić: „Co ze mnie taki słabiak? – myśli, dostając zadyszki. Dlaczego go nie obroniłem? On mi przecież tego nigdy nie wybaczy. Nigdy, zgadza się ze sobą samym Pasza, za nic”.

Właśnie odpowiedzialność za słabszych – nawet niechciana – sprawia, że musi on w końcu stać się kimś, kim nie jest. Kiedy dołącza na dworcu kolejowym do szukających ratunku kobiet i dzieci, jako jedyny mężczyzna zostaje – paradoksalnie: za sprawą swojej inercji – zmuszony do za troszczenia się o innych („myśli: to przecież odpowiedzialność, i to jaka odpowiedzialność – prowadzić po ciemku słabo znanych ludzi w nieznany kierunek. Pasza nie jest do tego przyzwyczajony”). Ale to tylko przygrywka, bo największa odpowiedzialność pojawia się, gdy trzeba bezpiecznie doprowadzić siostrzeńca do domu. Wtedy Pasza zaczyna rozumieć, że to kwestia odegrania roli, wykonania gestów, do których może nie ma przekonania, ale które w tych okolicznościach są niezbędne: „– Schodzimy? – pyta sam siebie Pasza. Mały ledwo zauważalnie kiwa głową, ale dalej stoi, nie rusza się. Wtedy Pasza bierze go mocno za rękę, tak mocno, jak może. Mały łapie jego dłoń, chwytając się jego martwych palców jak czegoś, co jest jedynym, czemu można w tym życiu zaufać, i ruszają”. To troska o chorą matkę sprawia, że Michael K. podejmuje ostatnie wysiłki, by wymóc coś na ludziach, zanim na dobre pograży się w apatię. „Nie uratujesz się dla samego siebie” – słyszy w powieści McCarthy’ego ojciec, dla którego opieka nad synem staje się jedynym powodem, aby nie odejść razem z ginącym światem.

W świecie konfliktu
jedyną zasadą
pozostaje naga siła,
a przetrwanie zależy
od ślepego trafu: cudem
odnalezionej kryjówki,
schronu z zapasami.
Albo arbitralnej decyzji tych,
którzy jako jedyni mogą
podejmować decyzje.

Tak właśnie zarysowywałby się wybór: albo samotność, pozwalająca bezpieczne się wycofać i zachować własne życie, ale stracić powody, by żyć; albo zaangażowanie, niewygodne i nieprzewidywalne, aby uratować nie tylko innych, ale i siebie. Tyle że to wcale nie jest takie proste. Apolityczność może wydawać się bezpiecznym i łatwym wyborem, ale przecież wojen nie rozpętują wycofani naiwniacy w rodzaju Michaela K. i nie milczący Pasza odesłał chłopca do internatu („Ich tutaj jak szczenięta do schroniska zwożą” – tłumaczy mu wuefista), lecz jego siostra, stanowiąc gotowa narzucać innym swoją wolę. Ale rolę się odwracają i to właśnie na nim, bezpartyjnym męczaku, spoczywa teraz zobowiązanie, aby przyprowadzić chłopca bezpiecznie do domu. A żeby mogło się to udać, Pasza nie może po prostu zaangażować się w walkę – zresztą nikt by go nie chciał po swojej stronie, z tą jego bezwładną dłoń. Nawet odgrywając rolę odpowiedzialnego człowieka, przemyska chyłkiem między ruinami i liczy na to, że pozostanie niezauważony. Apolityczność staje się niezbędna, aby odkręcić katastrofalne skutki nadmiernego rozpolitykowania, które jest reakcją na apolityczną inercję, która jest niezbędna... Wydawałoby się, że z tego błędnego kręgu nie ma wyjścia.

Ciszej

W internacie Pasza spotyka nauczycielkę, Ninę, cieszącą się wśród dzieci autorytetem, którego on sam nie jest w stanie z siebie wyrzesać. Nie chodzi jednak o to, że Nina mówi głośniej: „Dlaczego ich strach cofa się przed jej słowami? Możliwe, że

przez jej cichy i spokojny głos. Takim głosem się nie grozi. Takim głosem nawet się nie broni. Takim głosem właśnie mówi się o tym, że niekoniecznie trzeba się bać. Po prostu wszyscy inni tu krzyczą. Ciągłe. W domu. Na ulicy. W miejscach publicznych. W miejscach masowego wypoczynku”.

Ściszony głos nie jest ani polityczny, bo nie tworzy konfliktów, ani apolityczny, bo nie rezygnuje z zaangażowania. Pozwalając na chwilę porzucić lęk, tworzy warunki do tego, żeby rozmawiać – słuchać i być wysłuchanym. Tak jak w chwili, gdy Pasza staje się mimowolnym świadkiem umierania młodego żołnierza, którego ostatnim życzeniem jest rozmowa z kimś z rodziny. Pasza więc dzwoni. „Naciska na guzik, słucha. I zauważa, że żołnierz też słucha”. Ale nikt nie odbiera, sygnał się przeciąga, a gdy Pasza mówi w myślach: „Odbierajcie telefon. Niech ktokolwiek odbierze. Dlaczego nikt nie odpowiada, gdzie wszyscy jesteście? Gdzie jest ktokolwiek? Gdzie jesteście?” – to staje się jasne, że nie mówi tylko o tym telefonie i o tym żołnierzu. W świecie, w którym wojna jest podstawowym modelem społecznych relacji, ta prosta rzecz: słuchać, być słuchanym – staje się najwyższą wartością. I zarazem najbardziej nieosiągalną.

Ściszony głos wcale nie obiecuje, że konflikty da się łatwo zażegnać, a przeszłość wymazać („nikt niczego nie zapomni, nikt niczego nie zostawi w przeszłości” – zdaje sobie sprawę Pasza). Ale tylko on – nie apolityczne milczenie, nie rozpolitykowany krzyk – pozwala chociaż żywić nadzieję, że „w tym świecie i tak znajdzie się dla nich miejsce, wystarczy czasu, żeby wszystko ułożyć, wystarczy przestrzeni, żeby nie przeszkadzać sobie nawzajem. (...) Wystarczy miejsca dla przyjaciół i znajomych, na niekonieczne rozmowy, przelotne zachwyty, nieuświadomiony strach. Dla wrogów też miejsca wystarczy, dla obraz, na hańbę, na ostatnie nastoletnie lzy w poduszkę, których nikt nie zobaczy, ale których nigdy nie zapomnisz. Na wszystko wystarczy miejsca, bo wszystko właśnie tak powstawało”. © MACIEJ JAKUBOWIAK

Serhij Żadan **INTERNAT**, przeł. Michał Petryk, Czarne 2019;

Cormac McCarthy **DROGA**, przeł. Robert Sudół, Wydawnictwo Literackie 2017;

John Maxwell Coetzee **ŻYCIE I CZASY MICHAELA K.**, przeł. Magdalena Konikowska, Znak 2010.

Słusznie wyproszeni

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Rozumienie kobiet przez mężczyzn to wciąż zawłaszczanie i projekcja. Może właśnie tu zaczyna się prawdziwy zwrot, by nie powiedzieć: rewolucja w uznaniu swojego niezrozumienia.

REŻYSERKA MAJA KLECZEWSKA TO POWAŻNY KŁOPOT dla chcących mówić o polskim teatrze współczesnym w kategoriach podziału na „artystyczny profesjonalizm” vs. „polityczne zaangażowanie”. Laureatce Paszportu „Polityki” (2006), Srebrnych Lwów na Biennale di Teatro w Wenecji (2017) i ubiegłorocznej Nagrody im. Konrada Swinarskiego nie sposób odmówić twórczej dojrzałości i scenicznej precyzji. Dwa jej ostatnie głośne przedstawienia są równie wyrafinowane i precyzyjne, co prowokacyjne i buntownicze.

W sprawie

Absolwentka dawnej PWST w Krakowie, zadebiutowała w Teatrze im. Słowackiego głośnym niegdyś „Jordanem” Anny Reynolds i Moiry Buffini (2000), od razu zwracając na siebie uwagę. Tak się jakoś dziwnie złożyło (doprawdy nie pamiętam już dlaczego), że tego krakowskiego przedstawienia nie widziałem. Z twórczością Kleczewskiej spotkałem się po raz pierwszy, oglądając zrealizowaną przez nią w Wałbrzychu adaptację „Lotu nad kukułczym gniazdem” Kena Keseya (2002), którą przekształciła w przedstawienie o potransformacyjnej Polsce, obsadzając w rolach najcięższych chorych pacjentów oddziału siostry Ratched naturszczyków o zniszczonych twarzach, tak dobrze znanych z dworcowych poczekalni wielkich miast. Wtedy pisałem: „ich sceniczna obecność – niezwykle silna mimo małego udziału w poszczególnych zdarzeniach – nadaje spektaklowi inny wyraz, czyni z twórców teatralnych kogoś w rodzaju artystycznych rzeczników, ukazujących w opracowany scenicznie sposób metaforę autentycznego dramatu ludzi niemających dość siły, by być jak McMurphy, by samemu kształtować swój los”. Przepraszam, że cytuję sam siebie, ale to zdanie wydaje mi się dotyczyć czegoś, co w twórczości i postaci Kleczewskiej do dziś zachowuje aktu-

alność, powracając też w spektaklach najnowszych.

W świadomości kręgów teatralnych szerszych niż osoby śledzące dokonania obiecujących debiutantek Kleczewska pojawiła się za sprawą głośnych spektakli szekspirowskich: „Makbeta” z Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu (2004) i „Snu nocy letniej” ze Starego Teatru (2006). Przeniesione w popkulturę współczesność, gwałtowne, brutalne, naruszające obyczajowe tabu, które wtedy wydawały się chwiać, a dziś trwają jakby wzmocnione, przedstawienia te wywołały tyleż zachwytów, co dyskusji. Już wtedy jednak dała o sobie znać dwójka ocena teatru Kleczewskiej, którą właśnie jako gniewną, ale artystycznie wybitną niemal demonstracyjnie zaprosił do współpracy Jan Englert. Kleczewska nie związała się jednak z Teatrem Narodowym.

Zamiast tego stała się współtwórczynią wyjątkowej pozycji, jaką w pierwszych dekadach XXI wieku miał Teatr Polski w Bydgoszczy. Za dyrekcji Pawła Łysaka zrealizowała tam nie tylko kolejną inscenizację Szekspira („Burza”, 2012), ale przede wszystkim przedstawienia wykorzystujące teksty Elfriede Jelinek – autorki, którą sobie szczególnie upodobała. Po przeprowadzce Pawła Łysaka do Teatru Powszechnego w Warszawie Kleczewska w sposób niemal oczywisty znalazła się w gronie współpracowniczek „teatru, który się wtrąca”. Jednak większy rozgłos zdobyły jej spektakle realizowane we współpracy z Teatrem Żydowskim w Warszawie: „Dybuk” według Szymona An-skiego (2015) i „Malowany ptak” według Jerzego Kosińskiego (2017) – oba stanowiące mocny głos w toczącej się wciąż i wciąż zagłuszanej dyskusji o polskiej (nie)pamięci Zagłady.

Choć sama reżyserka w rozmowie z Mikiem Urbaniakiem ironizowała na temat

postrzegania jej jako „młodej gniewnej”, to mimo osiągnięcia przez jej teatr metrykalnej dojrzałości, stale zachowuje taką pozycję. Kleczewska nadal wymyka się i uwiera, nadal serio dąży do tego, by – jak mówiła Urbaniakowi – widz wyszedł z teatru dotknięty, nadal nie daje mu „miłych chwil”. Jej najnowsze przedstawienia potwierdzają, że mogłaby wciąż uznać za motto cytat z Michała Bakunina, który ponad 30 lat temu nosiła na przypince moja zbuntowana koleżanka: „Tak długo będę niemożliwa, aż przestaną być możliwi ci, którzy są nimi dzisiaj”.

Progi normalności

Dwa najnowsze przedstawienia Kleczewskiej mają zupełnie odmienne rytmy i estetyki. Łączy je jednak wiele cech i elementów ważniejszych niż różnice materiału wyjściowego i końcowego efektu scenicznego. Przedstawienie pierwsze, wcześniejsze, to obsypana nagrodami i superlatywami krytycznymi teatralna adaptacja scenariusza Johna Cassavetes’a do słynnego filmu „Kobieta pod presją”, zrealizowana rok temu w Teatrze Śląskim w Katowicach jako „Pod presją” (premiera 23 marca). Za niemal demonstracyjny ślad filmowego źródła uznać można narrację wizualną. Wiszący nad sceną ogromny ekran niemal dorównuje wielkością przestrzeni tego, co teoretycznie jest „planem żywym”, choć odpowiedź na pytanie, gdzie toczy się życie głównej bohaterki Mabel (Sandra Korzeniak), nie jest wcale tak jednoznaczna, jak by się na pozór mogło wydawać. Pierwsze sekwencje są niemal obyczajowymi wyimkami z codzienności. Trójka dzieci Mabel i Nicka (Piotr Bułka, jak cały katowicki zespół znakomicie partnerujący Korzeniak) zostaje oddana pod opiekę jej matki. Nick nie wraca na noc z pracy, bo zatrzymuje go awaria. Mabel trafia do baru i wdaje się we flirt z siedzącym w nim samotnym mężczyzną, by rano ze zdziwieniem zostać przez niego obudzona we własnym domu. Nick niespodziewanie wpada na śniadanie z grupą kolegów.

Gdyby nie długie sekwencje muzyczne, stopniowe zaburzenie zgodności obrazu i sceny, może wcale nie przeculiśmy, że dzieje się tu coś niecodziennego. I oczywiście gdyby nie Sandra Korzeniak, która od początku tworzy postać niepokojąco niemierzającą się w rolach podsuwanych jej przez męski scenariusz. W odróżnieniu od filmu Cassavetes’a, który dość ła-



MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA GAZETA

Maja Kleczewska, marzec 2014 r.

two daje się opowiedzieć w kategoriach psycho- i socjologicznych, reżyserka i aktorka od początku wystrzają nieprzystawalność Mabel, zarazem pozbawiając jej „szaleństwo” stopniowania i wyjaśnienia. Mabel nie staje się, ale od początku jest inna, czego wydają się – ku naszemu zdziwieniu – nie dostrzegać ludzie otaczający ją na scenie. Dopiero w czasie porannej wizyty Nicka i jego kolegów zaczyna do siedzących przy stole mężczyzn dochodzić, że jedyna wśród nich kobieta nie mieści się w ich sposobach porządkowania świata. Przerywający coraz bardziej niekonwencjonalne śniadanie wybuch męża to pierwsze potwierdzenie, że oczekiwana przezeń „normalność” jest iluzijną projekcją.

Od tej sekwencji stale narasta niepokój i napięcie, które kulminuje w scenie kinderbalu z tańcem dziecięcej śmierci do motywu Czarnego Łabędzia z baletu Czajkowskiego (Kleczewska z niezwykłą subtelnością wygrywa tu skojarzenia z inną „szaloną” kobietą z innego filmu). Zaraz po niej następuje porażająco zainscenizowana i zagrana sekwencja ataku Mabel, zakończona zabraniem jej do szpitala dla obłąkanych.

Korzeniak tworzy tu majstersztyk współczesnego aktorstwa, dalekiego od stereotypowych wyobrażeń o realistycznym „przeżywaniu” szaleństwa na scenie. Choć napięcie jej ciała i głosu pełne jest emocji i żywych energii, to nie ma tu rozkiełzania psychiki – jest precyzyjna

partytura zbudowana na rytmach i kompozycjach działań fizycznych, której siłę wzmacnia precyzja inscenizacji (choćby rytm przechodzącego przed kamerą Nicka) i pełna nieznośnego wręcz napięcia muzyka Cezarego Duchnowskiego.

A potem wszystko zdaje się zanurzać w błękitnym chłodziu odzyskanego męskiego świata. Nick z dziećmi nad jeziorem pozwala nawet najmłodszemu pić piwo i nie reaguje, gdy synek mimo krzyków córek wali kijem w ciało martwego czarnego łabędzia leżącego na brzegu. Jesteśmy na progu „normalności”. Za chwilę Mabel wróci do domu...

Nie dowiemy się, czy te przepiękne w swym okrucieństwie sekwencje filmowe pokazują „realną rzeczywistość”, tak jak nie dowiemy się, co jest źródłem „szaleństwa” Mabel. Sugestie, że wszystko zaczęło się, gdy w dzieciństwie była wykorzystywana seksualnie przez ojca, są podsuwane z całą mocą teatralnej dotkliwości, ale ani jedno słowo czy obraz nie przekroczy granicy jednoznaczności. Gdyby to była klasyczna *well-made play* albo hollywoodzki scenariusz, w finale padłoby oskarżenie. Tu jednak zamiast niego jest tylko wydane przez Mabel polecenie, by ojciec wstał. A po wyjściu wszystkich zostaje wyłącznie jej twarz na ekranie. Twarz, na którą patrzą widzowie i patrzy przez chwilę sama Mabel/Korzeniak – ona jedna może rozumiejąca, co się kryje za jej bladością i oczyma przymrużonymi, jakby raziło je zbyt ostre światło.

Kobiety Dionizos

Ta sama blada twarz-maski powraca jako oblicze Dionizosa, który objawia się nie w antycznych Tebach, ale tu i teraz. „Bachantki” według Eurypidesa zrealizowane w Teatrze Powszechnym w Warszawie (premiera 7 grudnia 2018) umieściła Kleczewska w instalacji Jonasa Staala „Unionizing the Polish Parliament”, czyli przestrzennej reinterpretacji sali sejmowej. Greckie imiona mityczne wprawdzie zachowano, ale stanowią one raczej nazwy funkcji czy figur. Zdają się zresztą mieć znaczenie tylko w jednym przypadku – Penteusza (Michał Czachor). Bachantki (Karolina Adamczyk, Aleksandra Bożek, Magdalena Koleśnik, Karina Seweryn) to współczesne Polki wprost opowiadające o opresji, w jakiej się znajdują, a zarazem stawiające jej opór zarówno poprzez symboliczne gesty, jak też bardzo praktyczne i konkretne instrukcje.



→ Aktualność walki kobiet i walki z kobietami oddającymi cześć „obcemu” bogu ustanawiana jest także przez podejmowane na różne sposoby próby włączania w jej krąg widzek siedzących po prawej stronie owalnej sali (zaraz po wejściu kobiety oddziela się od mężczyzn, sadzanych po lewej).

To są najbardziej dwuznaczne elementy już nie przedstawienia, ale teatralnego wydarzenia powoływanego przez Kleczewską i zespół Teatru Powszechnego. Bo widzki niby są włączane do gry, ale zarazem pozostają poza nią. Niezależnie od tego, czy z zaangażowaniem ruszają na początku w taniec inicjowany przez przebranych za kobiety mężczyzn (Michał Jarnicki, Mateusz Łasowski), czy opierają się lub wręcz odmawiają dołączania do „grupy wsparcia”, współtworzą inscenizację społecznych reakcji na radykalne protesty kobiet. Inność aktorek kobiecego protestu nie zostaje zniesiona i byłoby naiwnością twierdzenie, że dzieje się tak, bo Kleczewska nie dostrzega fałszu powoływanych teatralnie sytuacji *quasi*-uczestnictwa.

Jak przenikliwie zauważył już w swojej recenzji na portalu teatralny.pl Piotr Dobrowolski, relacje między aktorkami i widzkami „Bachantek” są analogiczne do tych, które powstają między protestującymi na ulicach aktywistkami a kobietami, które włączają się lub nie do ich działań. Kleczewska nie prześlepia nieufności, a czasem wręcz niechęci kobiet do kobiecych protestów. Jeśli podejmowane przez jej aktorki próby objęcia akcjami buntu wszystkich obecnych na sali widzek nie odnoszą całkowitego sukcesu, to nie dzieje się tak na skutek nieprzewidywanego i niedostrzeganego oporu. Ta

porażka jest częścią przedstawienia, jest wystawiana jako element sytuacji, jedna z linii społecznych napięć czy też przeciwnie: społecznej atrofii. To, że Dionizos jest w tym przedstawieniu kobietą, wcale nie oznacza, że wszystkie kobiety rozpoznają ją jako swoją. Ale nie ma wątpliwości, że to do nich przychodzi...

Może dlatego, że widziałem „Bachantki” w bezpośredniej bliskości czasowej „Pod presją”, miałem nieodparte wrażenie, że znalazłem się wobec tej samej postaci radykalnej kobiecej inności. Wobec tej samej świetliście bladej twarzy i łudząco ładnego głosu. Może też dlatego bez wahania przyznałem, że finałowe objawienie, które zapowiadała, jest nie dla mnie. Spektakl widziałem kilka tygodni po premierze i oczywiście od wielu osób już słyszałem, że zgodnie z wolą reżyserki ostatnią scenę mogą oglądać tylko kobiety, ale też że opornych nikt na siłę nie wyrzuca. Wchodząc do teatru naprawdę nie wiedziałem, jak się zachowam. Jednak gdy inspicjent Teatru Powszechnego grzecznie poprosił mężczyzn o opuszczenie sali, bez wahania wyszedłem. Nie ze strachu przed losem podglądacza Penteusza, ale w przekonaniu, że objawienie kobiecej inności nie jest i nie powinno być mi dostępne.

Trzeba, żebyś nie rozumiał

O obu przedstawieniach – demonstracyjnie kobiecych, choć współtworzonych przeciw przez mężczyzn (by wymienić tylko od lat współpracującego z Kleczewską dramaturga Łukasza Chotkowskiego) – piszę z nieusuwalnie męskiej perspektywy. Piszę jako obserwator inności, do której nie mam dostępu. Wydaje mi się wręcz fundamentalnie ważne, by nie

udawać, że go mam, że coś naprawdę rozumiem. Rozumienie kobiet przez mężczyzn to wciąż zawłaszczenie i projekcja. Może właśnie tu zaczyna się prawdziwy zwrot, by nie powiedzieć: rewolucja w uznaniu swojego niezrozumienia i tego, że – jak pisze cytowana w programie do „Pod presją” Tatyana Fazlalizadeh – wszyscy mężczyźni są seksistami. Nie ukrywałem się więc na sali, gdy wyproszono nas w finale „Bachantek”. I nie będę przeczył, że w finale „Pod presją” lepiej niż ją rozumiałem męża Mabel, nawet jeśli widziałem i wiem, że jego rozpaczliwe próby „normalności” i polecenia „bądź sobą” były żalosnym usiłowniem zachowania własnej przewagi.

Może jakąś rolę w odruchowym wręcz przyjęciu takiej postawy odegrało przedstawienie należące do zupełnie innej tradycji, które kilka tygodni wcześniej oglądałem jako jedyny widz. Cztery członkinie Workcenter of Jerzy Grotowski and Thomas Richards stworzyły przedstawienie „Dark is My Mother”. Używając pieśni tradycji śpiewanych całym ciałem i przekształcanych w energetyczne wehikuły, kwartet wywodzących się z różnych krajów i kultur performererek powołał doświadczenie, które dla mnie było spotkaniem z czymś niemal beczennym, ale (nie) dostępnym inaczej niż jako radykalna inność. Skarb, którego za żadne skarby nie mogę mieć i który – co niezwykle ważne – budzi podziw, ale nie pragnienie. Nie użyłbym wobec niego imienia „Dionizos”. Ale wychodząc z Teatru Powszechnego pomyślałem, że może właśnie to ukryte było pod maską kobiecego Bromiosa, objawiającego się za drzwiami, które właśnie zamknąłem. © DARIUSZ KOŚCIŃSKI

W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA” ZNAJDĄ PAŃSTWO

specjalny dodatek poświęcony wręczonej w marcu
Nagrodzie Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku
im. Wiesława Kazaneckiego,

a w nim między innymi:

prezentację czterech nominowanych w tym roku książek: tomiki „bez tytułu” Piotra Janickiego i „Żegaryszki” Krzysztofa Czyżewskiego, a także powieści „Po wsze czasy” Iwony Menzel i „Jeremiasz” Piotra Nesterowicza.



Bogaci, sławni i martwi

JAKUB MAJMUREK

Serial „American Crime Story” jest fabułą opartą na dokumentalnych źródłach. Jego twórcy umieszczają historie zbrodni w zdumiewająco szerokim społecznym kontekście.

MATERIAŁY PRASOWE



„American Crime Story: Zabójstwo Versace”

W POWIEŚCI I FILMIE KRYMINALNYM narracja zaczyna się na ogół wraz z odkryciem zbrodni, a kończy na wskazaniu jej sprawcy. Równie ciekawe bywa jednak to, co do zbrodni doprowadziło, jak i to, co dzieje się po tym, gdy już wiadomo, kto zabił.

Na tym „przed” i „po” skupiają się dwa sezony serialu „American Crime Story”. Pierwszy rekonstruuje proces O.J. Simpsona z 1995 r. – czarnego sportowca oskarżonego o zamordowanie bylej żony i jej przyjaciela. Drugi odtwarza okoliczności śmierci projektanta mody Gianni Versace, zamordowanego w 1997 r. przed swoją rezydencją w Miami przez Andrew Cunanana.

Kwestia rasy

Pierwszy sezon serii musiał poruszyć kluczową dla sprawy Simpsona kwestię rasy. Oskarżony jest czarny, jego ofiary białe. W ocenie sportowca także amerykańskie społeczeństwo dzieli się wzdłuż tych linii. Czarni niemal powszechnie uznają, że jest niewinny, został wrobiony przez znaną z rasizmu policję Los Angeles i nie ma szans na uczciwy proces.

Jak widzimy w kolejnych odcinkach serialu, mają czasami dobre powody, by tak sądzić. Przesłuchania kolejnych świadków wyraźnie pokazują, że policja w Los Angeles faktycznie ma problem z rasizmem swoich funkcjonariuszy. Jak się okazuje, funkcjonariusz, który odkrył klu-

czowe dowody, miał w przeszłości na koncie liczne rasistowskie zachowania.

Karta rasowa bywa bardzo cynicznie rozgrywana przez Simpsona i jego obrońców. W czasach sławy i chwały Simpson otaczał się białymi celebrytami, nigdy się nie wypowiadał w kwestii dyskryminacji czarnych. Gdy jednak tylko trafia do aresztu, zaczyna mówić, jakby całe życie był kimś w rodzaju Martina Luthera Kinga świata sportu. Zgodnie z radą prawników każe nawet na nowo umeblować swoją rezydencję, tak by przypominała muzeum kultur Afryki.

Obrona Simpsona decyduje się zagrać *va banque* rasową kartą, gdy do zespołu reprezentujących go adwokatów dołącza czarny prawnik Johnnie Cochran. Cochran (co świetnie podkreśla wybitna rola Courtney B. Vance’a) na sali rozpraw zachowuje się trochę jak charyzmatyczny kaznodzieja, trochę jak telewizyjna gwiazda. Przedstawia się jako obrońca czarnej społeczności, choć sam żyje w niedostępnym większości jej przedstawicieli luksusie. Trudno go jednak uznać za cynika i hipokrytę. W przeszłości pracował jako prokurator, poznał system od środka, wie, jak bywa uprzedzony wobec czarnych.

W jednej z najbardziej przejmujących scen sezonu widzimy, jak prowadzący drogi samochód Cochran zostaje zatrzymany przez białego policjanta i potraktowany w skrajnie wrogi i upokarzający

sposób na oczach swoich kilkuletnich córek. Wszystko to dzieje się, gdy Cochran pracuje jeszcze dla prokuratury, nie wiadomo, jak sprawa by się skończyła, gdyby funkcjonariusz nie zorientował się, że zatrzymał przedstawiciela prawa. Choć twórcy serialu tego nie pokazują, Cochran bronił nie tylko czarnych celebrytów, ale także walczących o swoje prawa więźniów oraz pozbawione koneksji, pieniędzy i przyjaciół autentyczne ofiary policyjnej przemocy. Mógł kalkułować, że obnażając nieprawidłowości działań policji przy okazji procesu Simpsona, chroni w ten sposób przyszłe, potencjalne ofiary.

Twórcy nie zajmują jasnego stanowiska w sprawie winy, lub niewinności Simpsona. Nie widzimy sceny morderstwa, o które został oskarżony, serial nie pokazuje, kto zabił. Wiemy tylko, że poza Cochranem pozostali obrońcy Simpsona są przekonani, że jest winny. Prawniki na początku prowadzący sprawę, Robert Shapiro, liczy na korzystną ugodę z prokuraturą i niższy wyrok, nie na uniewinnienie. Także widz, na podstawie przebiegu pokazanego w serialu procesu, raczej dochodzi do wniosku, że Simpson najpewniej faktycznie zrobił to, o co został oskarżony. Jednocześnie musi przyznać, że obrona przedstawiła sporo dowodów na liczne nieprawidłowości ze strony policji i prokuratury, które – biorąc pod uwagę historię postępowania tych instytucji →

→ wobec czarnych Amerykanów – mogą budzić pytania, czy wina Simpsona została faktycznie udowodniona ponad wszelką wątpliwość.

Zbrodnia i kara na żywo

Sprawa rasy obecna jest w pierwszym sezonie „ACS” nie tylko na sali rozpraw. Przed gmachem gromadzą się zwolennicy sportowca. Proces odbywa się zaledwie trzy lata po trwających prawie tydzień rozruchach czarnej ludności w Los Angeles. Zginęły w nich 63 osoby, rany odniosło ponad 2 tysiące. By opanować sytuację w mieście, prezydent George H.W. Bush musiał wysłać wojsko. Rozruchy wywołało uniewinnienie przez sąd czterech policjantów oskarżonych o przekroczenie uprawnień i pobicie aresztowanego czarnego mężczyzny.

Temat rozruchów nieustannie powraca w serialu. Władze Kalifornii boją się powtórki. Robią wszystko, by sprawa Simpsona nie zamieniła się w rasową wojnę. W zespole oskarżających go prokuratorów obok białej kobiety umieszczają czarnego mężczyznę. Sędzią zostaje Amerykanin japońskiego pochodzenia. Jednak im bardziej przeciąga się proces, tym bardziej rośnie polityczne napięcie wokół niego. Pierwsza obrada ławy przysięgłych pokazuje, że do jej czarnych członków nie trafiają żadne argumenty wskazujące na winę oskarżonego. Na końcu wszyscy – obrona, oskarżenie, sędzia – chcą tylko, by wszystko to się jak najszybciej skończyło i nie przyniosło powtórki z 1992 r.

W tych warunkach trudno, by sprawiedliwości stało się zadość. Zwłaszcza że od początku sprawa trafia do globalnej przestrzeni informacyjnej, pulsującej w rytm całodobowych telewizji informacyjnych. Gdy Simpson zamiast (jak ustalili jego prawnicy z policją) stawić się dobrowolnie na posterunek, ucieka przed siłami porządku, jego ucieczka zmienia się w trans-



„American Crime Story: Sprawa O.J. Simpsona”

mitowany na żywo pościg rodem z kina akcji. Sam proces staje się czymś w rodzaju pierwszego *reality show*. Prokuratorzy i obrońcy z miejsca zostają osobami publicznymi, media wdzierają się w ich życie prywatnie równie brutalnie co w życie gwiazd czy polityków. Prasa przeświatła finanse i konflikty małżeńskie Cochran. Najtrudniej z mediami ma jednak główna prokuratorka, Marcia Clark. Wpada w pułapkę znaną wielu polityczkom: zamiast zajmować się jej linią oskarżenia, media nieustannie analizują to, jak się ubiera i jak wygląda, czy jest „dość” czy „nie dość kobieca”. Gdy w trakcie procesu Clark zmienia fryzurę, staje się to przedmiotem okrutnych żartów we wszystkich niemal amerykańskich mediach – z tabloidami na czele. Głęboko empatyczna kreacja Sarah Paulson pozwala wydobyć z tej postaci całą siłę, jakiej potrzebowała, by w takich warunkach dotrzeć do mowy końcowej.

Od początku widzimy też, że w całym zainteresowaniu mediów nie chodzi o ważne kwestie, ujawniające się w procesie (rasizm, przemoc policji), ale o nakręcanie medialnego kołowrotka karmiącego się kultem sław i zdolnego z niczego je wykreować. Jednym z obrońców Simpsona jest Robert Kardashian – ojciec słynnych sióstr. W najbardziej ironicznej scenie sezonu młode Kardashianki oglądają ojca w telewizji. Dziennikarze mają problem

z zapamiętaniem jego nazwiska. „Kardashian” – krzyczą dziewczynki z entuzjastyczną pewnością siebie. Za 12 lat w telewizji ruszy *reality show* z ich udziałem, dzięki któremu nazwisko to pozna cała Ameryka i świat.

Ten sam medialny kołowrotek widać w drugim sezonie. Ciało Versacego, leżące przed jego rezydencją w Miami, jest jeszcze ciepłe, gdy gromadzą się przed nią gapie, a za nimi media. Wszyscy ścigają aurą sławy, bogactwa i sensacyjnej śmierci. Ktoś z przechodniów zdążył zrobić zdjęcie nieboszczyka i wystawia je na aukcję dla kupców w prasie i telewizji. Serial zaczyna się od morderstwa projektanta mody, kolejne odcinki pokazują w retrospekcjach przeszłość jego zabójcy.

Szybko dowiadujemy się, że Versace nie był jego pierwszą ofiarą – zanim dotarł na Florydę, Cunanan zamordował już cztery osoby, w tym znanego dewelopera z Chicago. Media relacjonują pościg – gdyby do pewnego radia nie przedostała się informacja, że policja jest bliska namierzenia ukradzionego przez Cunanana samochodu, służby najpewniej zdołałyby go aresztować, zanim dojechałby nim do Miami.

Blask i cień sławy

Tak jak tematem pierwszego sezonu jest rasa, tak tematem drugiego jest kapita-



JAKUB MAJMUREK

będzie gościem Grzegorza

Chlasty w środę 27 marca

o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

lizm lat 90. i otaczająca go celebrycka kultura. System ten z jednej strony daje takim postaciom jak Versace szansę, by z ubogiej włoskiej prowincji przedostać się w ciąg jednego pokolenia do światowej elity i żyć w zaprojektowanej przez siebie bajce. Z drugiej strony zwycięzcy biorą w nim wszystko, ich sukces, style życia i konsumpcji celebrowane są przez wszystkie możliwe środki przekazu. Przegrany zostaje tylko resentyment i agresja wobec innych i samych siebie. W świecie drugiego sezonu „ACS” nie widać żadnej wartości, jaka mogłaby nadać sens życiu człowieka, poza bogactwem i sławą.

Do tego świata aspiruje Cunanan. Tak jak robił to jego ojciec – jego kariera w sektorze finansowym załamała się jednak, gdy odkryto, że przywłaszcza sobie pieniądze klientów. Mężczyzna ucieka ze Stanów i zostawia rodzinę bez grosza. Cunanan próbuje przedostać się do świata wysokiego statusu, spotykając się jako chłopak do towarzystwa ze starszymi, zamożnymi mężczyznami – bardziej „udany” wersjami swojego ojca. Wszystkie te związki się rozpadają.

Ofiary morderczego szału Cunanana to w większości odnoszący sukcesy mężczyźni: młody architekt u progu błyskotliwej kariery, starszy przedsiębiorca budowlany, który z niczego zbudował znaczący majątek, wreszcie Versace. Pierwszy był kiedyś jego kochankiem, z drugim także łączyły go relacje intymne, projektant mody poznał go kilka lat wcześniej w nocnym klubie i raz zabrał do opery jako osobę towarzyszącą. Każdy z nich mógłby dać zabójcy miłość i życie, na jakie – jak jest przekonany – za-

śługuje, ale tego nie robi. Cunanan mordując ich, wymierza karę rzeczywistości, która rozbudziła w nim aspiracje nie do spełnienia. Zachowuje się jak ktoś, kto świętokradczo niszczy posąg bóstwa, by ukarać je za to, że pozostaje głuche na modlitwy. Oczywiście, widzimy, że filmowy Cunanan jest psychopatą i jego psychopatia ujawniłaby się pewnie w każdym systemie polityczno-społecznym, nawet najbardziej egalitarnym. Jednocześnie trudno nie dostrzec w jego pragnieniach i celach ataków odbicia moralnego klimatu epoki. Darren Criss w brawurowej kreacji wydobywa z Cunanana cały jego narcyzm, galopującą mitomanię, agresję i narastające szaleństwo, ale też autentyczną krzywdę, zranienie, samotność.

Co się zmieniło?

Oba sezony „ACS” rozgrywają się dwie dekady temu. Na ile poruszane tam problemy dotyczą nas dzisiaj? Na pewno oglądając drugi sezon, z łatwością można dostrzec zmianę, jaka się dokonała w stosunku do homoseksualizmu. Ameryka z 1997 r. z serialu wydaje się pod tym względem trochę inną planetą. Ujawnienie się jako gej może grozić utratą pracy, zniszczeniem reputacji, utratą przyjaciół. Wdowa po zamordowanym deweloperze z Chicago bardziej niż okrutnym zabójstwem męża wydaje się przerażona tym, że na jaw wyjdzie jego orientacja – prawda, której sama, nawet w obliczu oczywistych dowodów, nie jest w stanie przyjąć do wiadomości.

Policjanci mają problem ze zrozumieniem, że od lat żyjący z Versacem mężczyzna jest z nim w stałym związku jed-

nopłciowym. Sam projektant decyduje się na parę lat przed śmiercią na *coming out*, gdyż czuje, że może to zrobić jako osoba u szczytu potęgi. Robi to jednak przy sprzeciwie rodziny. Ta po śmierci Gianniego odmawia jego partnerowi obiecanego mu spadku. W Polsce bliżej dziś jesteśmy Stanów sprzed 20 lat, ale nawet widz nad Wisłą, porównując to, co widzi w drugim sezonie „ACS”, ze współczesnymi obrazami gejów z amerykańskiego kina, musi dostrzec, jak znacząca zmiana dokonała się we względnie krótkim czasie.

Niestety, jeśli chodzi o pozostałe poruszone przez serial kwestie, to jeśli coś się zmieniło, to na gorsze. Wbrew nadziejom prezydentura Obamy nie zakończyła problemu rasowego w Stanach. Koniec kadencji czarnego prezydenta przyniósł kilka głośnych przypadków śmierci czarnych nastolatków z rąk policji, co raz jeszcze rozpałiło debatę na tematy, jakie dzieliły Los Angeles w trakcie rozruchów i procesu Simpsona. Prezydentura Trumpa ośmielając białych suprematystów, jeszcze wzmocniła rasowe napięcia w państwie.

Medialny kołowrotek nieustannie rozpraszający uwagę przeniósł się z telewizji do internetu. W nowym medium doskonale ma się jednak ciągle spektakl bogactwa i sławy, który tak śmiertelnie zahipnotyzował Cunanana. Internetowy szum informacyjny sprawia też, że opinie publiczne zachodnich państw okopują się w swoich bańkach informacyjnych i ich przesadach, podobnie jak przysięgli w kwestii Simpsona w swoich. „American Crime Story” to niestety bardzo aktualny serial.

© JAKUB MAJMUREK

W MAGAZYNIE LITERACKIM „KSIAŻKI W TYGODNIKU” TAKŻE

ODNALEZIONE
W TŁUMACZENIU

dodatek „Odnalezione w tłumaczeniu”,

powstały we współpracy z gdańskim festiwalem poświęconym literaturze i translacji, a w nim tekst Magdy Heydel, w który opowiada o tegorocznej edycji (tym razem będzie o Wschodzie), a także prezentacja książek i tłumaczy nominowanych do Nagrody Prezydenta Miasta Gdańska za Twórczość Translatorską im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

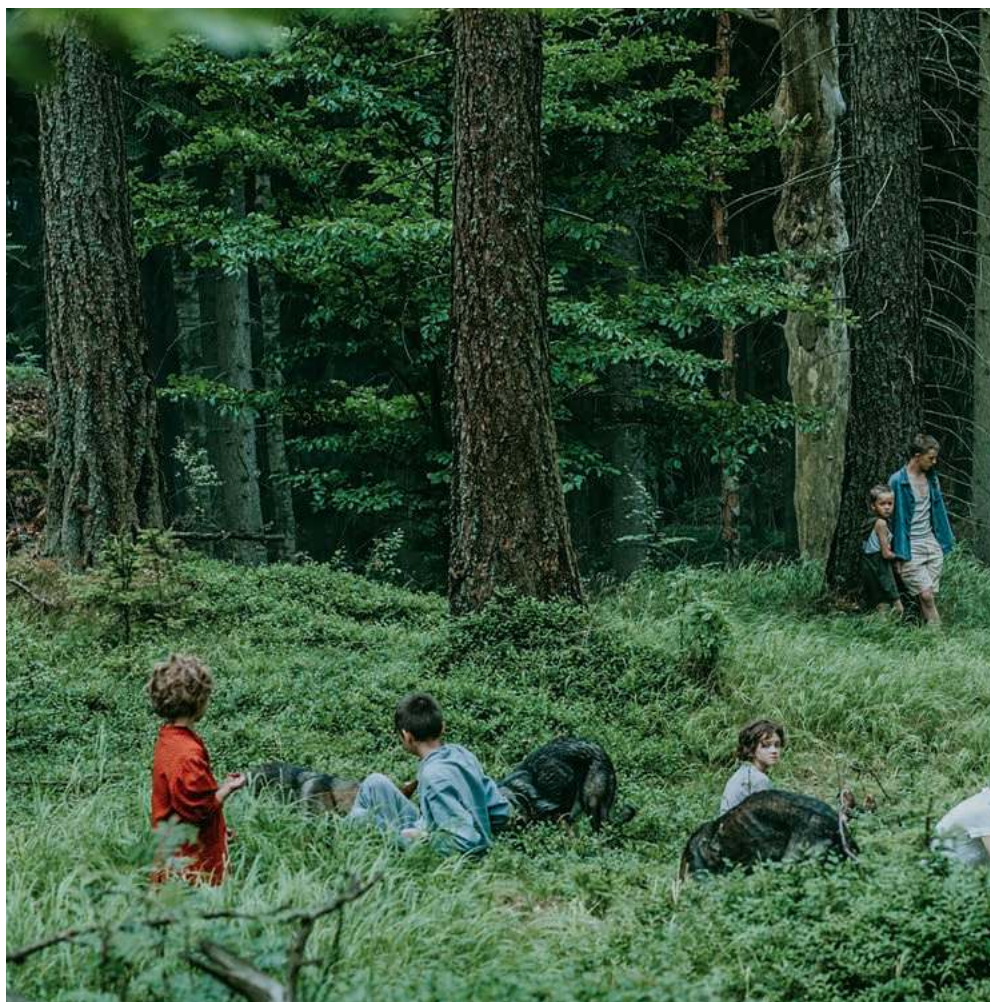
Zapraszamy do lektury i do Gdańska w dniach 11-13 kwietnia!

Wilcze dzieci

ANITA PIOTROWSKA

Zamiast rozprawiać gromko o naturze zła czy o złu tkwiącym w naturze, „Wilkołak” serwuje nam silne doświadczenie zmysłowo-trzewiowe, o wiele bardziej sugestywne niż niejeden filmowy traktat filozoficzny.

W POLSKIM FILMIE ZE ŚWIECĄ SZUKAĆ strzyg, południc i czartów – mimo że na świecie trwa renesans kina grozy inspirowanego lokalnym folklorem. „Wilkołak” Adriana Panka wiosny tu nie czyni, ale też wbrew tytułowi nie jest typowym horrorem zanurzonym w niesamowitej słowiańszczyźnie, uzbrojonym w nadprzyrodzone kły i pazury. Są one bowiem jak najbardziej realne i należą do esesmańskich psów, które po ewakuacji obozu koncentracyjnego Gross-Rosen w lutym 1945 r. rozpieczętowały się samopas po okolicznych lasach. A może to nie wycie zdziczałych owczarków niemieckich słyszeć po nocach, ale... hitlerowców, którzy podczas ucieczki zamienili się w wilki? Podobóz, w którym rozpoczyna się film, nosi wszak wymowną nazwę Wolfs-berg, wszelkie zaś skojarzenia z działalnością Werwolfa również wydają się nieprzypadkowe.



Scenarzysta i reżyser, znany nam chociażby z ekscentrycznego filmu „Daas”, którego intryga toczyła się wokół postaci XVIII-wiecznego guru Jakuba Franka, tym razem sięga do bliższej nam historii i do związanych z nią lęków. W naszej części Europy nie tylko bezpośrednie ofiary nazizmu wzdrzają się na widok i na sam dźwięk kłapiących paszczą krwiożerczych wilczurów. Panek spuszcza je w swoim nowym filmie ze smyczy

– zdeorientowane, wygłodniałe, w dalszym ciągu zaprogramowane do zabijania. W chaosie wyzwalania Ziemi Zachodnich ich ofiarą pada grupa dzieci, które prosto z obozu trafiają do zrujnowanego pałacu przysposobionego teraz jako sierociniec. Zostają w nim uwięzione, bo sfory psów atakują budynek w poszukiwaniu ludzkiego mięsa. Na dodatek po okolicy krążą pijani radzieccy żołdaci, a w leśnych bunkrach ukrywają się nazistowskie niedobitki. Walka o przetrwanie (mali ekswieźniowie pozbawieni są środków do życia i zdani jedynie na opiekę starszej koleżanki) napędza akcję tego postobozowego dreszczowca, trzymającego nas za gardło aż do ostatniej sceny. Pełen sekretów schowków budynek tudzież otaczający go dziewiczy i złowrogi w swoim pięknie krajobraz Gór Stołowych staje się doskonałą sceną także dla innej opowieści – o ukąszeniu przez obóz.

Bo „Wilkołak” to coś więcej niż po prostu thriller o morderczych psach polujących na ludzi. Słyszeć w nim, oczywi-

W Sądzie Rejonowym w Chełmie w I Wydziale Cywilnym, pod sygnaturą I/Ns 729/18 toczy się postępowanie z wniosku Marianny Stachniuk, adres: al. Żołnierzy I Armii Wojska Polskiego 19/130, 22-100 Chełm, o uznanie za zmarłego Zygmunta Soroki, ostatnio zamieszkałego w Woli Ostrowieckiej, w byłym województwie wołyńskim, gmina Huszcza, powiat Luboml, który najprawdopodobniej zmarł śmiercią naturalną w 1938 roku.

Wzywa się zaginionego Zygmunta Sorokę, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosił się do Sądu Rejonowego w Chełmie, gdyż w przeciwnym razie może być uznany za zmarłego. Wzywa się wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionym Zigmuncie Soroce, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia przekazały je Sądowi.



LUKASZ BAK / VELVET SPOON

Kadr z filmu „Wilkołak”

ście, polemiczne echa „Władcy much”, a w szczególności narzucające się od razu pytanie: na ile pobyt za drutami zdążył zewszierzyć dziecięcych bohaterów? Najbardziej do uwewnętrznienie obozu przejawia się w scenach, gdy dzieci zaczynają udawać psy, tępo naśladując w ten sposób esesmańską tresurę „padnij-powstań”. To właśnie znajomość owych niemieckich komend mogłaby pozwolić im w opanowaniu czworonożnych agresorów, a tym samym uratować życie. Ale nie jest to wszystko aż takie proste. Wśród pokiereszowanych na ciele i duszy dzieciaków są te złaknione normalności na przekór obozowi, ale też i takie, które wchłonęły w siebie jego nieludzkie reguły walki o przeżycie. Są również te najsłabsze, dosłownie oniemiałe ze zgrozy.

Siła filmu Panka, poza suspensem wzmacnianym przez muzykę Antoniego Komasy-Łazarkiewicza (obaj zostali nagrodzeni na ostatnim festiwalu w Gdyni), bierze się także z jego bardzo przemysłowej niemoży. Reżyser zdecydowanie preferuje behawioralne obserwacje ponad

słowa. Tego, co się kłębi w bohaterach, ich rzeczywistych motywacji i reakcji, najczęściej musimy się domyślić, a znakomici młodzi odtwórcy: Sonia Mietelica w roli matkującej wszystkim Hanki, Kamil Polnisiak, czyli zdeprawowany przez obóz Władek, czy Nicolas Przygoda jako nieustraszone „Hanys”, pilnują wyznaczonych im granic ekspresji. W „Wilkołaku” udało się opowiedzieć koszmara za pomocą narzędzi czysto filmowych, dlatego szczególne uznanie należy się autorowi zdjęć Dominikowi Danilczakowi i montażyście Jarosławowi Kamińskiemu. Zamiast rozprawiać gromko o naturze zła czy o złu tkwiącym w naturze, „Wilkołak” serwuje nam przede wszystkim silne doświadczenie zmysłowo-trzewiowe, o wiele bardziej przez to sugestywne niż niejeden filmowy traktat filozoficzny.

Horror, jak zresztą całe kino gatunków, nie ma w polskim kinie dobrej opinii. Uchodzi za coś podejrzanego, by nie rzec – gorszego, jako że nie odwołuje się do intelektu, ale do naszych pierwotnych emocji. W ostatnich latach bodaj jedna tylko Jagoda Szcel („Wieża. Jasny dzień”, „Monument”) śmiało poszukiwała nadnaturalnych piękności czy, jak kto woli, metafizycznych szczelin w pozornie racjonalnej rzeczywistości, i sięgała przy tym po formalne chwytaki rodem z horroru. Panek traktuje ten gatunek dosłownie i umownie zarazem – również jako pewną możliwość interpretacyjną, jako zaproszenie do wspólnego przekroczenia konwencji, w których dotychczas traktowano tematykę obozową czy holokaustową. Stanowi ona często dla polskich filmowców dodatkowe, nieprzekraczalne tabu. Więcej dzieje się pod tym względem w teatrze czy literaturze, by wspomnieć brawurową, choć przecież nie obrazoburczą powieść „Noc żywych Żydów” Igora Ostachowicza. Makabryczny film o „wilczych dzieciach” ubranych w pasiaki rehabilituje na polskim gruncie popularny gatunek, jakim jest kino grozy. Co więcej, materializuje i ożywia na ekranie potwory, które ongiś wyrwały się z obozów i zamieszkały w ludziach na wiele pokoleń. Poprzez nasz strach i obrzydzenie „Wilkołak” próbuje więc rozbrajać bardzo konkretną traumę. ©

WILKOŁAK – reż. Adrian Panek. Prod. Polska/Holandia/Niemcy 2018. Dystryb. Velvet Spoon. W kinach od 29 marca.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [30 III – 5 IV]

1. Etgar Keret. Oparte na prawdziwej historii



Dokumentalny, reż. Stephane Kaas, Francja/Holandia/USA/Izrael 2017, Planete, 30 III, 22.00

Z połączenia dokumentu, fikcji i animacji powstał portret izraelskiego pisarza – tak nietuzinkowy jak sam Keret. W filmie odbija się także jego wielka miłość do opowiadania historii. Snują je przed kamerą zarówno jego najbliżsi, jak i pisarz we własnej osobie. Tym razem staje się on również głównym bohaterem tych smakowitych anegdot.

2. Złe wychowanie Cameron Post



Dramat, reż. Desiree Akhavan, USA 2018, Cinemax, 31 III, 20.00, 1 IV, 11.55, 2 IV, 20.00, 3 IV, 9.40, 5 IV, 21.35

Na podstawie debiutanciej powieści Emily M. Danforth powstał film rozgrywający się w ośrodku, który stawia sobie za cel „wyleczenie z homoseksualizmu”. Trafia tam grana przez Chloë Grace Moretz nastolatka, próbująca z całych sił wywalczyć sobie wolność do bycia tym, kim jest.

3. Szóstka



Serial, reż. Kinga Dębska, Polska 2019, TVN, odc. 1, 31 III, 21.30

W Polsce ciągle zbyt rzadko dokonuje się transplantacji nerek pobranych od żywych dawców. Sześciu bohaterów serialu bierze udział w pionierskim u nas programie tzw. przeszczepów łańcuchowych, które krzyżują niespokrewnionych ze sobą dawców i biorców. Towarzyszą im wątpliwości i nadzieje. W obsadzie m.in. Gabriela Muskata, Julia Wyszyńska, Marian Dziędziel.

4. After Life



Miniserial, reż. Ricky Gervais, Wielka Brytania 2019, Netflix

Czy można polubić zgrzybliwego cynika, któremu wcale nie zależy na naszej sympatii? Czy film o żałobie i depresji może być jednocześnie melancholijny, śmieszny i krzepiący? Przenikliwość oraz brytyjski humor Gervaisa, który gra tutaj również główną rolę, tworzą jedyną w swoim rodzaju mieszankę nastrojów. Aż żal, że to tylko sześć krótkich odcinków.

JAN

Klata:

Chronienie substancji



POLSKA JEST NAJWAŻNIEJSZA, A W POLSCE POLSKA substancja, którą trzeba chronić za wszelką cenę. I oto, przechodząc mimo jakiejś księgarskiej witryny (co czynię pasjami), zwróciłem uwagę, a właściwie moja uwaga została przykuta tomem o nazwie...

„Repolonizacja Polski”. Serio! Na okładce wypisz, wymaluj wszystko, czego białą-czerwona dusza zapagnie: niebo, krzyż i orzeł od dołu, niebo niebkowe, krzyż drewniany, a orzeł kamienny. „Repolonizacja” na białą, „Polski” na czerwono (*sic!*), pod spodem lista autorów (praca zbiorowa – jedno pióro tego nie uciągnie): intelektualne *crème de la crème*, nic tylko palce lizać i stronicę kartkować. Od Andrzeja Nowaka i wójta Obajtka z Orlenu aż po Krystynę Pawłowicz i Małgorzatę Wassermann, od księdza Oko aż po księdza Oko.

Od Pcimia do gwiazd, poprzez Uniwersytet Papieski w Krakowie, pełen przekrój warstw narodowej skiby na 216 stronach (nie za dużo, żeby się nie pogubić). *The best of the greatest hits*, intelektualna lista marzeń – i słusznie, wszak tytuł zobowią-

zuje. „Repolonizacja Polski”. Bukiet renomowanych autorów naświetla sprawę wszechstronnie, w formie vademecum *à la* kompendium, wnikliwie stawiając opór zakusom zręcznie zamaskowanym zaprzańców służących zagranicznym hegemonom w zamian za dołę w rozdrabnianiu nieszczęsnej, miękko wynaradawianej ojczyzny.

Na szczęście wszystko zmierza w dobrym kierunku wskutek mądrej, demokratycznej decyzji suwerena, wszelako która spowodowała wrzask i lament zdradzieckich a zdegenerowanych pseudoelit. Suweren ocknął się, dziękować Bogu, ocknął się w dosłownie ostatniej chwili, no ale teraz już nie przysnie, nie spocznie, nim repolonizacja Polski nie zostanie przeprowadzona do szczętu. Grono myślicieli po kolei wskazuje obszary szczególnie zainfekowane, wymagające paląco szybkich reform, na które jednakowoż wciąż czekamy. Wybitni, autentyczni znawcy poruszanych tematów – a przy tym prawdziwi patrioci – podpowiadają rozwiązania, często przestrzegają, posługując się przy tym świetnym, iście orlim piórem (i to niejednym). „Repolonizacja Polski” to więcej niż książka, to narzędzie w rękach patriotów. Patriotów stojących na straży, chroniących substancję, będących papierkiem lakmusowym polskości w Polsce.

Muszę przyznać, że „Repolonizacja Polski” jest lekturą zapierającą dech w piersiach, nie odpowiada jednak na pytanie, kiedy nastąpiła polonizacja Polski? Kiedy Jarosław Kaczyński po wielu, bardzo wielu perypetiach zrobił maturę z polskiego? Kiedy minister Zalewska została polonistką? Czekam na kolejny tom. ©

Lektor:

Cenne szpargały



■ Jerzy Rakowiecki
**PAMIĘTNIK INTELIGENTA.
HISTORIE WESOŁE,
A OGROMNIE PRZEZ TO SMUTNE**
Edipresse Książki,
Warszawa 2019, ss. 366

JERZY RAKOWIECKI (1920–2003) był aktorem i reżyserem. Miał 19 lat, kiedy wybuchła II wojna. Ukończył podziemny Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej i AK-owską podchorążówkę. Walczył w powstaniu warszawskim. Debiutował na scenie, gdy wojna jeszcze trwała – 22 marca 1945 r. w Teatrze Wojska Polskiego zagrał Chochola w „Weselu” w reżyserii Jacka Woźniczaka. Osiem

lat później został absolwentem reżyserii warszawskiej PWST. Pracował w Warszawie, Łodzi, Toruniu, Poznaniu, Krakowie, Lublinie. Realizował spektakle telewizyjne i słuchowiska radiowe. W latach 80. zaczął z myślą o najbliższych spisywać wspomnienia, potem – zachęcany przez Jerzego Timoszewicza – także „Faccje teatralne” gromadzone w „Teczce dla Jacka”. Teraz ów Jacek – czyli syn autora, dziennikarz Jacek

Rakowiecki – wydał ojcowskie „szpargały”. I należy mu się za to wdzięczność.

Nie tylko dlatego, że Jerzy Rakowiecki opowiada barwnie, ze swadą i staroświeckim wdziękiem, nie tylko z powodu mnogości teatralnych anegdot, czasem na granicy ryzyka, w których pojawiają się zarówno wielcy i sławni – Leon Schiller, Aleksander Zelwerowicz, Wilam Horzyca, Irena Eichlerówna, Nina Andrycz, Zofia Mrozowska, Halina Miłkołajska – jak też zapomniane dziś postaci drugiego i trzeciego planu. „Pamiętnik” to również świadectwo kształtowania się warstwy postszlacheckiej inteligencji, i to na przykładzie rodziny, w której poczucie obowiązku wobec ziemi (autor porównuje swego ojca do Bogumiła z „Nocy i dni”) wchodziło w konflikt z ambicjami artystycznymi. A lektura „Zapisu z powstania warszawskiego” ścisła gardło.

Bezradne pytania: dlaczego właśnie ja przeżyłem? „Dlaczego nie zginąłem w strasliwie zbombardowanym domu na Zagórnej, gdy zginęli wszyscy chłopcy z naszego piętra? Dlaczego poza uczuciem zupełnej obojętności nie odczuwałem prawie nic, a innym razem czułem wstrętny smak mdłego strachu, gdy wyprowadzano nas na rozstrzelanie w Muzeum Narodowym? I dlaczego musiał zginąć mój brat, mój młodszy brat?”. Czytam o czerniakowskim epizodzie powstania i o dzielnej a groźnej Dudzie („moja tamże babska szefowa i szefowa przede wszystkim łączniczek”), i nagle sobie przypominam dokument telewizyjny, w którym owa Duda – nieżyjąca już dziś aktorka Małgorzata Lorentowicz – z nieruchomą twarzą wracała do tamtych dni. Świadkowie, których z każdym dniem ubywa. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Mój ostatni rytuał



TUZIN. ALBO I DWA. TYLE RAZY VIKTOR Orbán dostawał „ostatnie ostrzeżenie” od swojej politycznej rodziny na poziomie europejskim, czyli tej samej Europejskiej Partii Ludowej, której patriarchą są niemieccy chadecy, a gorliwym młodszym adeptem nasza Platforma. Od kilku lat ostrzegają Węgry, że musi przestać tworzyć, pod boki najważniejszego klubu unijnych decydentów, z pełnym jego błogosławieństwem, nieliberalną demokrację na własnym podwórku, gdzie rzekomy głos ludu syczy najgorsze ksenofobiczne klisze. Orbán dostał od złośliwego losu taki dar, że jego jedyna realna nemezis, zdolna mu jakoś komplikować budowę narodowej kleptokracji, to sławny finansista o żydowskich korzeniach. Kiedy zatem chce postraszyć lud wrogiem narodu – to mglistemu bytowi pod nazwą „Bruksela” może dodać twarz właśnie Sorosa i w ten sposób domalować semicką, wykrzywioną gębę. Gdyby w Polsce zawisał choć jeden autoryzowany państwowy plakat z połową takiej żydożerczej aluzji, to Starbucksów w Warszawie by nie starczyło, by ugościć ekipy dziennikarskie przybyłe relacjonować na żywo przebudzenie demonów faszyzmu.

No ale jako się rzekło, protektorzy Orbána mają swoje granice tolerancji: nie dalej jak tydzień temu posunęli się do tego, żeby zawiesić jego członkostwo w grupie, a nasz Rafał Trzaskowski zapewniał przy tym, że polscy koledzy niesformnego Węgry byli przeciw temu, żeby go zwyczajnie wywalić, lecz załatwili mu „ostatnią szansę”. Śmiałość, z jaką prezydent naszej obecnej stolicy potraktował sens przymiotnika „ostatnia”, zmusiła mnie do niezłego wysiłku, żeby jednak nie pęknąć ze śmiechu.

Faktem jest, że przednówek to jeden z dwu okresów w roku, kiedy szczególnie często, zwłaszcza w porach posiłków, używamy tego słowa w magicznej intencji odczynienia uroku, aby się przed ostatecznością pewnych zdarzeń właśnie ochronić. Tak więc w początkach października, napierając czule opuszką kciuka na filigranowo pomarszczoną skórę węgierki, by wyłuskać z jej wnętrza ostrokanciastą pestkę, powtarzamy „to już ostatnie w tym sezonie”, uczepiając się przeciwnego wprost złudzenia: że będą trwać i trwać, choćby do Gwiazdki. Podobnie w kwietniu raz po raz wymawiamy słowo „ostatnie”, wyciągając niedobitki tego, co skutecznie zostało przechowane, odsuwając z pola świadomości oczywistość, iż faktycznie każdy zapas na zimę ma to do siebie, że się kończy. Już parę tygodni temu pisałem melancholijnie o końcówce przedwojennych w smaku renet, które wyszperałem na krakowskim Kleparzu – a od tego czasu już trzy razy zdążyłem odprawić w kuchni rytuał „ostatniego obierania”. Po

prawdzie to, co przedwczoraj robiłem, raczej winno się zwać już wyrzucaniem, bo jakość owocu tak nędzna, że więcej z tego zjedzą robaczki na kompoście niż ja do śniadaniowej owsianki.

W każdej chwili życia mamy jedno, dwa albo i więcej takich pudełek zapalek, które człek popycha z lękiem na kancie stołu, licząc że jeszcze milimetr czy dwa nie przechylą się przez środek ciężkości i nie polecą na podłogę. Jedne ważniejsze, inne mniej, niektóre wyjątkowo trwałe. Dla mnie takim punktem najwyższego oporu rzeczywistości przed przemijaniem jest pewien rynkowo i społecznie bezużyteczny sklepik z artykułami AGD na przedmieściu robotniczym miasta Mestre, czyli przemysłowego podbrzusza Wenecji. Trzeba mieć w głowie bardzo spaczoną postać sentymentalizmu, żeby kochać takie miejsce. Tam to, w bocznej uliczce, starszy człowiek sprzedaje mydło i powidło, statki i manatki, raczej niemodne, m.in. dziwne gliniane naczynia do pieczenia z Kalabrii, skąd pochodzi spora część jego klienteli, bo eksplozję tutejszego przemysłu pół wieku temu napędzali wewnątrzni imigranci. No ale wszystkie zainteresowane klientki dawno takie nabyły, więc tych kilkanaście, które pozostały na regale, interesują już tylko mnie, jedyne z pewnością klienta spoza sąsiednich kwartałów. Biorę po jednym za każdym razem, potem obdarowuję przyjaciół, co roku wracam ze ściśniętym gardłem, bo wiem, że to kiedyś ten sklep pożre jak nie śmierć właściciela, to gentryfikacja (czyli też pewien rodzaj śmierci) okolicy.

Wyprzedaż zimowych zapasów, zamykanie wygasłego sklepu – to wszystko przecież tworzy miejsce na początek czegoś nowego, i mało gdzie tę prawdę widać równie mocno, jak na targu właśnie. Rzut kamieniem od miejsca, gdzie jeszcze leżą „ostatnie” renety, zamknął się stragan z winem, po to, by dać miejsce sklepikowi spółki Kuby Lorka (z rodziny wybitnych serowarów ze Szczyrzyca) i Pawła Portojana, Ormianina od lat łączącego Kraków gastronomiką z Kaukazem. Sprzedają, jak głosi szyld, „najlepsze z Polski”, a konkretnie głównie zagrodowe sery i zdrowe wędliny. Tanio nie jest, ale lepiej czasem zjeść mało, a dobrze. Zwłaszcza że można zaoszczędzić np. na podróżach do Francji, panowie bowiem, ku zgubie mojej wątroby, sprzedają najprawdziwszą *crème fraîche*. To niby nic wielkiego, ot po prostu odpowiednio zakwaszona bardzo tłusta śmietana, ale mnie ten składnik przenosi na zupełnie inne rewiry deserów, stanowi jakby najbardziej atlasową, jaką można sobie wyobrazić, podszewkę pod wszelki owocowy kozuszek. Zarówno świeży, jak i ze słoików, tak jak obecnie. Mieszm ją z musami, dżemami, z gęstą konfiturą oraz syropem. Oto chyba już ostateczny powód, dla którego zostanę na dłużej w Krakowie... © P



A komu do tego sklepu daleko, niech próbuje sam, rzecz jest prosta, tyle że wymaga uwagi: musimy 0,5 l jak najtłustszej i jak najmniej przemysłowo obrabionej *słodkiej śmietanki* zakwaszyć kilkoma łyżkami *maślanki*, zostawić pod ściereczką w temperaturze pokojowej (czyli ok. 20 stopni) na mniej więcej dobę, aż się ładnie zetnie – o ile się zetnie, bakterie bywają kapryśne. Jeśli proces przebiegnie prawidłowo, to taka domowa *crème fraîche* wytrzyma w lodówce jeszcze parę dni.

CZŁOWIEK Z TALENTU

Mieczysław „Mietal” Gryza wdrapał się na most i wtopił brylant w jego metalową konstrukcję. Jako pierwszy człowiek w historii świata zaręczył się z mostem.

– Jestem z nim po słowie. Nie mogę go porzucić – mówił.

MARIUSZ SEPIOŁO

ZAWODU JEST METALOPLASTYKIEM I ZŁOTNIKIEM, TWORZY BIŻuterię w swojej pracowni przy ul. Półwiejskiej. W rękach ma dar zmieniania rzeczy powszednich w niezwykle. Już drzwi wejściowe do jego mieszkania są dziełem sztuki. Witraże, wykonane przez znajomą pastelistkę, są wariacją na temat tego, co widać za drzwiami. Wizytówka została „wypalona na skórze jak piętno”.

Dziełem jest przedsionek. Pod nogami kamienne kostki, które Mietal zbierał z ulic Poznania. Przed wchodzącym duże szklane drzwi, które błyszczą od wydobywającego się z podłogi oświetlenia. I oświetlenie nie jest przypadkowe: to tak naprawdę mini-studzienka, która służy zamiast wycieraczki na buty.

Dziełem jest tablica edukacyjno-rozrywkowa dla dwuletniej córeczki, misterna konstrukcja stworzona na drewnianej płycie. Córeczka ma do dyspozycji m.in. linkę, którą przeciąga się przez dwa otwory, na poczekaniu stwarzając metaforę nieskończoności.

Dziełem jest stół, który Mietal nazywa „pomnikiem pokoju”: – Dokładnie jest pomnikiem pokoju w kuchni. Różnych „pomników pokoju” jest w Polsce wiele. Ten jest wyjątkowy, bo można się przy nim spotkać, biesiadować. Można na nim usiąść. Jest też jak bezpieczna przystań: można przy nim zacumować. Pan teraz też sobie zacumował.

Jak prawdziwy „pomnik”, stół Mietala został wyposażony w miejsce na składanie kwiatów i tablicę z nazwą i datą powstania. A powstał z pięciu belek stropowych z pewnej zabytkowej kamienicy, każda po sto kilo. Bo jego stół powinien mieć „patynę, historię i musi być wieeelki”.

Na ścianie w przedsionku dzieło kolejne, praca na jeden z konkursów. „Matka Boska GSM z Dzieciątkiem Bluetooth” to stalowy „futurał” (Mietal mówi: „metalowa koszulka jak u Matki Boskiej Częstochowskiej”), w którym mieści się telefon komórkowy.

– Każdy, kto oglądał pracę, mógł wykręcić ten numer i połączyć się z Matką Boską – tłumaczy Gryza. – Praca miała pokazywać, jak bardzo jesteśmy z naszymi telefonami złączeni. Jak bardzo korzystanie z telefonów zaczyna przypominać modlitwę, trans.

W Mietalu od najmłodszych lat była silna potrzeba wyjątkowości. Przyszedł na świat w Górze Śląskiej w 1956 r. Jego ojciec przybył na tzw. ziemię odzyskane z Warszawy. Wcześniej był człowiekiem wysoko postawionym, pracował jako adiutant generała Michała Roli-Żymierskiego. Mietal dziś nie zna powodów, dla których jego ojciec zrezygnował z kariery i postanowił przenieść się daleko od stolicy.

Gryza wzrastał w kilkunastotysięcznym miasteczku na Dolnym Śląsku, gdzie niewielu wybijało się ponad przeciętność. Potrzeba odrębności szybko zaczęła o sobie dawać znać. Chodził do liceum im. Adama Mickiewicza. Któregoś roku z okazji 1 maja dyrektor szkoły ogłosił: uczniowie przygotowują „ustępy z Mickiewicza”.

– Razem z dobrym kolegą wpadliśmy na pomysł – mówi dziś Gryza. – Na szkolnym śmietniku znaleźliśmy starą muszlę klozetową. Skądś zorganizowaliśmy nosze i położyliśmy na nie ten kibel. Dołączyliśmy do pochodu razem z naszą wersją „ustępu z Mickiewicza”.

Zdobył kamerę na taśmę ośmiomilimetrową i razem z przyjaciółmi zaczął kręcić filmy. Z zarysem fabuły i myślą przewodnią. Kiedyś wymyślił, że każdego dnia studiów na Akademii Rolniczej („na ASP usłyszałem, że jestem zbyt uformowany artystycznie”) ubierze się w coś innego. Pewnego dnia pojawił się na uczelni w wielkim jeleniu porożu, które zamocował na plecach.

– Czy go rozumiem? Przede wszystkim nie należy go odbierać śmiertelnie poważnie – mówi Radek Słowik, fotograf z Poznania. – Mietal to ironista, jego działania balansują na granicy powagi i żartu. Ja staram się to, co robi Mietal-artysta, oddzielać od tego, kim jest Mietal-człowiek. Wtedy lepiej rozumiem obu.

Iwa Gryza, starsza córka: – Życie z artystą niesie ze sobą ryzyko chaosu, zacierania się naturalnych granic tego, co realne, i tego, co jest sztuką. Mój tata wyraża siebie i swoje spojrzenie na świat przez działania. Przez rzeźby, filmy i happeningi. Są nafaszerowane jego emocjami, uczuciami, jego zdaniem o świecie i ludziach.

Mieczysław „Mietal” Gryza
na moście w Osetnie na rzece Barycz, 2012 r.

→



→ Klucza do Mietala szukaj w Szukalskim – radzi ktoś mu bliższy. „Sztuka nie może być poprawna, sztuka powinna być przesadzona” – uważał Stanisław Szukalski, polski rzeźbiarz, który w 1913 r. osiadł w Stanach Zjednoczonych. W filmie wyprodukowanym przez Leonarda DiCaprio Szukalski porównywany jest do Michała Anioła, Pabla Picassa. I przechwalającego się swoimi umiejętnościami wrestlera.

Szukalski nie przestawał mówić, kreślić obrazowe porównania, opowiadać – wyłącznie o sobie. Odrzucał wiedzę akademicką, schematy go ograniczały. Twierdził, że prawdziwa sztuka płynie z wnętrza artysty. We wspomnieniach przyjaciół Szukalski to megaloman i narcyz, przekonany o swojej wielkości i ogromnej wiedzy. Sam siebie uważał za geniusza.

– Rozumiem, że to jakaś prowokacja? Jego płodność, pracowitość, znaczenie... Mnie co najwyżej można porównać do jednej z jego prac – dziwi się Mietal.

Jego trzy grosze

Wróćmy do PRL-u. Mały Mietek towarzyszy ojcu w podróżach po wsiach i małych miasteczkach z projektorem kinowym, z którego puszcza „zwykłym ludziom” filmy – propagandowe też. Nasiąka tą atmosferą.

– Poczułem misję – mówi Mietal. Jako całkiem dorosły już artysta postanawia jak ojciec puszczać ludziom filmy, tyle że w przestrzeni publicznej. Tak powstaje Festiwout. Miesiąc przed pierwszą edycją umiera, nie doczekawszy pokazów, ojciec Mietala.

Na pierwszy rzut wybiera „Czekając na Joe” Kevina Macdonalda o walce o przetrwanie w górach. Znajduje pionową niemal, zaśnieżoną skarpe pod Poznaniem i tam – za pomocą e-maila – zaprasza widzów. Zjeżdżają się samochodami, parkują. Mogą oglądać, ale muszą wyjść, stać na mrozie i somatycznie doświadczać filmu, współcierpiąc z bohaterami.

„Znikający punkt” puszcza na przejeżdżających autostradą tirach. „Sin City” wyświetla na Multikinie, na stadionie, na śródmiejskich kamienicach, na ścianie Muzeum Narodowego i w przejściu podziemnym, w trzewiach miasta. A „Nóż w wodzie” na żaglu łodzi ustawionej na mieliźnie. Widzowie na środek jeziora też docierają łodziami, zbiera się ich spora grupa, performans przyciąga uwagę policji.

– Dla mnie było to wydarzenie niemal ewangeliczne – mówi. – Zapomniałem, że poziom melizny się obniża. Do tych, którzy podpłynęli na brzeg melizny, musiałem brodzić już po szyję w wodzie. A brodziłem, bo każdemu podawałem plastikowy nożyk. Nożyk w wodzie. A więc brodzę, próbując się nie utopić, i wyciągając ręce podaję moim widzom nożyki, jak apostoł.

Sam siebie nazywa „groszorem”, bo dla swoich przyjaciół i znajomych tworzy minidzieła sztuki z jednogroszówek. Stworzył już setki. Żona Agnieszka na jego 60. urodziny zrobiła mu z nich prezent: poprosiła przyjaciół Mietala, żeby z groszami, które przez lata tworzył, znowu zrobili coś kreatywnego. Efekty zostały sfotografowane i zebrane w katalogu „Trzy grosze”. Prace trwały długie tygodnie, Mietal o niczym nie wiedział.

Katalog otwiera „wydrwigrosz” – grosz z wyciętą buźką w grymasie wiecznego zdziwienia. Dalej „babelgrosz” w zawijającym się ku górze kształcie biblijnej wieży. Jeszcze dalej „grosz święty”, z wyciętą „aureolą” wokół głowy orzełka. Na początku katalogu przyjaciel pisze o jubilecie: „Znamy ludzi z marmuru, spotykamy ludzi z żelaza. Ty udowodniłeś, że jesteś człowiekiem z talentu”.

Zaręczyny

„Któż z nas nie marzy o wielkiej miłości – zapowie reportaż o Mietalu Michał Olszański w „Magazynie Ekspresu Reporterów”. – Nasz bohater taką miłość znalazł i jest jej wierny od dziecka”.

Mietal często wraca w rodzinne strony, zjeżdża z głównych dróg. Któregoś dnia zatrzymuje się, by rozprostować kości, w Osetnie, przy starym moście na rzece Barycz. Podziwia stalową konstrukcję, jej „bezinteresowny urok”. Do mostu nie prowadzą już żadne drogi dojazdowe. Wokół jest tylko teren gęsto porośnięty trawą, drzewami. Później Mietal dowie się, że konstrukcja powstała w 1906 r. jako most kolejowy. Dziś tory zniknęły. Mietal przypomina sobie: przecież to ten sam most, wokół którego spędzało się czas w młodości. Chodziło się na boisko, na podwórko i „na most” do Osetna. Wyglupiało, popalało papierosy, kąpało w płytkiej rzece.

Mietal zaręcza się z mostem 3 września 2008 r. Swoim gestem chce przyciągnąć ku obiektowi uwagę. W „Panoramie Leszczyńskiej” wyjaśnia: „W widoczności konstrukcji, w tych nitach, w rozrysowaniu sił w całej strukturze jest coś pasjonującego. Na dodatek stoi taki samotny, opuszczony... Zupełnie jakby prosił, aby się nim zaopiekować. Jak panna do wzięcia! Jest może leciwa i niezgrabna, ale mnie to nie przeszkadza. Po innych mostach to mogę sobie jedynie pochodzić, a tu mogę zdziałać wszystko. To jest to, co mnie najbardziej w nim zachwyca”.

Chce ocalić most od zapomnienia. Sprawić, żeby stał się dziełem sztuki, ale też obiektem użyteczności publicznej. Most ma być czymś więcej niż np. dom nad wodospadem – budowla będąca domem mieszkalnym, a dziś muzeum, stworzona według projektu Franka Lloyd Wrighta. Miejscem, które przyciągnęłoby do gminy inwestorów i turystów. W którym mogłoby się „coś dziać”. Bo dziś nie dzieje się nic.

Są jednak przeszkody natury praktycznej. Mietal nie jest właścicielem mostu. Obiekt figuruje jako droga dojazdowa i nie podlega sprzedaży. „Oddać” mostu nie zamierza gmina Góra. Kolejnym wyzwaniem jest odpowiednie wykorzystanie konstrukcji mostu. Mietal ma pomysł: by jego „szkielet” wypełnić czymś podobnym do ogromnego balonu. W ten sposób powstałyby „ściany” wypełniające przestrzeń między stalowymi żebkami. Znajomi architekci Mietala już taki projekt stworzyli w komputerze, roboczo nazwali go „płucem” (ang. *the lung*). W moście – jak mówi dziś Mietal – mogłyby odbywać się wystawy, spotkania, koncerty. Wszystko, co mogłoby ożywić tę okolicę. Dać jej nowy oddech.

Do mostu często wraca. Kiedyś spędził na nim noc. Znają go już ludzie z Osetna, szczególnie jeden, którego Mietal nazywa „strażnikiem mostu”. Zobaczył kiedyś faceta łażącego po moście i przyszedł z groźnymi psami. Do mostu ma podejście praktyczne: pilnuje, żeby konstrukcji nie rozbierali poszukiwacze złomu.

Cegła

Nie każdemu się podoba. Nie każdy go rozumie. Wielu myśli pewnie o nim „dziwak”, puka się w czoło. W 2015 r. podczas podróży do mostu w Osetnie trafia do Jędrzychowa, ok. 35 km od Legnicy, a tam do dawnego zboru ewangelickiego. Budynek niszczeje, rozsypuje się. Mietal postanawia działać po swojemu, co wyjaśni później w liście otwartym: „Hańbiące



Mieczysław „Mietal” Gryza w swojej pracowni, 2012 r.

dewastacja jest obojętna mieszkańcom, władzom i urzędowi powołanym do ochrony zabytków. Wobec takich zachowań, niegodnych Polski i Polaka, postanowiłem przywlec tego rozkładającego się trupa na salony. Z jędrzychowskiej cegły zrobiłem naszyjnik, nagrodzony przez międzynarodowe, prestiżowe jury”. W 2016 r., podczas finału XXV Międzynarodowego Konkursu Sztuki Złotniczej, Mietal pojawia się w legnickim ratuszu z wiertarką. Trzydzieści osiem sekund – tyle zajmuje mu zrobienie XIV-wiecznej cegły ze ściany ratusza.

– Chodziło mi o uświadomienie, że kilkadziesiąt kilometrów dalej zabytkowy budynek, cenny dla naszej historii, niszczy się i nikt się tym nie zajmuje. A kiedy w zabytkowym ratuszu w centrum miasta artysta wierci dziurę jak na gniazdko elektryczne, od razu zjawia się prokurator i stawia zarzuty – mówi dziś Mietal. List otwarty podsumował: „Uderz w ratusz, a ruiny się odezwą. Co mają do powiedzenia?”. Na legnickich forach internetowych wylała się fala komentarzy, wobec Mietala w większości drwiących. Prokuratura umorzyła śledztwo w tej sprawie ze względu na niską szkodliwość społeczną.

– Mietal ma tendencję do przypisywania swoim działaniom większej ideologii. Jednak często nie mają one tak poważnego wydźwięku, jak mogłoby się wydawać – mówi Radek Słowik. – W performansie legnickim wcale nie chodziło o jakieś wzniosłe idee, ale o artystę w kontekście miejskim. Zresztą taki był temat konkursu. Tak naprawdę chodziło o to, by pokazać, że miasto jest nie tylko zbiorem budynków i ulic, ale także tworzywem, z którego artysta może czerpać. To samo w sobie jest ciekawe. Działa na pewnej ulotności myśli i uczuciach, które są nie do końca wypowiedziane. Kluczem jest tu niedopowiedzenie.

Oczyszczenia

A kim jest Mietal-człowiek? Mówią, że w życiu bywa bezkompromisowy, nie z każdym mu po drodze. To cena bycia Mietalem?

Iwa Gryza: – Bezkompromisowy? Poniekąd. Mówi często, że nie lubi ludzi głupich. Ja myślę jednak, że nie lubi ludzi, którzy go nie rozumieją. Wiem też, że gdy rozmówca użyje wartościowych argumentów, mój tata potrafi otworzyć się na inne spojrzenie. Nie jest też tak, że nie przejmuję się opiniami innych. Przeciwnie: bólem jego życia jest to, że ludzie wystawiają mu powierzchowne opinie. Oceniają zamiast zrozumieć.

– Mogłoby się wydawać, że to facet oderwany od rzeczywistości, bujający w obłokach. Ale tak nie jest – mówi Radek Słowik. – Mietal to przecież bardzo sprawny przedsiębiorca, swoją firmę prowadzi od wielu lat. Jeździ świetnym rowerem, nosi porządne buty (wiem, bo noszę podobne), pracuje na dobrym komputerze. Jeśli coś dla nas jest „nowinką” technologiczną – Mietal już dawno to zna. Twardo stąpa po ziemi, dobrze odnajduje się w codzienności, ale też potrafi ją twórczo wykorzystywać.

Iwa Gryza: – Tata prywatny? Mieszkanie na ul. Półwiejskiej. Pies Talar, sznauzer monachijski. Kot Bellona, pers. Kawka Kuba. Żółw Leon. Mysz Marysia. Mój brat. Mama. I tata. W głośnikach muzyka, Led Zeppelin na pełen regulator. Pobudka. Wstajemy. Tata podaje śniadanie: dziś są frytki. Do frytek na marmurowym stole kuchennym majonezem napisane „Dzień dobry dzieci. Smacznego”. Po śniadaniu rundka po mieście. Tata na rowerze z kamerą pod pachą. Przebijamy się przez tłumy na deptaku. Kilka ujęć na placu Wolności. Brat skacze na deskorolce, ja wywijam na hulajnodze. Pies szczeka. Kilka słów do kamery. Ot, skręcony kawałek naszego świata. Mój tata nakręcił mnóstwo performansów, happeningów, teatrów i teatryków. Ale też po prostu nasze życie. Dziś to jak niesamowity film przygodowy. W moim dzieciństwie nie było rzeczy niemożliwych, limitów, ograniczeń.

– Potrzebna mi karma, która nazywa się niezwykłość – podsumowuje Mietal. – Nieraz zadawałem sobie pytanie, skąd to wynika. Nie znajduję odpowiedzi.

Przysła film. Nagranie waży 16 gigabajtów. Zaczyna się ujęciem na minikaruzelę na placu zabaw w Poznaniu. I na dwoje ludzi. Ona to młoda, energiczna dziewczyna. On szczupły, mocno siwiejący dojrzały mężczyzna. Córka i ojciec. Oboje w ubraniach grubych, jakby wybierali się na Syberię. Będą zrzucać kolejne warstwy garderoby razem z wyrzutami i pretensjami, które wypowiadają głośno, kręcąc się na karuzeli. Na koniec rzucają się sobie w ramiona.

– To filmowe oczyszczenie było prawdziwe, chociaż pod kamerę – wyjaśnia Mietal. – Dzień wcześniej się pokłóciliśmy. Narastały wzajemne pretensje. Ale rytuał mnie i córcę bardzo pomógł. Płakaliśmy jeszcze długo poza planem filmowym. Siła rytuałów jest przeogromna, placem zabaw i „karuzelą nastrojów” cofnęliśmy się do dzieciństwa córki. Mróz nas chłostał, a my zrzucaliśmy warstwy tego, co ukryte, niewypowiedziane. Wielkodusznie mi wybaczyła. I to w jakiej scenerii, w jakim stylu!

Mietal nazwał film w swoim stylu: „Oczyszczenie”.

Iwa Gryza: – Mój tata jest trochę jak taka obszerna powieść. Gdy zaczynasz czytać, wciągasz się, później gubisz w jej wielowątkowości. Myślisz, żeby może odłożyć na później. Jednak ostatecznie kończysz, a puenta jest warta wszystkiego.

© MARIUSZ SEPIOŁO

Kilkanaście dni po naszej rozmowie Mietal miał poważny wypadek samochodowy. Trafiał do szpitala, gdzie zmarł 12 marca.

Przy pisaniu posiłkowałem się m.in. reportażem „Zaprzęganie zmysłów” Filipa Springera, reportażem „Żelazna miłość” Justyny Andersz-Rychter w „Magazynie Ekspresu Reporterów” oraz artykułami w „Głosie Wielkopolskim” i na portalu pozn.naszemiasto.pl.

STANISŁAW

Mancewicz: Ludożeria



PONIEWAŻ KAŻDA OKAZJA, BY SIĘ NAPIĆ, JEST dobra, znakomicie pamiętamy ogłoszenie wyników referendum w sprawie wejścia Polski do Unii Europejskiej. Braliśmy naonczas udział w naprędce i pokątnie zorganizowanym bankiecie, w gronie szalenie ści-

słym ludzi gibkich, nienudzających banałem, a co najważniejsze – dalekich od lekkomyślnych uniesień i harcerskich egzaltacji. Padły tam słowa, które uznaliśmy nie tyle za złowieszcze, ile za brzmiące niepokojąco prawdziwie i realnie. Otóż rzekł ktoś wtedy, że wpuszczenie wschodnich Europejczyków do organizacji o konstrukcji – pod każdym względem – całkowicie zachodniej oznacza tyle, że oni ją po prostu zdemontują, w ciągu dwu-trzech dekad. Nikt spośród zebranych nie miał argumentu, który mógłby owo krystaliczne spostrzeżenie podważyć. Kto był wtedy na tym padole, pamięta także, że wynik głosowania wynikał z ogłoszonej niemal w ostatniej chwili rekomendacji papieża. Samo to w sobie dawało asumpt do smutnych niestety mniemań, że ów bodziec to nieco mało, gdybyśmy zechcieli ocenić decyzje mas za dojrzałe, trzeźwe i świadome.

Słowem, owo niemające od lat poparcie dla naszego bycia w Unii Europejskiej traktujemy od zawsze jako coś bardzo dziwnego, bo gruntownie oderwanego od europejskich idei. Równie dobrze, tak uważamy, pod wpływem kogokolwiek i jakiegokolwiek bredni przezeń ogłoszonej, to poparcie może w każdej chwili zamienić się w brak poparcia. Gdy próbujemy wszystkie te nasze opinie wystukać, ludzie uchodzący za stąpających dziś twardo mawiają nam, że to bzdury. Że po pierwsze pieniądze, po drugie nieskrępowane podróżowanie, po trzecie awans cywilizacyjny, możliwość studiowania, że to i wiele innych „za” nie przebijają nigdy żadnego „przeciw”. Ponieważ te

wspaniałe argumenty także uważamy za marne, pozostajemy przy opinii, że nic nie jest w stanie pohamować naszych, gdy poczują, iż moc jest z nimi, i że oto nadeszła chwila, by pokazać nasz olśniewający talent do demontażu, oczywiście pod pretekstem naprawiania.

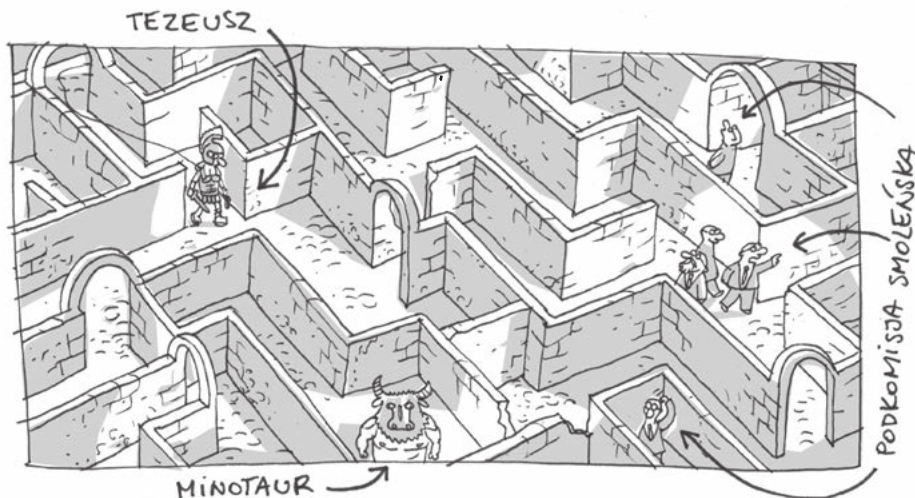
O naprawianiu Unii Europejskiej w wydaniu tutejszych speców słyszymy od dość dawna, ale doprawdy nigdy nie usłyszeliśmy, na czym to miałyby polegać, poza wdrażaniem swojskiej pojętej tradycji, pielęgnowaniu uprzedzeń rasowych i religijnych czy walce o dominację rasy białej. Oczywiście nie da się – w ramach naszych pomysłów naprawczych – pominąć opinii w rodzaju tej ogłoszonej w ostatnim tygodniu przez wysokiego funkcjonariusza Rady Polityki Pieniężnej, pana Łona, by oto złotówka była wspólną walutą wszystkich Europejczyków. Był to zdaje się żarcik, ale jest to zaiste doskonały przykład na tutejszą odmianę głęboko realistycznego podejścia do polityki, nie tylko pieniężnej.

Dość jednak marudzenia i zakompleksiałego gładzenia, nie jesteśmy bowiem sami na świecie i to mimo Kaczyńskiego u władzy i jego mniemań na temat zagranicy, który widzi ją – jak by to powiedzieć – oczyma członka odizolowanego plemienia, w środku stumilowego lasu. Nawiasem, na podstawie tego, co ostatnio mówi, można uznać, że naszedł wreszcie czas na zmianę nazwy kraju naszego na Ludożeria. Dobrze, by to zarejestrować i otoczyć prawem do marki, zanim ubiegną nas inne kraje.

Mimo to wszystko samiśmy są zdziwieni, że głupiej niż u nas jest jeszcze tylko w Wielkiej Brytanii. Okropnie nas to śmieszy, życie bowiem nam upłynęło na kulcie tamtejszego rozsądku i racjonalności. Brytyjska premier, co wydawało nam się absolutnie nierealne, jawi się dziś jako postać tragiczna. Amerykański prezydent podobnie, choć w trochę innym znaczeniu – ale i tak jest to wielka pociecha, jeśli idzie o nasze środkowoeuropejskie boleści. Oto coraz wyraźniej widać wątpliwość zachodniego modelu i ogromną siłę modelu wschodniego. Bez żadnej przesady można dziś powiedzieć, że prezydent Trump jest mentalnie i operacyjnie klasycznym politykiem Wschodu, a sytuacja na Wyspach bardziej pasuje do definicji niemożności niżli skuteczności bądź do tak umiłowanego na Słowiańszczyźnie kultu destrukcji. Wreszcie ktoś – za przeproszeniem – małpuje od nas.

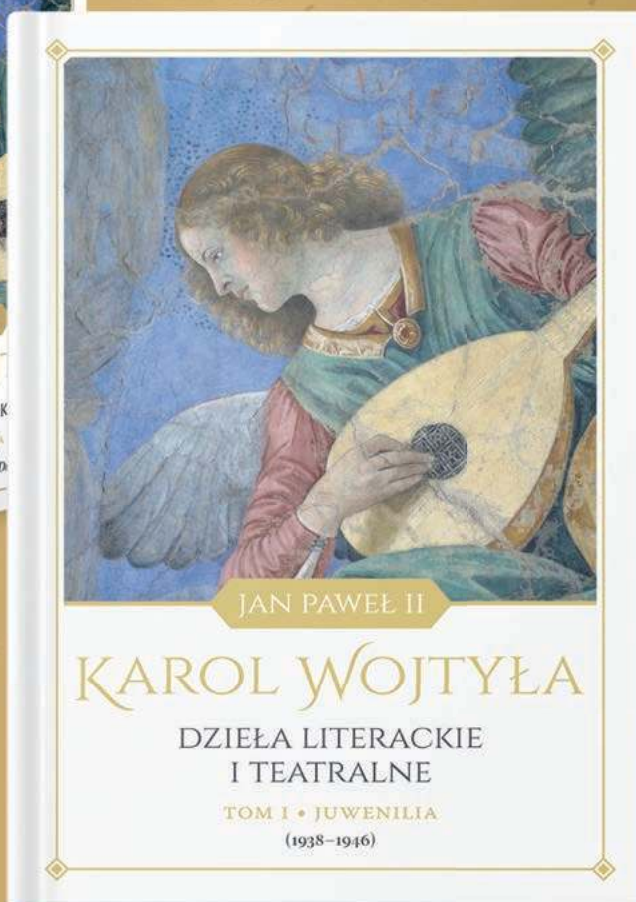
©P

BARTOSZ MINKIEWICZ





TOM I
DOSTĘPNY
OD 27 MARCA



LITERACKI ZAPIS MYŚLI I PRZEŻYĆ KAROLA WOJTYŁY

Edycja *Dzieł literackich i teatralnych* uzasadniona jest przekonaniem, że nie można w pełni zrozumieć Papieża bez wniknięcia w ten fragment jego biografii, który dotyczy fascynacji poezją, dramatem, teatrem. Te dziedziny twórczości były bliskie Karolowi Wojtyłe od czasów wadowickiego gimnazjum. Przedstawiana publikacja zawiera wiele bardzo osobistych tekstów. To swego rodzaju literacki dziennik przyszłego papieża, a zarazem niepowtarzalna okazja do bliższego poznania i tym samym głębszego zrozumienia postaci świętego Jana Pawła II.

Tom pierwszy poezji i dramatów zawiera wczesną twórczość literacką Karola Wojtyły i obejmuje utwory powstałe w okresie od 1938 do 1946 roku. To cenne świadectwo dokonujących się w Karolu Wojtyłe przemian, które doprowadziły do podjęcia ostatecznej decyzji o porzuceniu studiów polonistycznych oraz kariery aktorskiej i wyborze kapłaństwa. Warto zaznaczyć, że tom ten zawiera również teksty nieznane czytelnikom, do tej pory niepublikowane.



nr 2 (3565)/19 19,90 zł (w tym VAT 8%)

Nowy NUMER – Nowa RADOŚĆ

Grzegorz Uzdąński
NOWE WIERSE SŁAWNYCH POETÓW

Tadeusz Różewicz, Drogowskaz

stoję pod drogowskazem

na żadnej z tabliczek
nie napisano
nic

nic o gościńcu grzechu i wąskiej ścieżce cnoty
nic o drodze prawdy i drodze mniemania
nic o niebie piekle nawet nic o czyścisku
nic o kapitalizmie socjalizmie nic
o trzeciej drodze nic o romantykach nic
o klasykach nic o wojnie i pokoju
nic o zbrodni i karze nic o wybaczeniu
nic o lewicy prawicy i centrum

napisy wyblakły tak bardzo
że tabliczki są całkiem
białe

wiem że muszę
zapełnić je sam

nie wiem jeszcze
że moją głowę
wciągnęła przepastna biel

zamiast niej wyrósł mi z barków
wielki znak zapytania

